ZIEMKIEWICZ KONTRA WARZECHA

Dwugłos „Do Rzeczy”:
Wojna na Ukrainie a interes Polski

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 35/491 29 SIERPNIA–4 WRZEŚNIA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Gazowe tornado
dotarło nad Wisłę

KIM BYŁ EDMUND WOJTYŁA
– BRAT KAROLA, ŚW. JANA PAWŁA II

Ile w Putinie jest z Dugina

BIG PHARMA NA ŁOWACH

Kto zarabia na masowych szczepieniach?

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 54 000 egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

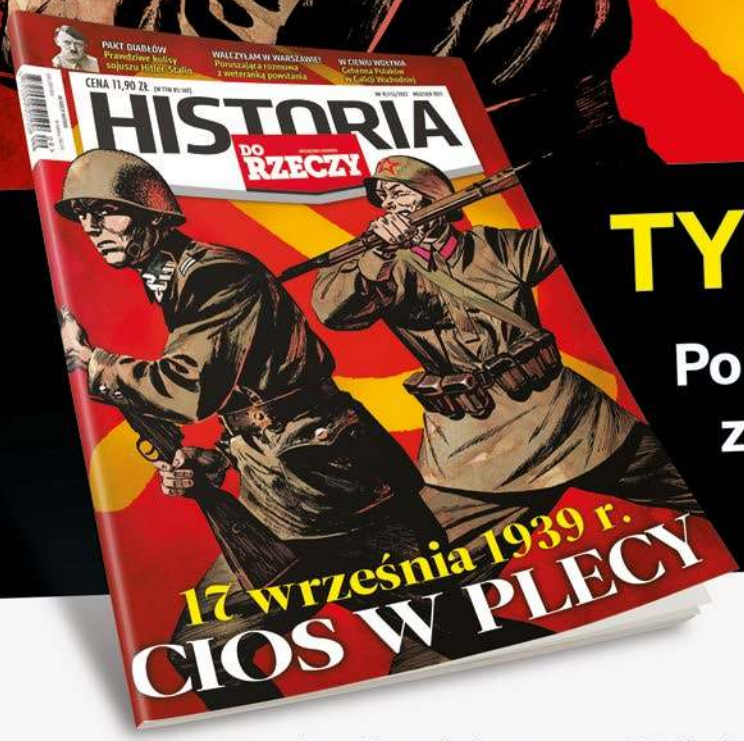

TYLKO U NAS!

Poruszająca rozmowa z weteranką Powstania Warszawskiego

Ian Ona Johnson – **Diabelski pakt Hitler-Stalin**
Maciej Rosalak – **Wojna Polski z Sowietami**
Tomasz Stańczyk – **Zbrodnie 17 września**
Arkadiusz Karbowiak – **UPA kontra Węgrzy**
Piotr Zychowicz – **Ludobójstwo Polaków w Galicji**
Sławomir Koper – **Emila Plater bez retuszu**
Leszek Lubicki – **Zamach stanu Piastów**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Paradoks Rockefellera**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 93f7da71ef

W RZECZY SAMEJ

Definiowanie polskich korzyści

PAWEŁ LISICKI

Dawno już żadna inna moja wypowiedź nie wywołała tylu komentarzy co słowa na temat ryzyka, jakim są dla Polski przedłużająca się wojna na Ukrainie oraz potrzeby zawarcia w związku z tym kompromisu.

Najczęściej reakcjami były złość, potępienie i – jakże mogłoby być inaczej, w końcu tak wygląda polska debata – mniej lub bardziej zawoalowane podejrzenia. Zdarzały się też, na szczęście, racjonalne próby odpowiedzi i tymi się zajmę.

Według moich krytyków obecna wojna Ukrainy z Rosją powinna trwać jak najdłużej z trzech powodów. Po pierwsze, wykrwawia i osłabia Rosję. Oddala to zatem znacząco napaść na Polskę, a może nawet, tak twierdzą najwięksi entuzjaści, doprowadzić w ogóle do pokonania Moskwy. Po drugie, Rosja udowodniła, że jest państwem gangsterskim, terrorystycznym i niegodziwym, więc żadne negocjacje i porozumienia nie wchodzą w grę. Trzeba walczyć o pełną pulę – jak wskazują polscy politycy, co najmniej należy obalić reżim Putina i osądzić winnych. Po trzecie, bezdyskusyjne wsparcie dla Ukrainy wzmacnia Polskę, która staje się w ten sposób ważnym, może najważniejszym graczem w tej części Europy. Nie neguję żadnego z tych argumentów. Owszem, osłabienie Rosji jest rzeczą dla polskich interesów pozytywną, podobnie jak należy dążyć do osądzenia winnych. Jednak realizm wymaga, przy opisie rzeczywistości, nie tylko kierowania się nie tym, co nam wydaje się słuszne, lecz także dostrzegania tego, co możliwe.

Osłabienie Rosji leży, co do tego zgoda, w polskim interesie. Jednak nie za wszelką cenę i nie każdym kosztem, a na pewno nie kosztem znaczącego pogorszenia pozycji Polski. Niestety, właśnie taki może być efekt przeciągającej się wojny. Gołym okiem widać, że pierwszą jej ofiarą jest polska gospodarka. Drastyczny skok cen surowców może ją zdusić. Nie wiem, czy i jak bardzo przygotowany jest na czarny scenariusz polski rząd, ale zachowuję sceptycyzm. Dotychczasowe doświadczenia pokazują skłonność do tromtadracji i samochwalstwa, co sprawia, że mogę żywić uzasadnione obawy, iż w tym przypadku będzie podobnie. Obym się mylił.

Jeszcze ważniejszy jest drugi problem – ryzyko. Wojny mają to do siebie, że przebiegają inaczej, niż zaplanowali je ci, którzy je rozpoczynają. Gdyby udało się, tak jak twierdzą moi oponenci, utrzymywać wojnę w obecnych granicach – Rosjanie walczą z Ukrainą na wydzielonym terytorium – moglibyśmy uznać, że konflikt jest dla Polski korzystny. Jednak nie da się tego zagwarantować. Im więcej strat, tym większa determinacja. Im większa zaciekłość, tym większa też skłonność do atakowania postronnych państw. Pytanie: Czy Polacy są na to gotowi?

Co jest zatem możliwe? Na przykład udana kontrofensywa Ukrainy, odbicie części zajętych przez Rosjan ziem i doprowadzenie wtedy do kompromisu. To byłby wariant najlepszy. Nie bardzo rozumiem, na czym innym miałoby polegać w konkretach pokonanie Moskwy. Brutalna prawda jest taka, że Rosja jest mocarstwem nuklearnym i żadne nasze zaklęcia i oburzenia tego nie zmienią. Jest też jednak, na szczęście, znacznie słabsza, niż mogłoby się to wydawać wcześniej. Dlatego, o ile konflikt nie wymknie się spod kontroli, nie należy się spodziewać ataku Rosji na państwa NATO. Jak miałaby to zrobić, skoro nie potrafi sobie poradzić z oporem Ukrainy w Donbasie?

Też jestem zwolennikiem ukarania winnych za zbrodnie. Jednak żeby ukarać złoczyńcę, trzeba mieć najpierw siłę. Pokazuje to doskonale przykład drugiej wojny światowej. Niemieccy zbrodniarze zostali słusznie ukarani, sowieckim mordercom zbrodnie uszły na sucho. Co więcej, alianci, mimo wiedzy na temat przestępstw, traktowali ich najpierw jak sojuszników, a następnie toczyli z nimi negocjacje i zawierali kompromisy.

Wniosek: w polskim interesie jest dążenie do pomniejszenia ryzyka i unikanie takich posunięć, które bezpośrednio by nas wciągały do wojny. Nie znaczy to, żeby takiego interesu nie miał Kijów. Podobnie być może próbuje się Polską posłużyć Ameryka. Jej perspektywę można zrozumieć: bez wielkiego ryzyka, posługując się Ukrainą, osłabia potencjalnego globalnego rywala. Jednak dla Polski ryzyko jest nieporównywalnie większe, dlatego prowadzenie co do zasady takiej samej polityki jak Waszyngton nie wydaje mi się roztropne. Od Rosji nie oddziela nas, niestety, ocean.

Wreszcie jeśli chodzi o Ukrainę, to zarówno pomoc humanitarna, jak i – do pewnego stopnia, a mianowicie bez osłabiania własnej siły wojskowej – pomoc militarna może być dla Polski korzystna. Nie oznacza to, że interesy Warszawy i Kijowa są tożsame. Nie tłumaczy to, dlaczego w tej parze – Polska i Ukraina – polscy politycy występują w roli bardziej zabiegających o względy partnera. ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

TEMAT TYGODNIA

16 JERZY KARWELIS
BIZNESOWA PANDEMIA
Kto nas straszy COVID?

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
CZY WOLNOŚĆ JEST WCIĄŻ WARTOŚCIĄ W EUROPIE?
Imperializm Moskwy i słabość Zachodu

23 ROZMOWA Z MICHAŁEM WOSIEM
WIĘZIENIE MUSI BYĆ GORZKIE JAK LEKARSTWO

26 KAMILA BARANOWSKA
TUSK. SZCZERZE

28 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KRYZYS KOŚCIOŁA W POLSCE. ROZWIĄZANIEM NIE JEST REWOLUCJA

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
JAK ŻYĆ?

KULTURA

32 PIOTR SEMKA
WAGNER W KAPCIACH
Jak pominąć to, co trudne

35 PIOTR GOCIEK
TYLKO SMOKI

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 ŁUKASZ WARZECHA
RYZYKO NIEKONTROLOWANEJ ESKALACJI
Wojna na Ukrainie a Polska

46 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CHCEMY CZY NIE, TO NASZA WOJNA

48 WOJCIECH GOLONKA
DEBATA ZAKAZANA

WOJNA NA UKRAINIE
dwugłos
DO RZECZY
A POLSKA

HISTORIA

50 JAN BOGATKO
REPARACJE POWINNI ZAPŁACIĆ I NIEMCY, I ROSJANIE
Zadanie dla Instytutu Strat Wojennych

54 ROZMOWA Z MILENĄ KINDZIUK
EDMUND, BRAT KAROLA

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
ILE Z DUGINA JEST W PUTINIE
Po zamachu na Darię Duginę

62 PIOTR WŁOCZYK
ZROBIENI NA BIAŁO

66 TOMASZ ROWIŃSKI
WĘGIERSKI PAPIEŻ?

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI
GAZOWA ZAPAŚĆ?
Problem jeszcze przed sezonem

STYL

74 ROZMOWA Z MARKIEM GAWORSKIM
ZAMKI TO MOJA POKUTA
Każdy zamek czy pałac to gotowy scenariusz na film

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (57), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 93f7da71ef

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Do Rzeczy" z roku... 1981

Szanowna Redakcjo,
[...] W czasie „domowego remanentu" wpadł mi w ręce numer dwutygodnika „Do Rzeczy" z czerwca 1981 r. Byłem wówczas m.in. przewodniczącym NSZZ „Solidarność" w łańcuckiej Fabryce Śrub. Miałem dostęp do różnych czasopism wydawanych przez struktury NSZZ „Solidarność".

DO RZECZY NR 4
BIULETYN INFORMACYJNY „SOLIDARNOŚĆ"
Zmarł Prymas Polski Stefan Kardynał Wyszyński

Identyczny tytuł wydawnictwa z tygodnikiem „Do Rzeczy" wymyślono w Jarosławiu 40 lat temu. [...]

Tadeusz Frączek

„Uciekające reparacje", Łukasz Warzecha, „DRz" nr 32/2022

[...] pozwalam sobie na kilka uwag.

1) Nawet najbardziej radykalne koncepcje prawnicze obecne w polskiej debacie nie widzą w uchwale rządu PRL z 1953 r. zrzeczenia się roszczeń osób indywidualnych (tj. polskich obywateli poszkodowanych przez Trzecią Rzeszę);

2) Swoistą białą plamą w tym dyskursie jest to, w jaki sposób wpływa to na prawo Polski do wystąpienia z tymi roszczeniami na rzecz jej obywateli przeciwko RFN (czy to sprzed zjednoczenia, czy po nim);

3) Samo przyjęcie przez rząd pewnej uchwały nie musi nadawać jej waloru aktu prawa międzynarodowego (choć nie można też tego wykluczyć);

4) W przypadku aktów jednostronnych istotny jest zamiar autora aktu i publiczny charakter aktu. W przypadku uchwały z 1953 r. zachodzą co do tych elementów co najmniej pewne wątpliwości, których zachowanie leży w żywotnym interesie RP;

5) Akt z 1953 r. musi być interpretowany w świetle zasad i wydarzeń historycznych z tej daty, nie zaś z lat 1970, 1990 czy tym bardziej 2022.

Bardzo ceniąc zmysł krytyczny i realizm pana Redaktora Warzechy i mając świadomość, że temat jest wielowątkowy i nie da się go wyczerpać nawet w serii artykułów, trzeba odnotować, że polskie argumenty prawnicze nie są aż tak słabe, jak można byłoby sądzić na podstawie jego tekstu.

dr hab. Przemysław Saganek, profesor Instytutu Nauk Prawnych PAN

Od autora

Na przeszkodzie występowaniu przez polskich obywateli przeciwko państwu niemieckiemu stoi opisana przeze mnie zasada immunitetu suwerennego przysługującego państwom, choć bywa ona współcześnie kwestionowana.

Nawet gdyby uznać, że moc prawna zrzeczenia się przez Polskę reparacji w roku 1953 podlega kwestionowaniu, nie zmienia to faktu, że nie istnieje żaden ponadnarodowy arbitraż mogący tę sprawę rozstrzygnąć. Jesteśmy zatem skazani na dwustronne porozumienie z Niemcami.

Łukasz Warzecha

Uzupełnienie

Tekst Pawła Kudzi pt. „Płatki owsiane »Pochodnia«" („Do Rzeczy" nr 34/2022) ukazał się dzięki życzliwości Ambasady RP w Maroku.

Redakcja „Do Rzeczy"

eprasa.pl 93f7da71ef

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

W Gödöllő

W 1977 r. z „pracy" mojego ojca, Gdańskiego Biura Projektów Budownictwa Przemysłowego, wyruszyć miała autokarowa wycieczka zakładowa do Budapesztu. Tata zapisał się wraz z mamą na wycieczkę, ale na tym nie spoczął. Dyskretnie poprosił kierowcę, aby ten pokazał mu w Międzynarodowym Atlasie Samochodowym dokładną trasę, którą wycieczka będzie jechała do Budapesztu. Tata zauważył, że niedaleko od głównej drogi wiodącej do stolicy Węgier znajduje się miejscowość, która przykuła jego uwagę.

Mój tata rozczytywał się we wspomnieniach Mariana Rosko-Bogdanowicza, szambelana cesarskiego Franciszka Józefa. Wspomnienia były wspaniałym obrazem harmonii habsbursko-galicyjskiej z końca XIX w. W książce Rosko-Bogdanowicza wspomniana jest wspaniała cesarska rezydencja Gödöllő, którą Madziarzy podarowali Franciszkowi Józefowi i jego żonie Elżbiecie i która pojawia się na kartach wspomnień.

Tata umówił się z kierowcą, że gdy już będą zbliżać się autobusem do zjazdu z głównej drogi, tata będzie miał okazję powiedzieć parę słów do autokarowego mikrofonu. Mój rodzic na zasadzie akcji znienacka zaproponował małe odstępstwo od trasy i obejrzenie wspaniałej, jak się zdawało, cesarskiej siedziby. Zachwytu nie było. Wszyscy obliczali w myślach, na ile kiełbas salami starczą wycieczkowe forinty i czy uda się dostać zachodnie buty Salamandra na Váci Ucca, wyśnionej promenadzie kadarowskiego dobrobytu. Ale tata dopiął swego i autobus dotarł pod pałac.

Jak wiem z opowiadań rodziców, już sam gmach budził przerażenie swoim wyglądem. Zaniedbany budynek, z którego odpadały płaty farby w słynnym kolorze ohry Marii Teresy. Okazało się, że pałac zamieniono w dom starców dla byłych arystokratów i ziemian. Socjalistyczne Węgry wzięły tych starszych ludzi na swój garnuszek, ale z racji podejrzliwości wobec starej reakcji skupiono ich razem, by mieć ich na oku. Przyjazd polskiego autokaru wzbudził wśród starych szlachciców sensację. W końcu mało kto już ich odwiedzał. Jedna z sędziwych szlachcianek wyraźnie wzruszona zaprowadziła mojego ojca do swego pokoju i pokazała, że nad jej łóżkiem wisi obrazek Matki Częstochowskiej, pamiątka po rodzinnych koligacjach z polskimi arystokratami.

Trudno się więc dziwić, że gdy po 40 latach sam niedawno dotarłem do Gödöllő, czułem pewne wzruszenie. W pałacu już dawno nie ma starców. Zespół pałacowy starannie odnowiono. W sali balowej jakaś zamożna rodzina urządzała wesele dla swej córki i przewodnicy zamku przeganiali nas przez to miejsce przed niezadowolonym obliczem mistrza weselnej ceremonii.

Dziś pałac jest skupiony na postaci cesarzowej Elżbiety uwielbianej na Węgrzech za życzliwość wobec Madziarów. Drugi bohater zamkowej wystawy to Gyula Andrássy – jeden z twórców ugody austriacko-węgierskiej z II połowy XIX w. Do pałacu nie trzeba dojeżdżać już półpodstępem – reklamy rezydencji rzucają się w oczy na trasie już przy zjeździe z autostrady. Jak miło dożyć normalności. Dziękuję, tato. Za twoim wskazaniem zawsze uważnie studiuję samochodowe mapy. Bez ciebie i twoich opowieści nigdy bym nie wiedział, jakie to piękne miejsce. ©℗

FOT. EUROPEAN UNION, COPERNICUS SENTI/REUTERS/FORUM

GROŹNA SYTUACJA W ENERHODARZE

„Byliśmy o krok od radioaktywnego incydentu" – stwierdził prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. W czwartek reaktory elektrowni w Enerhodarze – znajdujące się na terenach okupowanych przez rosyjskich najeźdźców – zostały odłączone od sieci energetycznej. Mer miasta Dmytro Orłow oznajmił, że Rosjanie celowo wzniecili pożar niedaleko elektrowni, pozbawiając mieszkańców okupowanego miasta dostępu do energii oraz wody. „Okupanci grożą całemu światu katastrofą jądrową" – ostrzegł ukraiński dziennikarz Andrij Caplienko. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

Wczesna diagnoza ma zasadnicze znaczenie dla chorych na SMA

Choroba początkowo może być bezobjawowa

Rdzeniowy zanik mięśni (SMA) to rzadka choroba genetyczna, która prowadzido postępującego osłabienia i zaniku mięśni[1,2]. Objawy zwykle nie są widoczne w pierwszych miesiącach życia dziecka. W rezultacie wiele niemowląt z SMA jest diagnozowanych za późno[1], gdy już rozpoczęła się szybka i nieodwracalna utrata neuronów ruchowych (motoneuronów), odpowiedzialnych za przekazywanie impulsów nerwowych z ośrodkowego układu nerwowego do mięśni umożliwiających poruszanie się, oddychanie czy przełykanie[2,3].

Progresja choroby w SMA typu I

Wczesne rozpoznanie ma zasadnicze znaczenie

U niemowląt dotkniętych najcięższą postacią SMA szybko postępujący zanik mięśni prowadzi do niepełnosprawności ruchowej, zaburzeń przełykania i oddychania[5]. Czynnikiem decydującym o skuteczności terapii jest czas do rozpoczęcia leczenia. Najlepsze efekty przynosi terapia rozpoczęta, zanim uwidocznią się objawy choroby[1]. Gdyby SMA zostało zdiagnozowane podczas badania przesiewowego wykonywanego w pierwszych dniach życia, a leczenie natychmiast wprowadzone, dziecko miałoby szansę rozwijać się porównywalnie do jego zdrowych rówieśników[5]. Dzięki badaniom przesiewowym noworodków możliwe jest szybkie postawienie diagnozy i wdrożenie skutecznego leczenia.

Identyfikacja dzieci dotkniętych chorobą na bezobjawowym etapie

Umożliwienie rozpoczęcia leczenia przed wystąpieniem objawów

Ograniczenie nieodwracalnego uszkodzenia motoneuronów

1. Prior TW, et al. Spinal Muscular Atrophy. 24 lutego 2000 [Aktualizacja 14 listopada 2019] W: Adam MP, Ardinger HH, Pagon. 2. Saffari A, et al. Ann Clin Transi Neurol. 2019;6(1):197-205 3. Farrar MA, et al. Emerging therapies and challenges in spinal muscular atrophy. Ann Neurol. 2017;81(3):355-368. 4. Chien Y-H, et al. J Pediatr. 2017;190:124-9.e1. doi:10.1016/j. jpeds.2017.06.042. 5. Glascock J, et al. J Neuromuscul Dis. 2018;5(2):145-58. 6. Kolb, S.J. el al. Ann Neurol, Grudzień 2017, 82(6), 883-891 7. Finkel RS, et al. Neurology. 2014;83(9):810- 7. 8. Mendell JR, et al. N Engl J Med. 2017;377(18):1713-22. 9. Kirschner J, et al. Eur J Paediatr Neurol 2020: doi: 10.1016/j.ejpn.2020.07.001 (https://www.ncbi.nlm.nih.gov/pmc/ articles/PMC7347351/pdf/main.pdf)

NOVARTIS | Reimagining Medicine

PL2111194217

eprasa.pl 93f7da71ef

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Jak mus, to mus

Słowa „nie chcem, ale muszem", nierozerwalnie złączone z Lechem Wałęsą, w istocie znacznie bardziej pasują – oczywiście po poprawieniu gramatyki – do Jarosława Kaczyńskiego. Dziś mało kto już o tym pamięta, że jego celem w polityce było zbudowanie partii umiarkowanej, centrowej i że nie mniej niż lewicowych i liberalnych progresistów zwalczał też narodowych katolików. Ale, jak to opowiadał nieżyjący już Ludwik Dorn, okazało się, że elektoratu, do którego chciało się zwracać Porozumienie Centrum, w ogóle nie ma. Były tylko elektoraty oikofobiczno-liberalny i właśnie narodowo-katolicki, przy czym ten pierwszy miał silną polityczną organizację, z której Kaczyńskich wygnano, a ten drugi z różnych względów nie był w stanie wyłonić skutecznego przywództwa. Tym sposobem gardzący endecją żoliborski inteligent wychowany na Janie Józefie Lipskim stał się przywódcą „polskiego ciemnogrodu".

Wspominam pradzieje polityki III RP, ponieważ „nie chcę, ale muszę" dopada Jarosława Kaczyńskiego znowu. Unia Europejska, przejęta przez sojusz niemieckiego neoimperializmu ze skrajną lewicą, kolejnymi kopniakami zaczęła wybudzać Polaków z naiwnego snu o radosnej, wspólnej Europie, niosącej nam dobrobyt i szanującej nasze zdanie. I znowu, okazuje się, rosnący w siłę eurosceptycyzm nie zdołał wykreować swoich skutecznych przywódców. Zatem Kaczyński, w istocie euroentuzjasta, po raz kolejny przejmuje elektorat, którego poglądów nie podziela. Dość tego, nie ustąpimy już Unii ani kroku! W trzeciej kadencji ułożymy stosunki z nią na nowych zasadach – jeśli nie, to zaczniemy wszystko wetować! Za Prezesem, jak za panią matką, natychmiast twardą linię wobec UE zaczęli głosić podwładni, co w połączeniu z nieskrywaną już pogróżką PO: „Nie będzie kasy z UE dopóty, dopóki nie wrócimy do władzy" buduje oczywistą polaryzację na wybory.

Jest tylko jeden szkopuł: te gromkie zapowiedzi przyszły w momencie, kiedy już na wszystko się zgodziliśmy, wszystko Unii podpisaliśmy, a i wetować gdzieś tak do wyborów nie będziemy mieli czego – chyba że sankcje przeciw Rosji, co by akurat eurokratów nie zmartwiło. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Coraz dalej od wolności

Mój poprzedni felieton (o tym, że do Unii Europejskiej wprowadziła nas mniejszość) wywołał ważne, ciekawe, choć jednocześnie niezupełnie potrzebne komentarze. „Zjednoczona Prawica też wprowadzona została do rządzenia przez mniejszość w wyniku wyborów", „obecną większość do Sejmu też wprowadziła mniejszość, zresztą tak jest chyba w każdych wyborach w Polsce". Otóż nie tylko w Polsce, w demokracji w ogóle nie zdarzają się decyzje poparte przez większość uprawnionych do głosowania, wymyślona przez Jana Jakuba Rousseau „wola ogółu" nie istnieje.

Piszę, że komentarze te nie były potrzebne, ponieważ wyraźnie napisałem, że „przypominam te fakty nie po to, by decyzję tę podważać". Tym niemniej opinie te uważam za nadzwyczaj ważne i ciekawe, bo pochodzą od zwolenników Unii Europejskiej. Nigdy do tej pory nie mówili, że przystąpienie do ich ulubionej organizacji międzynarodowej było zwykłym, odwoływalnym aktem politycznym, takim jak wybór rządu. Tym bardziej że było aktem uprawniającym opozycję i domagającym się jej reprezentacji. Dobrze, że wobec argumentów mimowolnie to przyznają. Bo ileż to razy słyszeliśmy, że „dążenie do UE" było historycznym celem jednoczącym całe społeczeństwo, „wszystkie" (czasem z pararasistowskim zastrzeżeniem – „poważne") siły społeczne i polityczne?!

Pierwszym wymogiem wolności w Europie jest uznanie prawomocności opozycji wobec władz UE czy wobec tej organizacji w ogóle. Tymczasem jesteśmy od tego nie tylko daleko, lecz także coraz dalej. Marszałek Piłsudski nazwał zamach majowy (czy słusznie – niech rozstrzyga Rafał A. Ziemkiewicz) „rewolucją bez rewolucyjnych konsekwencji". Akcesję unijną można zaś nazwać aktem demokratycznym bez demokratycznych konsekwencji, a raczej – rozluźniając parafrazę – demokratycznym aktem niosącym głęboko antydemokratyczne konsekwencje. Wielu Polaków, którzy popierali tę decyzję, nie było tego świadomych, wielu nie jest nadal. ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

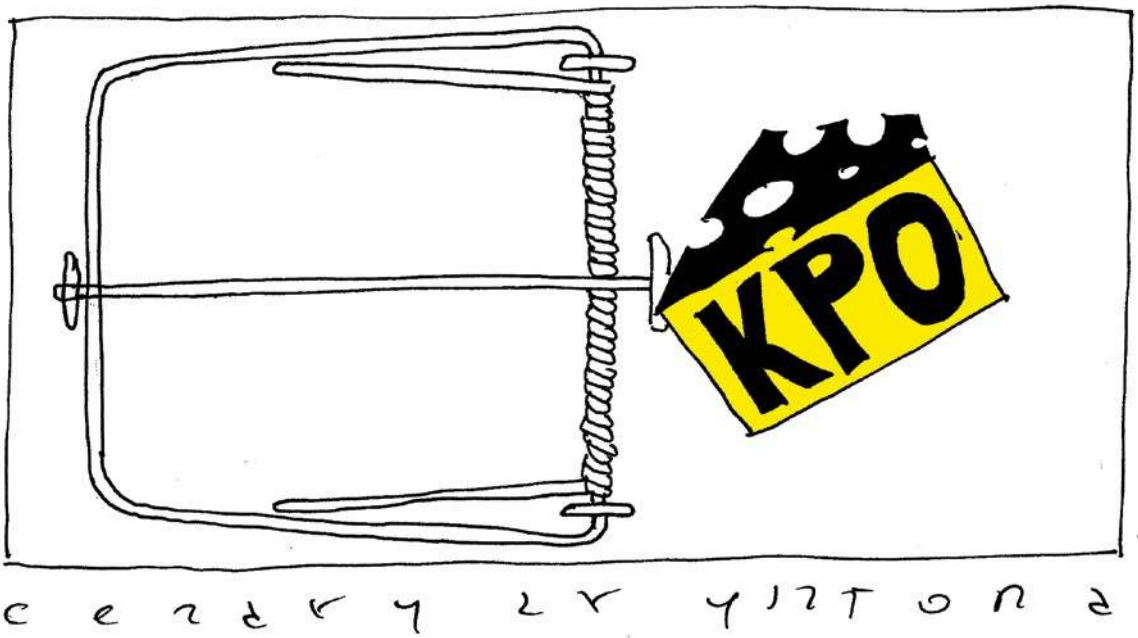

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O naiwności ludzkiej i myśli transpłciowej

Agenci włoskiej policji przeprowadzili kontrolę w kąpielisku w Catanzaro. Właściciele ośrodka okazali dokumenty, z których wynikało, że są obywatelami Teokratycznego Państwa Antarktycznego św. Jerzego, mieszczącego się formalnie w okolicach bieguna południowego, ale w rzeczywistości na niedawno zakupionej greckiej wyspie Koneli. Sęk w tym, że takiej wyspy nie ma.

Policjanci udali się pod widniejący na dokumentach adres ambasady TPAŚJ w Catanzaro. W eleganckim apartamencie znaleźli w biurkach niewypełnione paszporty, prawa jazdy, pieczęcie i papier firmowy nieistniejącego państwa. Okazało się, że proklamował je emerytowany generał policji skarbowej. Oferował zainteresowanym za niewielką opłatą (200–1000 euro) obywatelstwo i wszelkie możliwe dokumenty. Przekonywał przy tym, że Świętojerzanie płacą w Italii zaledwie pięcioprocentowy podatek. Co porażające, w te koszałki-opałki uwierzyło blisko 700 włoskich biznesmenów, a generał z kolegami ukradli im pół miliona euro.

Podobnie zdumiewa tekst w polskim „Newsweeku" (znalazłem na Onecie). Karolina Rogaska daje w nim upust gorzkiemu, „jednemu z największych rozczarowań dorosłości". Chodzi o J.K. Rowling, autorkę książek o Harrym Potterze. Z mętnych wywodów wynika, że pisarka w opowiadaniach „Historia magii w Ameryce Północnej" przywłaszczyła sobie kulturę jednego z rdzennych ludów i wepchnęła do klatki stereotypów. Ale to furda. Grzechem głównym Rowling, pisze Rogaska, jest transfobia wynikająca z radykalnego feminizmu. Przypomina, że w obronie Rowling jako ofiary kultury wykluczenia stanął sam Putin po napadzie na Ukrainę. I wnioskuje: „Sposób myślenia rosyjskiego prezydenta i brytyjskiej pisarki coś łączy. Putin podobnie jak Rowling stawia się w roli ofiary, kiedy w rzeczywistości krzywdzi innych".

Idąc tropem tych żałosnych rojeń, można śmiało stwierdzić: „Sposób myślenia Rogaskiej i Hitlera, szczególnie po Kristallnacht, coś łączy: zideologizowanie i niechęć do inaczej myślących". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 93f7da71ef

KAMILA BARANOWSKA

NA PRÓŻNO

FOT. ADMEDIA/SIPA USA/EAST NEWS

POKORNA JAK EDZIA

Wszyscy zachwycają się 14-letnią Sarą James, utalentowaną Polką, która nie tak dawno reprezentowała nasz kraj na Eurowizji Junior, a teraz robi furorę w amerykańskiej odsłonie telewizyjnego show „Mam talent". Sara właśnie przeszła do finału i powalczy o wygraną w programie, więc bez wątpienia jest to duży sukces młodej Polki. Gratulują więc jej polskie piosenkarki i celebrytki. W tym także Edzia Górniak, która sama kiedyś marzyła o zagranicznej karierze wokalnej. Dziś w rozmowie z „Faktem" zdradza, że trzyma za Sarę kciuki.
– Życzę jej, aby jej talent zawsze szedł za rękę z wrażliwością, rozwagą i pokorą – stwierdziła. Wszystko fajnie, tylko co Edzia Górniak może wiedzieć o rozwadze i pokorze?

SZARAŃCZA!

Wojciech Mann wciąż nie może się pogodzić z faktem, że musiał odejść z radiowej Trójki. Właściwie chciał, a nie musiał, ale on utrzymuje, że innego wyjścia nie miał, bo przyszedł zły PiS i inaczej nie można było zrobić. Teraz, gdy na Facebooku wybiła mu liczba 333 tys. obserwujących, postanowił zrobić pewne podsumowanie. „Siedzę tak sobie przed ekranem i nie za bardzo inteligentnie gapię się na moją stronę na Facebooku. Nagle... wraca mi myślenie i skojarzenie, gdyż zauważam informację, że obserwuje mnie 333 tys. internautów. Jeszcze jakieś trzy (!) lata temu byłby to pretekst do numerologicznych rozważań bądź szukania tajemnych znaków. Wszakże wtedy trójka była dla mnie nie tylko cyfrą, lecz także Trójką, czyli moim radiem. Jako że jednak pisowska szarańcza nie ominęła w swoim niszczycielskim pochodzie Myśliwieckiej, rozmyślania o znaczeniu trzech trójek straciły sens" – pisze Mann. No widać, że jednak nie straciły, skoro powstał ten wpis! Przecież w świecie pana Manna każdy powód do wrzutki o „pisowskiej szarańczy" jest dobry!

TRENING NA POKAZ

Małgorzata Rozenek vel Majdan została nową prowadzącą „Dzień dobry TVN", czyli sztandarowego programu śniadaniowego stacji. Zanim wzięła się jednak do nowego wyzwania, postanowiła popracować nad formą. W tym celu udała się na obóz treningowy Anny Lewandowskiej. I nadaje stamtąd codziennie relacje na żywo. Inaczej przecież bez sensu byłoby tam jechać. Ale do rzeczy. Otóż Perfekcyjna Małgorzata narzeka na pory niektórych treningów. I tak np. godz. 7.50 to dla niej za wcześnie, a poza tym ona nie lubi biegać. – Nie ukrywam, że nie jest to moja ulubiona konkurencja. Bieganie nigdy nią nie było. W ogóle cardio raczej do nich nie należy, poza jazdą na rowerze stacjonarnym – wyznaje. Z kolei trening odbywa się dla Gosi stanowczo za późno. – Godzina 20 jest dla mnie do trenowania biologicznie absurdalna. Ja o tej porze śpię, a już na pewno leżę, jestem w takim wyciszeniu wieczornym – ubolewa. Właściwie to pasuje jej jeden tylko trening, ten o godz. 11, jedzenie, które chwali, oraz wykłady. Ale ile zdjęć w strojach do fitnessu zdążyła już wrzucić na Insta! Czyli warto było jechać!

WINA POLSKI

Tola Szlagowska to piosenkarka, która kiedyś, dawno temu, była jedną z twarzy młodzieżowego zespołu muzycznego Blog 27. Zespół się rozpadł, a Tola zniknęła. Niby coś tam śpiewała, trochę się uczyła, dorabiała, ale generalnie słuch po niej zaginął. Teraz nagrała płytę i próbuje ją wypromować. W tym celu, niestety, udziela wywiadów. Mówi głównie o tym, jak fatalnie żyje się jej w Polsce i jak głupi jest polski show-biznes (jakby zagraniczny był mądry).

– Wydaje mi się, że w kraju, jakim jest Polska, trzeba być artystyczną prostytutką i nie czuć obciachu, reklamując kabanosy albo hamburgery z sieciówkowego baru – kpi Tola, wbijając szpile swoim kolegom po fachu. Choć jednocześnie dodaje, że „kabanosy nigdy nie chciały, żeby ona je reklamowała", ale nawet gdyby chciały, to ona by odmówiła.

– Myślę, że w Polsce jest taka, przynajmniej dla mnie, ja to tak odbieram, dołująca energia i niska wibracja i bardzo dużo ludzi kłamie i kradnie – narzeka. – Tola wygląda na osobę bardzo skromną. – Moja wizja też często wyprzedza czas. To, co robiłam 10 lat temu, dziś jest dopiero rozumiane przez masy – podkreśla. Choć przyznaje, że jest trochę dziwna i dlatego show-biznes jej nie lubi. – Nie mogę mieć pretensji, że mnie branża nie chce. Ja się nie dziwię, bo też bym nie chciała – mówi. – W Polsce nikt mnie nie chce. To takie typowo polskie – żali się na koniec. I pomyśleć, że podczas tych wywodów nie przyszło jej do głowy, że może to z nią jest jednak coś nie tak, a nie z Polską. ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie możemy wyjść z podziwu, jak gospodarni są Niemcy. Jako iż zawsze czytamy tylko tytuły, a już najwyżej nagłówki na Onecie i na ich podstawie wyrabiamy sobie zdanie na temat różnych opisywanych tam zjawisk, dzisiaj przeczytaliśmy następujący tytuł: „Niemcy za godzinę swojej pracy pójdą do kina, kupią kawę i chleb. A Polacy?”.

Jajco – chciałoby się odpowiedzieć, ale najpewniej i to nie. Polacy za godzinę swojej pracy kupią sobie najwyżej papierosa albo parówkę, ewentualnie czasem 0,2 litra cytrynówki.

Problemy, które tu widzimy, są dwa. Po pierwsze – Polacy wciąż nie nauczyli się pracować efektywnie i w czasie, kiedy Niemiec zarobi na te wszystkie przyjemności, to Polacy nie są w stanie zarobić nawet na bilet do kina.

Po drugie – hierarchia potrzeb. Niemcy jako Europejczycy i ludzie kulturalni chcą chodzić do kina, na kawę. A Polak to pewnie w pierwszym rzędzie myśli o kupnie węgla na zimę czy benzynie do tego samego passata, którego Niemiec już dawno się pozbył z uwagi na zbyt duży ślad węglowy.

To są różnice cywilizacyjne, niemożliwe do pokonania przez kilka kolejnych pokoleń.

Lada dzień zacznie się rok szkolny, a my czytamy, iż w tym samym czasie ma się rozpocząć strajk nauczycieli. Co za absurd!

Of kors co za absurd, iżby się w ogóle tym przejmować. Podamy przykład. Kiedy w naszym korpo Nowy z Tarnowa wyjeżdża na wakacje, to my i tak wiemy, co mamy robić, a korpo się nie zawala. Nawet pomimo iż tego nie robimy, a większość dnia spędzamy na fejsie i jutubie.

Dlatego też jesteśmy zdania, iż szkoły bez nauczycieli się nie zawalą. Of kors na początku może być trudniej, uczniowie odczuwający potrzebę posiadania autorytetu mogą się czuć nieswojo, ale dajemy max dwa tygodnie i wszyscy się przyzwyczają, nikt nie będzie tęsknił do tego, jak było.

No i wyobraźcie sobie tę szkołę bez nauczycieli, a więc też bez dzienników elektronicznych, sprawdzania obecności, ocen z zachowania, sprawdzianów, prac domowych, klasówek – sami byśmy sobie do takiej szkoły poszli, aż szkoda, iż nie mamy 15 lat.

A nauczyciele? Cóż, skoro są tacy mądrzy i chcą wszystkich dookoła uczyć, to niech się sami zajmą nauką np. sprzedaży pakietów Internet + telefon, co nie?

Oglądaliśmy niedawno relację z lekkoatletycznych mistrzostw Europy i szczerze mówiąc, nie rozumiemy tych wszystkich zachwytów nad biegaczami i biegaczkiniami z tego kraju, którzy zdobyli te wszystkie medale.

Przeciesh bieganie to jest coś, co robimy nawet czasem i my – kiedy przychodzi sezon wiosenny, kupujemy nowe sportowe obuwie, nowe słuchawki bezprzewodowe, instalujemy odpowiednią aplikację, szykujemy się do wyjścia z domu, ale ostatecznie jednak się nam odechciewa.

No więc uważamy, iż to tylko kolejny pretekst, te wszystkie medale, iżby znów rozbudzać entuzjazm, zwłaszcza wśród osobodzieci, do tzw. kultury fizycznej, a więc kultywowania tradycji umęczenia się i upocenia, a także do rozwijania postaw nacjonalistyczno-fashystoffskich, czego ofiarami także padają dzieci.

Dlaczego w ogóle prawaki mówią o tęczowej indoktrynacji, a biało-czerwona już jest OK? Czy dzieci nie mogą same wybrać tożsamości narodowej? No ale OK, to temat na kiedy indziej.

W każdym razie – jak my się tak w tym kraju będziemy ekscytować tym, że ktoś gdzieś tam dobiegł czy coś przeskoczył, to gdzie my zajdziemy jako społeczeństwo i jak dużo czasu nam to zajmie? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Promocja wartości

Borys, wyjaśniłeś już tej swojej ekipie, co ma robić u Rafała w czasie campusu?
Jasne, Donald, zgodnie z instrukcją. Mają już transparenty, hasła przećwiczyli...

Mnie się szczególnie podoba to: „Tylko z Tuskiem koniec z Ruskiem”. Niech to głównie krzyczą. Rafał się nie połapał?
No skąd! On zresztą przecież w ogóle organizacją się nie zajmuje, wiesz, jaki jest leniwy. A ci jego kretyni nie mają pojęcia, co szykujemy.

Dobra. I ta druga grupa, która ma udawać wielbicieli Kaczora, też gotowa?
Tak jest! Nawet ich wysłałem jakiś czas temu na spotkanie z Naczelnikiem, żeby się przyjrzeli, jak się ci pisowcy zachowują.

OK. I pamiętaj: umowy dla nich wszystkich mają być na promocję wartości Platformy w sferze publicznej. Zresztą to się w sumie nawet zgadza. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS za pomocą socjalu stworzył całą wielką klasę swych niepracujących zwolenników”.

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 93f7da71ef

dwaj panowie g

Uwaga, będzie chryja w Sądzie Najwyższym. W jednej z izb w sejfie odkryto postanowienia podpisane przez sędziów tejże izby. Nic dziwnego, dokumenty trzeba chronić. Ale… treść schowanych w sejfie postanowień znacząco się różniła od tych, które zostały publicznie ogłoszone. Wytłumaczymy, w czym problem; najłatwiej będzie na gruncie prawa karnego. Wyobraźcie sobie, że sąd wydaje postanowienie o przeszukaniu, ale do sejfu chowa inną wersję dokumentu, w której odmawia zgody. Nic dziwnego, że I prezes Sadu Najwyższego uznała, że jest to materiał na zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa.

Z pewnym zdumieniem odnotowujemy, że temat Odry ciągnięty jest w polityce kolejny tydzień. Sezon ogórkowy? Niestety, sprawa jest poważniejsza. A jeśli coś jest poważne, to nazywa się Niemcy (no, chyba że chodzi o dostawy broni na Ukrainę). Chodzi o rozbudowę portu kontenerowego w Świnoujściu. Co bardzo się nie podoba w Berlinie. A gdyby się dało narzucić narrację, że cokolwiek Polacy robią, to niszczą, wtedy pewne rzeczy dałoby się powstrzymać. Nawet i unijnymi dekretami. Powątpiewającym podpowiadamy jedno hasło: „Turów".

Żeby nie było, od razu przecinamy spekulacje: nasze frywolne odzywki nie mają nic wspólnego z pogardą dla spraw ekologicznych. Jesteśmy bardzo proodrzańscy, prowiślańscy, prorybi (zwłaszcza w piątki), a za młodu piliśmy nawet wódkę Bałtyk, co pokazuje, z jaką determinacją oddani jesteśmy walce o czyste środowisko.

Ale skoro o Odrze. To, co najpiękniejsze. Krosno Odrzańskie. Wizyta Donalda Tuska w związku z katastrofą ekologiczną. W pewnym momencie Tusk rzuca: „Jeśli dobrze widzę, to nie ma z nami szefa okręgowego związku wędkarskiego. Pana Kamińskiego, który doznał poparzeń po zanurzeniu w Odrze". W tym momencie odzywają się głosy protestu. Okazuje się, że pan Mirek jest wśród zgromadzonych. W tym momencie Tusk dostrzega jakieś ślady na rękach wędkarza i ciągnie gadkę o straszliwych poparzeniach. Niestety, pan Mirek nie chce potwierdzić. I odpowiada wymijająco, że może i od Odry, a może nie.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Żeby narracja nie siadła, pan Mirek zostaje ciupasem wysłany na nieodległy oddział dermatologiczny. Niestety, w tracie wywiadu medycznego przyznaje, że ślady miał już dużo wcześniej, zanim pierwsza martwa ryba pojawiła się w Odrze. Być może w takim razie miały coś wspólnego z Wisłą i tamtejszymi rybimi trupami? Tymi z roku 2020, po awarii Czajki. Przypominamy z tej okazji ówczesną opinię Pawła Rabieja, wiceprezydenta stolicy: ryby padły „od odoru zgnilizny, jaki wydaje rząd PiS". Jak widzicie, ten Tusk nawet niczego oryginalnie wymyślić nie potrafi.

Przy okazji oryginalnych pomysłów: zauważyliście wezwanie niejakiego Piotra Najsztuba, przez niektórych wciąż uznawanego za dziennikarza, by „Tusk podszedł do Morawieckiego i dał mu w pysk"? Zastanawiamy się nad tym. A gdyby pan Mirek prosto ze szpitala poszedł i dał Tuskowi w pysk, to Najsztub też by się cieszył, że przyszedł „czas na niekonwencjonalne metody"? Najsztuba odsyłamy jednak do lektury komiksów o Asterixie. Tam mieszkańcy wioski Galów ciągle się walą po pyskach. Zdechłymi rybami.

Tymczasem nieszczęsna marszałek województwa lubuskiego Elżbieta Polak brnie bohatersko w niemieckie narracje, czyniąc to oczywiście gdzie? W niemieckiej gazecie „Süddeutsche Zeitung". Tam zmienia swoją refleksję na temat rzekomej rtęci w Odrze na rzecz PiS-owskich „prac pogłębiających", które miały wybić ryby. Cenimy wszystko, co pogłębiające. Zwłaszcza pogłębiające refleksje. Dzięki nim szybko można znaleźć się na poziomie mułu.

Jest w ogóle prośba w związku z Tuskiem i jego wspólnikami oraz wspólnicami. Jak państwo zapewne wiedzą, zamykamy i wysyłamy numer „Do Rzeczy" w piątek, a w kioskach pojawia się w poniedziałek. Niestety, nader często najgłupsze i najbardziej żenujące rzeczy politycy Eine Totalopposition mówią w weekendy, przez co nie zdążamy ich od razu skomentować. Chyba że tydzień później. Jest więc prośba: Czy nie moglibyście równie piramidalnych bzdur mówić także przed piątkiem? Zauważamy oczywiście, że niektórzy ludzie Peło spełniają nasze postulaty z naddatkiem. Na przykład Radek Sikorski. On bredzi każdego dnia podobnie.

Lato, czas imprez, grillów i różnych party. Jakub Kumoch, który robi u prezydenta za speca od spraw zagranicznych, postanowił urządzić u siebie w akademiku imprezkę dla kolegów z kancelarii. Okazją była rocznica jego służby dla Andrzeja Sebastiana. Frekwencja nie była zachwycająca. Ale pojawił się niespodziewany gość. Był to paparazzi pracujący dla jednej z bulwarówek. Mamy swoje podejrzenia, kto zakapował, ale zachowamy je dla siebie. No dobrze, podzielimy się naszymi podejrzeniami z Kubą.

Niektórzy w wakacje imprezują, inni pracują. Reporterka tefauenów wtargnęła tuż przed poprawkowymi maturami do liceum w Tomaszowie Mazowieckim. Nie rozumiemy oburzenia. Może po prostu bardzo chciała się czegoś nauczyć? To godne pochwały, chodzi o Katolickie Liceum im. św. Ojca Pio. Wizytę więc należy pochwalić. Reporterce należy się gratis katechizm oraz podręcznik do HiT prof. Roszkowskiego. Choć obawiamy się, że nie zrozumie. ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

Grzyby: jak zbierać z głową

Sezon grzybowy trwa tak naprawdę cały rok, ale to właśnie jesień jest czasem, kiedy w lasach pojawiają się grzyby najbardziej poszukiwane i pożądane – od pysznych prawdziwków począwszy, przez złociste rydze, na poczciwych podgrzybkach kończąc. Jak zbierać grzyby bezpiecznie?

Na co zwracać szczególną uwagę i czego się wystrzegać? No i w końcu – jakich zasad podczas grzybobrania przestrzegać w lasach, tak aby nie zaszkodzić naturze?

Z CZYM DO LASU

Podstawą udanego grzybobrania jest pewność, że to, co ląduje w naszym koszyku, nadaje się do jedzenia, jest smaczne i nie zepsuje nie tylko potrawy, lecz także nie wpłynie negatywnie na nasze zdrowie. Warto więc zaopatrzyć się w dobry atlas grzybów – taki, w którym znajdziemy dobrej jakości zdjęcia i wyczerpujące opisy. Zawsze w zanadrzu pozostaje też „telefon do przyjaciela" – kogoś, kto na grzybach zna się dobrze i u kogo można się upewnić, że znaleziony okaz nadaje się do wrzucenia do garnka i – co bardzo istotne – nie jest pod ochroną.

W co zbierać? Złym pomysłem są reklamówki – grzyby w nich zaparzają się, a czasem nawet pleśnieją. Zaopatrzmy się więc w – najlepiej wiklinowy – koszyk. Mamy dziś olbrzymi wybór – od tradycyjnych kobiałek do koszy à la plecaki, które można wygodnie zarzucić na plecy. Na wyposażeniu prawdziwego grzybiarza powinien być też zawsze ostry kozik.

JAK ZBIERAĆ

Do zbioru wybieraj jedynie grzyby w pełni zdrowe – niezarobaczone, nienadgniłe czy nienadpleśniałe. Staraj się nie uszkodzić ściółki – nie rozgarniaj jej i nie rozkopuj. Dzięki delikatnemu potraktowaniu zachowasz w dobrym stanie grzybnię, z której wyrosną nowe owocniki. Jeśli nie jesteś pewny/pewna, czy napotkany grzyb jest jadalny, pozostaw go w lesie – nie kop, nie odwracaj kapelusza, nie odłamuj. Każdy grzyb w lesie znajdzie swojego amatora – grzyby są ważnym pożywieniem ślimaków, owadów i leśnych ssaków.

CZEGO SIĘ WYSTRZEGAĆ

Na pewno nieraz słyszałeś/słyszałaś, że jadalne są jedynie grzyby z hymenoforem rurkowym, a te z blaszkami – absolutnie nie. Cóż, taka zasada to mit. Co powiesz w takim razie na mleczaje, w tym popularne w naszej kuchni i supersmakowite rydze? A jak ta zasada ma się do goryczaka żółciowego? No właśnie... To mit numer jeden. Popularne jest też przekonanie, że jeśli grzyb ma łagodny smak, z pewnością nam nie zaszkodzi. Stop – to mit numer dwa. Silnie toksyczny muchomor zielonawy ma smak łagodny, a jego spożycie może się skończyć poważnymi problemami. To samo tyczy się nadgryzania grzybów przez zwierzęta – niektóre z nich przez wieki wykształciły odporność na grzybowe toksyny. Ślimak zjadający muchomora nie jest więc znakiem, że grzyb i nam nie zaszkodzi. Toksyn z grzybów nie pozbędziemy się również poprzez ich wielokrotne wygotowanie – zasada ta, owszem, dotyczy zazwyczaj pozbywania się gorzkiego smaku (tak jest np. w przypadku niektórych mleczajów), ale nie sprawdza się w kontekście grzybów silnie trujących. Co więcej, opary podczas gotowania (np. w przypadku niektórych piestrzenic) mogą nam także mocno zaszkodzić.

Podejrzewasz u siebie zatrucie grzybem? Nie pij mleka – to nieprawda, że pomoże się pozbyć toksyn. Wywołaj wymioty i zabezpiecz je przed wizytą w szpitalu, do którego trzeba udać się najszybciej, jak to możliwe.

Pamiętaj, że niektóre grzyby są jadalne, ale nie należy ich łączyć z alkoholem. Tak jest w przypadku np. czernidłaka pospolitego. To smaczny, delikatny grzyb, jednak w połączeniu z napojem wyskokowym może nam mocno zaszkodzić.

Żeby nie zagubić się w lesie, warto zainstalować aplikację mBDL –pomoże ci znaleźć drogę w każdej sytuacji

SZANUJ LAS

Grzybobranie to nie okazja do imprezowania w lesie. Pamiętaj, jesteś w nim gościem. Staraj się zachować ciszę i nie rozdeptywać leśnego runa. Pozostaw po sobie ład i porządek – nie wyrzucaj butelek, papierków, nie zaprószaj ognia tlącym się niedopałkiem. Wszystkie śmieci zabierz ze sobą. Nie kop grzybów, których nie chcesz zebrać, i nie niszcz ściółki. Pamiętaj – w lesie nie można też bez pozwolenia rozpalać ogniska i obozować poza miejscami do tego przeznaczonymi.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 93f7da71ef

Zero pobłażania
dla ekologicznego terroru

Dla dobra sprawy warto wysłuchać opinii każdej ze stron, zwłaszcza gdy temat dotyczy całego społeczeństwa. Gorzej, gdy chęci do rozmów brak, a w ich miejsce w ruch idą wrzaski, niecenzuralne słowa, a nawet łamanie prawa. Czemu lasy – bo o nich mowa – budzą tak wielkie emocje u przedstawicieli organizacji pseudoekologicznych? Dlaczego tak trudno rozpocząć dialog? O przykrych konsekwencjach działalności ekoterrorystów rozmawiamy z Michałem Gzowskim, rzecznikiem prasowym Lasów Państwowych

Gwoździe powbijane w drzewa, uszkodzone ambony, zablokowane maszyny leśne to obok steków wyzwisk w Internecie najnowsze przejawy działań osób mieniących się obrońcami przyrody. O co w tym chodzi?

MICHAŁ GZOWSKI: Rzeczywiście obserwujemy eskalację i radykalizację działań części aktywistów ekologicznych. To efekt kuli śniegowej, którą rozpędzano początkowo w Internecie, na ulicznych protestach. Efektem nakręcanych przez pewne gremia emocji stało się narastanie niechęci wobec leśników. Teraz przybiera ona skrajne formy, które zagrażają bezpieczeństwu i życiu ludzi.

Jakie mogą być skutki wbijanych w drzewa gwoździ, do czego doszło w Nadleśnictwie Lutowiska?

Tragiczne. Narażone zostało życie i zdrowie osób, które pracują w lesie. Przede wszystkim pilarzy, którzy takie drzewa pozyskują. A także pracowników tartaku, do którego trafiłaby kłoda. Niewidoczny metal w drewnie nie tylko niszczy drogie maszyny. Przede wszystkim powoduje pęknięcia rozpędzonych ostrzy używanych do ścinki czy obróbki drewna. Łańcuchy, piły pękają i zachowują się nieprzewidywalnie. Dodatkowo są w stanie wyrwać taki gwóźdź, który tak jak same piły może wbić się komuś w odsłonięte części ciała. Czyjaś śmierć lub kalectwo to bardzo prawdopodobny scenariusz.

Szafowanie życiem w obronie przyrody?

Szafowanie życiem na pewno. Ale czy w obronie przyrody? Mam wątpliwości. 8 sierpnia policja zlikwidowała nielegal-

eprasa.pl 93f7da71ef

ne koczowisko tzw. Kolektywu Wilczyce w Bieszczadach. Obozowisko działało od zimy zeszłego roku, a jego mieszkańcy deklarowali palącą konieczność ochrony lasów. W duchu hiperpoprawności mówili o sobie jako „osobach ekologicznych". Według informacji policji znaleziono tam narkotyki, i to w ilościach wskazujących na ich handlowe przeznaczenie. Miejsce po koczowisku nie wygląda jak obóz miłośników natury. Gdy zdemontowano nadrzewne platformy, okazało się, że drzewa są pokaleczone, poniszczone. Na miejscu było bardzo brudno, zniszczona ściółka. Wywieziono stamtąd dwa kontenery odpadów. I tak właśnie wygląda ochrona przyrody w wydaniu „osób ekologicznych".

Ten obóz był także w Bieszczadach, czyli tam, gdzie ktoś powbijał gwoździe w rosnące drzewo.

Dlatego nie można wykluczyć związku obu spraw. Kolektyw Wilczyce działał także na terenie Nadleśnictwa Lutowiska, gdzie powbijano gwoździe w stojące drzewa. Niestety, podobne zdarzenie miało miejsce również w lasach podwarszawskich. Policja ustala teraz, kto powbijał gwoździe w Bieszczadach. Ale zadajmy sobie pytanie o prawdziwych sprawców. Czy nie są winni pseudoekolodzy, którzy napędzają spiralę hejtu i prowokują młodych, nierzadko naiwnych ludzi? Kto jest faktycznym sprawcą terroru?

Terroru?

Musimy nazywać rzeczy po imieniu, szczególnie teraz, kiedy w państwie sąsiadującym z Polską trwa wojna. Ruchy działające pod płaszczykiem ekologii próbowały szpikować drzewa metalem w USA. Tamtejszy, odmienny co prawda system prawny, zareagował na to adekwatnie. W Stanach bez ogródek takie działania nazywa się ekoterroryzmem i penalizuje – grozi za to odpowiedni wyrok. Żeby nie być gołosłownym – sąd w Illinois skazał dwóch amerykańskich aktywistów środowiskowych za zniszczenie ogrodzenia fermy norek i wypuszczenie na wolność ok. 2 tys. zwierząt. Działacze za swój czyn dostali po trzy lata więzienia.

Na jakim etapie jest w tej chwili ta sprawa?

Trwa postępowanie organów ścigania. W okolicy sprawdzamy, czy nie ma więcej takich drzew, czy nie pojawiają się kolejne. Będzie większa stanowczość w nazywaniu spraw po imieniu i ściganiu przestępców. Wandalizm, w wyniku którego powstaje zagrożenie życia, nie może być nazywany „aktem obywatelskiego sprzeciwu". To jest po prostu terror, na który w Polsce nie ma przyzwolenia.

Drogą do szukania optymalnego dla przyrody rozwiązania jest dialog. I gorąco do niego zachęcam wszystkie organizacje i ludzi, którym środowisko naturalne jest bliskie sercu

A co się dzieje z okaleczonymi w ten sposób drzewami?

Metalowe elementy w drewnie obniżają jego wartość i ograniczają możliwości jego wykorzystania. Dla przykładu – uszkodzone drewno dębowe mogło posłużyć jako materiał do budowy domu czy mebli. W ten sposób zmagazynowany w nim węgiel pochodzący z atmosfery zostałby wyłączony z obiegu na dziesiątki lat. Spowodowane uszkodzenia sprawiają, że drewno nadaje się wyłącznie na opał, a zmagazynowany w nim dwutlenek węgla zostanie uwolniony do atmosfery w ciągu najbliższych kilku lat. Z której strony by analizować ten proceder, nie sposób doszukać się w nim przejawów jakiejkolwiek troski o przyrodę.

Może to rodzaj ostrzeżenia albo informacji?

Zostawianie kartek opatrzonych niewybredną treścią i mocowanie ich do drzew to forma komunikacji nieprzystająca do dzisiejszych czasów. Zachęcam do dialogu z wykorzystaniem ogólnodostępnych środków przekazu. Czas zejść z drzew, zakończyć wrzaski na ulicznych demonstracjach i zacząć ze sobą rozmawiać. Wydaje się, że to rozwiązanie tak proste i oczywiste, a jednak dla środowisk pseudoekologicznych stanowi barierę nie do przeskoczenia.

Dlaczego?

Bo do rozmowy trzeba się przygotować, przedstawić argumenty poparte wiedzą, doświadczeniem, konkretnymi przykładami. Zdecydowanie prościej urządzić widowiskowe akcje, które przyciągną uwagę mediów. Trywializować temat poprzez prymitywne rozdanie ról, że wy jesteście źli, a my dobrzy, z nadzieją, że taka narracja najszybciej trafi do odbiorów. Przecież nikt nie protestuje bez powodu.

Zastanawiam się, jak daleko, w imię rzekomej ochrony przyrody, są w stanie posunąć się środowiska pseudoekologiczne. Jak głęboko wierzą w krzewioną ideologię. Ideologię, której ceną może stać się ludzkie życie, jeśli działania pseudoekologów nadal będą się radykalizować. Przemoc i próba wymuszania siłą zmiany postaw to działania sprzeczne z prawem. Ekoterroryzm to po prostu głupota i wielkie niebezpieczeństwo. Miejmy odwagę nazywać rzeczy po imieniu.

Jaką informację chciałby pan przekazać ekologom za naszym pośrednictwem?

Drogą do szukania optymalnego dla przyrody rozwiązania jest dialog. I gorąco do niego zachęcam wszystkie organizacje i ludzi, którym środowisko naturalne jest bliskie sercu. Zamiast głośno krzyczeć na ulicy czy wchodzić na drzewa, usiądźmy do stołu, posłuchajmy ekspertów i działajmy razem dla wspólnego dobra, jakim są piękne polskie lasy. Niech ekolodzy udowodnią w ten sposób, że ich faktycznym celem jest troska o środowisko przyrodnicze. Że ich działania nie mają związku z politycznym lobby, a stawką w grze nie są pokaźne środki finansowe zagranicznych koncernów.

Jak to jest naprawdę z lasami w Polsce? Rzeczywiście ich ubywa, jak twierdzą ekolodzy?

Mamy nie tylko jeden z największych areałów leśnych w Europie (9,4 mln ha), lecz także jest on bardzo zasobny. W polskich lasach dojrzewa właśnie to, co leśnicy posadzili w latach powojennych, podnosząc aż o połowę (!) lesistość kraju. To łącznie przeszło 2,7 mld m sześc. drewna. Użytkowanie na poziomie 2,5 proc. tego zasobu (40 mln m sześc. drewna rocznie w Lasach Państwowych) nie tylko go nie uszczupla, lecz także go powiększa. Drzewa cały czas przyrastają, a w Polsce pozyskuje się jedynie dwie trzecie rocznego przyrostu. Lasów nigdy nie jest za dużo i nawet gdy osiągniemy 33 proc. lesistości (czyli założenia Krajowego Programu Zwiększania Lesistości do 2050 r.), nadal będziemy ją zwiększać, by Polska była jeszcze bardziej zielona. Dla dobra przyrody, dla komfortu życia Polaków, dla rozwoju naszej gospodarki…

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 93f7da71ef

Biznesowa

Jerzy Karwelis

Kto może być zainteresowany trwaniem pandemii? Big Pharma. A kto jest największym klientem reklamowym mediów? Big Pharma. To się niebezpiecznie łączy

Na początku pandemii odwiedziłem prominentnego, choć lokalnego decydenta w obszarze zdrowia publicznego. Wtedy jeszcze mówił do rzeczy, ale po kilku tygodniach, jak większość tej społeczności, odjechał w sanitaryzm. Jednak wtedy, jak się śmieje Internet, kiedy jeszcze „nie przyszły przelewy", można było rozsądnie pogadać. Na moje pytanie, kiedy to się skończy, odpowiedział starym powiedzeniem – jak zarobią wszyscy, którzy mieli zarobić. Chwilę po tym coś podobnego chlapnął prof. Gut, wiodący ekspert Głównego Inspektora Sanitarnego.

Zacząłem się zastanawiać, kto to może być, ten podmiot (podmioty?) zainteresowany trwaniem pandemii, i moje oko spoczęło na Big Pharmie, czyli wielkich firmach farmaceutycznych. No bo z punktu widzenia interesów koszmarem takiego interesu jest społeczeństwo zdrowe, wyleczone. Mieliśmy zatem do czynienia ze sprzecznością interesu biznesowego i publicznego. I gdy, inspirowany tym covidowym przypadkiem wzmożenia interesów tej branży, zacząłem się temu przyglądać, zaczęły wychodzić mi nieciekawe spostrzeżenia.

SZLACHETNE ZDROWIE

Po pierwsze – istota, czyli samo zdrowie. Jest to magiczna sfera, gdzie każdy człowiek czuje potrzebę bezpieczeństwa, w tym wypadku zapewnianą przez fachowców. Zdrowie, obok jedzenia, to jeden z pewników handlowych, w dodatku obarczony znaczącymi emocjami. Wie to każdy, kto chorował lub komu zachorował ktoś bliski – wtedy nic się nie liczy, żadne tam postulaty systemowe, zapożyczysz się, zastawiasz, dajesz łapówkę, byle tylko ktoś ci dał nadzieję na wyzdrowienie. Tobie lub komuś bliskiemu. Jest to więc dziedzina wrażliwa, warta każdych pieniędzy i firmy o tym wiedzą.

Od dawna można wyśledzić pewien proceder. W 1908 r. istniało oficjalnie w medycynie osiem lekarstw, z czego sześć ziołowych, i 15 znanych chorób. Dziś mamy odpowiednio 740 tys. leków i ok. 300 tys. chorób. Dożyliśmy czasów, o których szydercy mówią, że postęp medycyny jest już tak daleki, że praktycznie nie można znaleźć zdrowego człowieka. Wedle opisanego mechanizmu priorytetu biznesowego nad dobrem publicznym, jakim jest zdrowie publiczne, Big Pharma od wielu lat prowadzi szeroko zakrojone kampanie informacyjne opisywane jako

eprasa.pl 93f7da71ef

pandemia

FOT. ADOBE STOCK

„podżeganie chorobowe". Lynn Payer, autorka tego terminu, w swojej książce pt. „Podżeganie chorobowe. Jak lekarze, firmy farmaceutyczne oraz ubezpieczyciele sprawiają, że czujesz się chory" określiła takie podżeganie jako „proceder, który jest próbą przekonania zasadniczo zdrowych ludzi, że są chorzy, oraz lekko chorych – że są ciężko chorzy".

Techniki narracyjne takiej strategii są znane i pewnie czytelnikom znajome, gdyż obcujemy z nimi na co dzień:

- wskazywanie na normalną czynność organizmu i sugerowanie, że coś jest z nią nie w porządku i że należy ją leczyć;
- opisywanie dolegliwości, które niekoniecznie ludziom doskwierają;
- wskazywanie, że duży odsetek populacji cierpi na daną „chorobę";
- określanie choroby jako niedobór czegoś lub brak równowagi hormonalnej;
- zatrudnianie doktorów, którzy potwierdzą przekaz;
- wybiórcze wykorzystywanie statystyki w celu wyolbrzymienia pozytywnych stron zażywania leku;
- promowanie leku jako całkowicie bezpiecznego;
- branie powszechnie występującego objawu, który może oznaczać cokolwiek, i mówienie, że jest oznaką poważnej choroby.

Przedstawię istotę tego procederu na mym ulubionym przykładzie – „syndromie niespokojnych nóg". Doznałem szoku poznawczego, wydaje mi się, że z milionami widzów reklamy tego produktu. Otóż w 30 sekund przeszedłem przyspieszony proces: szok, strach, ulga. Po pierwsze dowiedziałem się, że mogę mieć taki syndrom, i z reklamówki wynikało, że przeszkadza on pod kołderką partnerce. Jak już się zmartwiłem, to mnie oświecono, że istnieje lek na tę przypadłość, o której ani nie wiedziałem, ani jej u siebie nie zaobserwowałem. A że był na to lek, to moja chwilowo wzbudzona obawa znalazła ujście w postaci chęci zakupu, ba – wdzięczności, że jacyś zapobiegliwi naukowcy to wykryli i dali na to nawet pigułę…

Jak widać z tej analizy, podstawą reakcji jest przywołany wcześniej strach, a co najmniej obawa o swoje zdrowie. Do czasów koronawirusa był on w komunikacji dozowany oszczędnie, w pandemii maski spadły – zaczęliśmy straszyć ludzi codziennie od rana do nocy, wywołując bardziej pandemię strachu niż – patrząc na dane epidemiologiczne – pandemię wirusową. Była to poważna inwestycja

eprasa.pl 93f7da71ef

marketingowa, a złote czasy Big Pharmy miały dopiero nadejść wraz z wynalezieniem szczepionek. Inwestycja się opłaciła – deszcz pieniędzy spłynął ze sfery publicznej do praktycznych monopolistów. Sprzedaż Pfizera tylko w ostatnim kwartale 2021 r. wyniosła 23 mld dol., z czego 12,5 mld ze sprzedaży szczepionek. Prognozy na cały 2022 r. to 98–102 mld dol., z czego 32 mld ze szczepionek i 22 mld ze sprzedaży leku na COVID, Paxlovidu. Mówimy tu więc o poważnych pieniądzach i widać dokładnie, skąd one pochodzą.

Najjaskrawiej perfidia tego postępowania wyszła właśnie na przykładzie covidowych szczepionek. Wzmożenie ludu spanikowanego było takie, że sprawa dostępu do szczepionek stała się politycznym dowodem na skuteczność instytucji i organów to załatwiających. Można sobie przypomnieć choćby te polskie poruszenia, kiedy to opozycja sarkała, że Morawiecki się spóźnia, że nie współpracuje z Unią, bo ta – po kompletnej zapaści swych funkcji na początku COVID – rzuciła się do tego, co umie najlepiej, czyli regulowania. Ileż to było emocji, że kupią przed nami! I jak wszyscy się starali sprostać zapotrzebowaniu nakręconej publiki. Najbardziej widać to teraz, kiedy wypłynęły e-maile latające pomiędzy Komisją Europejską i Big Pharmą. Instytucje publiczne, które miały stać na straży zdrowia publicznego, wręcz pospieszały Big Pharmę, by nie certoliła się ze szczegółowymi badaniami preparatu. Lud chce – więc dawać, co tam macie.

OJCOWIE ZAŁOŻYCIELE

I tu pora zobaczyć, jak ten strach, jako największy kapitał, był inwestowany. Zacznijmy od pieca, czyli kto jest właścicielem Big Pharmy? Jest ona praktycznie pod kontrolą dwóch najpotężniejszych funduszy światowych, o łącznej wartości obrotów 9,1 bln dol. To fundusze Black-Rock i Vanguard Group. Należy do nich 1,6 tys. firm na świecie, a ich łączne obroty są planowane na rok 2028 w wysokości 20 bln dol. Będą więc właścicielem wszystkiego.

Co wyjaśnia wiele, ta para funduszy (w dodatku wzajemnie powiązana udziałami) jest właścicielem większości mediów. To dwaj najważniejsi właściciele Time Warner, Comcast, Disney i News Corp, czterech z sześciu firm medialnych, które kontrolują ponad 90 proc. amerykańskiego rynku medialnego. W szczegółach (wynikających z artykułu Janette Cooperman z portalu Commonreader.wustl.edu) sytuacja właścicielska obu funduszy w 2021 r. wygląda tak:

Wzmożenie ludu spanikowanego było takie, że sprawa dostępu do szczepionek stała się politycznym dowodem na skuteczność instytucji i organów to załatwiających

- 18 proc. Foxa,
- 16 proc. CBS,
- 13 proc. firmy Comcast, która jest właścicielem NBC, MSNBC, CNBC i grupy medialnej Sky,
- 12 proc. CNN,
- 12 proc. Disneya, który jest właścicielem ABC i FiveThirtyEight,
- 10–14 proc. firmy Gannett, która jest właścicielem ponad 250 dzienników Gannett plus USA Today,
- 10 proc. wiadomości lokalnej telewizji Sinclair, która kontroluje 72 proc. lokalnej telewizji w Stanach Zjednoczonych.

Jeśli dodamy do tego, że oba fundusze mają znaczące udziały w Microsoft, Apple czy Facebooku, to też staje się jasne, dlaczego w takich np. mediach społecznościowych nie było miejsca na inną narrację niż covidową. Ostatnio portal Thenationalpulse.com dokonał ciekawej analizy implikacji faktu sponsorowania przez Pfizera International Center for Journalism, inicjatywy Facebooka, w której kształci się dziennikarzy jako fact-checkerów walczących z dezinformacją w sieci (głównie covidową).

To powiązania kapitałowe. A co z mediami spoza rynku amerykańskiego? No, tu wystarczą już tylko pieniądze na reklamę. Big Pharma to największy klient reklamowy mediów. W USA w 2021 r. ten rynek wyniósł 6,88 mld dol. Co ciekawe, zaczęły się mnożyć kampanie nie poświęcone konkretnym lekarstwom, ale budujące świadomość Big Pharmy jako zbawcy ludzkości, też w ramach triady szok – strach – ulga. Należy też pamiętać, że rynek amerykański jest bardziej liberalny i można tam reklamować leki recepturowe. W ten sposób pacjent ma domagać się od lekarza przepisania konkretnego leku, który go urzekł. U nas to zabronione, a więc gros reklam w polskich mediach to leki bez recepty, sprzedawane w rozciągliwej formule suplementów diety.

Co to oznacza? Mamy kompatybilność właścicielską pomiędzy Big Pharmą a mediami. W pozostałych przypadkach – pozycję strategicznego klienta reklamowego. A kompatybilność przekazu oznacza zorkiestrowaną narrację. Przecież w takiej telewizji czy Internecie obecność przekazu kwestionującego pandemiczność pandemii nie może występować obok komunikacji firm farmaceutycznych, które ratują swymi produktami świat. W związku z tym tajemnica, jak to się stało, że praktycznie wszystkie media nadawały covidowo bez wyjątku, chyba się powoli wyjaśnia.

Ciekawym fenomenem jest to, że praktycznie przed szczepionkami właściwie nie było lekarstwa na COVID, a i tak wydatki reklamowe wzrosły. Głównie dlatego, że – jak pisałem – mieliśmy do czynienia z ludem zamkniętym, spanikowanym i łatwo było takie towarzystwo podżegać do tego, że pewnie im coś tam jest, a jak już człowiek zacznie wsłuchiwać się we własny organizm, będąc jeszcze poganianym odkryciem różnych syndromów à la „niespokojne nogi", to coś się znajdzie. I co jeszcze ciekawsze – ten trend się utrzymuje do dziś, choć głównego hitu Big Pharmy, czyli szczepionek na COVID, reklamować nie trzeba. Robi to za Big Pharmę każdy rząd, mnożąc obostrzenia i administracyjne nakazy.

Mamy więc do czynienia z niezwykłym skomasowaniem władzy nad zdrowiem publicznym i komunikacją z tym związaną. To nie tylko tworzy panikę na poziomie globalnym, lecz także oddziałuje na politykę. W krajach demokratycznych (zauważyliście, że w autorytarnych nie?), jeśli rząd ma przestraszonego suwenira, to musisz nadstawić ucha i panikować razem z nim. I nie ma to nic wspólnego z obiektywną prawdą – jest to tzw. społeczny dowód słuszności, który, choć mylny, przekształca się w wolę polityczną, na którą musi odpowiedzieć władza. Na tym polega polityczny aspekt inwestycji marketingowych Big Pharmy. Coś takiego, jak namawianie przez telewizję pacjenta, by ten od lekarza wymusił zapisanie konkretnego leku. Tak teraz, tyle że na większą skalę, bo to lud wyborczy, postraszony za kasę od Big Pharmy, mówi władzy, jakie ma wprowadzić obostrzenia. Pomogą mu w tym fachowcy.

Gdy się mówi z medykami tak naprawdę, to od razu wychodzi, że cała ta branża jest przeżarta – delikatnie mówiąc – konfliktem interesów. Redaktor Pawlicki

eprasa.pl 93f7da71ef

w 17-osobowej Radzie Medycznej przy premierze naliczył 12 medyków z konfliktem interesów. Zasiadając jak najbardziej obiektywnie w Radzie, byli jednocześnie na garnuszku Big Pharmy – czy to w programach badawczych, czy poprzez fundacje, które mieli pozakładane. I nikt nie powiedział nic. Po prostu okazało się, że nie można znaleźć praktycznie żadnego koryfeusza medycznego, który by był korupcyjnie niewinny jak łątka.

Big Pharma też dobrze się rozprowadza po innych instytucjach. Media omówiliśmy, ekspertów też, teraz władza. No, bo jak się lobbuje, a się lobbuje, to trzeba tam mieć swoich ludzi. Po pierwsze, ciekawy przykład z Polski. Szef polskiego oddziału AstraZeneca (producenta szczepionek) zasiadał w zarządzie jednej z organizacji przedsiębiorców – tej, która forowała obowiązek szczepienny wśród pracowników, w dodatku egzekwowany przez pracodawców.

Gorzej, gdy się spojrzy na karierę dyrektorów BlackRock w administracji USA. Po kryzysie w roku 2008 prezydent Obama powierzył funduszowi zadanie posprzątania po krachu. Craig Philips, były dyrektor BlackRock, pracował u Trumpa, teraz mamy poważny transfer do Bidena – od Larry'ego Finka na stanowisku sekretarza skarbu, przez największego doradcę ekonomicznego Adewale Adayemo, aż do głównego doradcy ekonomicznego wiceprezydent Kamali Harris, byłego dyrektora wykonawczego BlackRock – Michaela Pyle'a. To na poziomie, rzekłbym, światowym. Lokalnie Big Pharma rozprowadza się techniką drzwi obrotowych, gdzie pracownicy firm farmaceutycznych trafiają do rządowych regulatorów jako fachowcy, a po okresie inkubacji, przechodzą do Big Pharmy.

LOBBING JAKO NARZĘDZIE

Mamy jeszcze bardzo mocne narzędzie oddziaływania Big Pharmy na polityki zdrowotne państw, i to na poziomie światowym. Tym narzędziem jest WHO (Międzynarodowa Organizacja Zdrowia), agenda przy ONZ uzurpująca sobie władzę globalną nad światowym zdrowiem. Właściwie nie bardzo wiadomo, na zasadzie jakiego mechanizmu. Bo wygląda na to, że jest nadrzędna nad rządami poszczególnych krajów. Uświadomił to niedawno minister Niedzielski, informując, że decyzja o końcu pandemii będzie podejmowana na poziomie międzynarodowym. Wygląda to logicznie, bo pandemia (wedle nowej, wprowadzonej przez WHO definicji) musi być międzynarodowa i trudno, żeby jakiś kraj ogłosił, że (u niego) jej nie ma, bo wtedy inne kraje nie będą wiedziały, czy u nich jest czy nie. To pokazuje niesamowity mechanizm, który w dodatku nie tylko akceptują rządy, lecz także ludzie. WHO siedzi w kieszeni Big Pharmy i ta, po raz kolejny, po mediach i ekspertach, ma pośredni kanał wpływu na decyzje światowe o zdrowiu publicznym, może więc sterować i wzmagać pandemiczne fale (paniki) dowolnie. Wydaje „tylko" rekomendacje, ale te są źródłem regulacji lokalnych, krajowych. I o tym mówi pan minister. W związku z tym mamy nietransparentną, korupcjogenną organizację, której nikt nie wybierał, a która decyduje o przyszłości nie tylko zdrowotnej, lecz także cywilizacyjnej. W związku z tym, że WHO tylko „radzi", co masz zrobić, a ministerstwa krajowe wykonują, to pozostaje pytanie, kto w danym kraju odpowiada za ostateczne decyzje. Ja tam nic o WHO w konstytucji nie czytałem.

Mamy jeszcze mocne narzędzie oddziaływania Big Pharmy na polityki zdrowotne państw. Tym narzędziem jest WHO

Funkcjonowanie w instytucjach decyzyjnych to podstawa lobbingu. Big Pharma wyraźnie wykorzystuje to do zwiększenia popytu na swoje produkty. W dodatku bez podstaw naukowych, nawet rynkowych, tylko po to, by poszerzyć grono odbiorców. Grono, którego nie trzeba w dodatku indywidualnie namawiać – wystarczy przekonać do tego decydentów, wśród których zasiadamy. Kupuje się więc nie na sztuki w aptece, ale miliony w hurcie, płacąc z góry publicznymi pieniędzmi. Stąd te wszystkie wygibasy – po to, by „zeszły" te szczepionki leżące w magazynach, w czym notabene ma także interes władza, bo inaczej wyjdzie, że nakupiła tych preparatów jak głupi Jasio pączków. I co mamy? Ano wszystko – szczepimy dzieci od szóstego miesiąca życia, a jest to grupa, która nie choruje i nie zakaża. Mnożymy liczbę dawek pod warianty, które już przeszły, zamachujemy się na czwartą szczepionkę, ale ta ma być poprzedzona trzema wcześniejszymi, znowu – na warianty, których już dawno nie ma. Kobiety w ciąży – dalejże, karmiące – proszę bardzo. Big Pharma łakomie ogląda się na niezaszczepioną Afrykę, która notabene bardzo lekko przechodzi wirusa bez walki. Szukamy więc rynków zbytu, a pomoże nam w tym wpływ na regulatora.

DORABIANIE NA BOKU

Big Pharma zaczyna zarabiać na lekach, które mają łagodzić efekty przyjęcia ich szczepionek. A więc jak mamy zakrzepicę po szczepionkach, to da się zarobić i na nich, i na leczeniu skutków przyjęcia tego preparatu. W ogóle z tym leczeniem to było mocno po bandzie. Jak sobie państwo przypominają, COVID nie leczono. Teorie spiskowe mówią, że na leczeniu się nie zarabia, bo leczy się „tylko" chorych, a na szczepionkach się zarabia, bo szczepi się wszystkich, nawet zdrowych, nawet tych z naturalnymi przeciwciałami. Jako że inwestowaliśmy w szczepionki, to w czasie oczekiwania na nie Big Pharma za pomocą swej piekielnej triady regulatorzy – eksperci – media wycinała wszystkie próby wprowadzenia lekarstwa na COVID. Amantadyna z dr. Bodnarem to temat na Mrożka, kiedy to okazało się, że lekarstwo przyjmowane na inne choroby od dziesięcioleci stało się nagle trujące. Szczyt osiągnęła firma Merck, która wycinała wszelkie próby zastosowania na COVID iwermektyny, choć sama wynalazła ten lek. Ale robiła to tylko dlatego, że nie mogła na tym zarobić, bo lek utracił już ochronę patentową i ktoś inny mógłby go produkować. A więc jak tak – to nikt.

Zastanawiałem się, jak spuentować te znaleziska? I właśnie natknąłem się na wiadomość, która jak w soczewce opisuje to wszystko, co chciałem tu wyłuszczyć. Oto najnowsze oświadczenie szefa Pfizera, głównego producenta szczepionek, Alberta Bourla: „Chciałem Państwu dać znać, że mam pozytywny wynik testu na COVID. Jestem wdzięczny za to, że otrzymałem czwartą dawkę naszej szczepionki i czuję się dobrze, doświadczając tylko niewielkich symptomów. Przebywam na izolacji i rozpocząłem kurację paxlovidem".

Mamy tu wszystko: zadowolonego prezesa, który wziął czwartą dawkę, jednak zachorował, ale (stara narracja) podrozumiewa się, że bez tego to nie przechodziłby tak lekko tego (którego?) COVID. Na końcu wiadomość marketingowa o nowym leku, wprowadzonym przez Pfizera na koronawirusa. Tym razem z 85-procentową skutecznością. Czyli mniej więcej taką, jaką miały mieć pierwsze dawki szczepionki, która uratowała świat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

Piotr Semka

Wolność. Jakże często o niej na co dzień słyszymy. Wolność od podatków. Wolność feministek. Wolność na Przystanku Woodstock. Wolność od Kaczyńskiego. Wolność od Tuska. A gdzie podziała się troska o wolność, którą starsze pokolenie pamięta jako marzenie o wyzwoleniu się od komunizmu? O wolność, która jest prawem do samostanowienia o swoim losie?

Agresja Rosji na Ukrainę zmusza nas, by zastanowić się nad wartością wolności jako prawa poszczególnych państw do całości terytorialnej i swobody wyznaczania sobie władz. Ta wartość została brutalnie zakwestionowana przez Władimira Putina. Teoretycznie wszyscy (albo prawie wszyscy) w Europie są zgodni w poparciu dla tych dwóch zasad. Odrzucania agresji oraz uznania oderwania części terytorium zaatakowanego państwa i wreszcie prawa do wybierania sobie takiej formy władzy, której ludzie chcą. W praktyce jednak takie formalne deklaracje przekładają się na bardzo różne działania.

Kiedy w 1988 r. prezydenta Ronalda Reagana zastąpił inny republikanin, George W. Bush senior, amerykański publicysta George F. Will opisał polityczną zmianę w USA w bardzo trafny sposób: „Bushism is reganism minus passion of freedom" („Buszyzm to reganizm minus namiętność wolności"). No właśnie, jak z tą namiętnością wolności jest dzisiaj na naszym kontynencie?

Formalnie większość krajów Europy przynależy albo do paktu północnoatlantyckiego, albo do Unii Europejskiej. Obie te polityczne organizacje potępiają atak na Ukrainę, deklarując solidarność z zaatakowanym państwem, i akceptują daleko posunięte sankcje przeciwko Rosji. Tyle że gołym okiem widać już, kto w Unii i w NATO uważa konflikt o wolność Ukrainy za konstytutywny problem naszego kontynentu, a kto z niecierpliwością wyczekuje jak najszybszego powrotu do europejsko-rosyjskiego „business as usual".

TRZYDZIEŚCI ZMARNOWANYCH LAT

Jeżeli przejrzelibyśmy uważnie rozmaite apele, debaty i dyskusje Rady Europy, Parlamentu Europejskiego czy nawet zgromadzenia północnoatlantyckiego, to zauważylibyśmy, że deklaracje tych gremiów dotyczyły bardzo wielu problemów związanych z zagrożeniem szowinizmem, rasizmem, brakiem równości płci, ksenofobią i niechęcią wobec emigracji. Ze świecą by szukać odniesień do pamięci przed recydywą neokomunizmu, która odbywała się w państwie Putina.

Pojedyncze incydenty, w których niemieccy neonaziści atakowali domy dla azylantów, czy protesty czarnoskóre społeczności w Ameryce wywoływały w Parlamencie Europejskim ożywione debaty. Ttymczasem to, co działo się w Rosji od czasu objęcia władzy przez Władimira Putina w 2000 r., zazwyczaj otoczone było taktownym milczeniem. Po części chciano wierzyć, że Rosja Putina zmierza ku demokracji, po części uważano, że Rosja jest już krajem demokratycznym, po części wreszcie nie chciano drażnić rosyjskiego niedźwiedzia, z którym robiło się tak udane interesy. W tej sytuacji nikt nie pytał, dlaczego na terenie Rosji nadal stoją pomniki Lenina, nikt nie proponował debat w europarlamencie w momencie, gdy czerwony sztandar z sierpem i młotem na nowo stał się sztandarem armii rosyjskiej, i nikt wreszcie nie wspierał specjalnie takich państw jak Estonia czy Polska, gdy

eprasa.pl 93f7da71ef

Czy wolność jest wciąż wartością w Europie?

Dlaczego w czasach zimnej wojny, w latach, gdy błyszczały postacie Ronalda Reagana i Jana Pawła II (na zdjęciu ich gdański pomnik), kwestia konfliktu z Moskwą wydawała się tak prosta, a dziś nawet w Polsce – niezwykle doświadczonej przez zagrożenie sowieckie – dla wielu osób sprawa nie wydaje się jednoznaczna? FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

te demontowały stalinowskie pomniki chwały przy groźbach odwetu Rosji.

Wszystko to sprawiło, że o komunizmie mówiono tylko jak o złym zjawisku z przeszłości. Trzeba było coraz bardziej agresywnej praktyki służb podległych Putinowi, takich jak zgładzenie Anny Politkowskiej, zatrucie Aleksandra Litwinienki i Andrieja Nawalnego, by powoli zaczęto dostrzegać podobieństwa między reżimem komunistycznym a tym, co wyprawia Władimir Władimirowicz Putin. Nadal nie towarzyszy jednak temu refleksja, że jednym z elementów obecnego kryzysu jest właśnie nawrót do komunistycznych metod i faktyczna obecność u władzy ludzi uformowanych w czasach ZSRS.

Ta dyskusja nie jest bezprzedmiotowa. Ma ona przełożenie na dyskusje dotyczące wojny. Mój kolega po piórze Łukasz Warzecha w poprzednim numerze „Do Rzeczy" napisał: „Debata w Polsce nad wojenną sytuacją na Ukrainie polega przede wszystkim na konkursie, kto bardziej zelży Rosję i Władimira Putina". Łukasz Warzecha wskazuje, że najchętniej używa się porównań do Hitlera i Stalina, co w opinii Łukasza jest przesadne i oddala nas od zrozumienia sytuacji. Bardzo łatwo jest używać określeń typu „konkurs na najostrzejsze zelżenie Putina", bo nie wiadomo, do kogo mój kolega po piórze się odnosi. Do bezmiarów wypowiedzi w Internecie, skąd można wyciągnąć dokładnie wszystko, do ostrych publicystycznych tekstów polityków czy wreszcie do analiz ośrodków strategicznych czy wojskowych.

Wszystko to nie zmienia faktu, że jakoś nowy typ zachowania Rosji musimy nazwać i do czegoś przyrównać. To, jakiego porównania dokonamy, decydować będzie o wyborze dalszej taktyki wobec agresora. Sprawa ma wpływ na wiele konkretnych rozwiązań. Oto w Europie toczy się dyskusja, czy Rosjanie mają prawo do turystycznego odwiedzania krajów Zachodu. Po stronie „unikającej wielkich słów" pojawił się zarzut, że wszelkie stosowanie odpowiedzialności zbiorowej jest cechą reżimów totalitarnych. Tymczasem wpuszczanie kogoś do własnego kraju jest dla przybywających przywilejem, a nie prawem, i każdemu państwu wolno prowadzić w tej mierze własną politykę. Można dyskutować np., czy rosyjscy tenisiści powinni być dopuszczani do najważniejszych turniejów, ale też nie można przyrównywać tego do zasady odpowiedzialności zbiorowej, która może budzić sprzeciw, gdy dotyczy np. konsekwencji karnych, uwięzienia czy rozstrzeliwania.

Angielskie stowarzyszenie, które organizuje zawody tenisowe, ma prawo uznawać, że nie chce być narażone choćby na jakieś demonstracje prorosyjskie. Obawiać się sytuacji, w której tenisista lub tenisistka nagle wyciągną szarfę z literką Z lub podniosą w górę dłoń i krzykną: „Pozdrawiam was, chłopcy w Donbasie". Poza tym im bardziej dane społeczeństwo ma ograniczony dostęp do opinii krajów zachodnich, tym bardziej potrzebne są widome znaki dezaprobaty, które mogą oczywiście powodować przekorny proputinizm, ale mogą też uświadamiać zwykłym Rosjanom, że ich kraj brnie w ślepy zaułek międzynarodowej izolacji.

ILE WARTA JEST WOLNOŚĆ

W 1948 r. Stalin postanowił wypchnąć zachodnich aliantów z przynależnej im wskutek konferencji połówki Berlina. Wszystkie drogi dojazdowe między zachodnimi sektorami a Berlinem – kolejowe i samochodowe – zostały zablokowane przez sowieckie patrole. Rosjanie byli przekonani, że Berlin nie wytrzyma chłodnej zimy, a demonstracje doprowadzonych do ostateczności wschodnich berlińczyków da się wykorzystać do propagandowego zwycięstwa nad aliantami.

Stało się inaczej. Amerykanie, zaskakując sowieckich analityków, gotowi byli technologicznie do stworzenia mostu powietrznego, który przewoził miliony ton towarów, w tym najcenniejszy surowiec – węgiel opałowy. Ale zdanie testu

eprasa.pl 93f7da71ef

przełamania blokady Berlina nie było możliwe bez samoorganizacji mieszkańców stolicy Niemiec, którzy doskonale zrozumieli, o jaką stawkę toczy się gra.

Popularne powiedzonko z tamtych dni głosiło: „W Berlinie jest zimno... ale na Syberii jest jeszcze zimniej". Można powiedzieć, że ta mobilizacja wokół Amerykanów nie była trudna w sytuacji, gdy prawie każdy Niemiec napatrzył się tuż po wojnie na przykłady zezwierzęcenia krasnoarmiejców i prawie każdy miał jakiegoś krewnego lub znajomego, który przebywał w łagrach na Syberii.

Dziś problem jest bardziej złożony. Mieszkaniec Hamburga czy Monachium boi się chłodnej zimy, a szczegółów rosyjskich zbrodni z osobistego doświadczenia nie zna. Oto już niedługo na ulice Niemiec wyjdą demonstracje, którym patronować będą teoretycznie bardzo oddalone od siebie siły. AfD, czyli Alternatywa dla Niemiec, oraz niemiecka Die Linke, czyli postkomunistyczna lewica. Owe pochody będą protestami przeciwko podwyżce cen energii, ale nietrudno sobie dośpiewać, że na wiecach pojawić się mogą hasła żądające niezrywania z rosyjskimi ropą i gazem.

O tym, jak różne można mieć spojrzenie na kwestię uniezależnienia się od rosyjskich źródeł energii, świadczą dwa bardzo różne fakty. Estonia, która czuje na sobie groźbę rosyjskiego ataku, zamierza zaproponować na forum unijnym kolejny pakiet sankcji. Już wiadomo, że zaprotestują przeciwko temu Węgry, które argumentują, że „sankcje bardziej uderzają w Europę niż Rosję, dlatego dalsze ich zaostrzanie byłoby wbrew zdrowemu rozsądkowi". Węgierski szef dyplomacji Péter Szijjártó poinformował, że w tej sprawie zadzwonił specjalnie do szefa dyplomacji Estonii Urmasa Reinsalu.

W wypadku Niemiec sekretarz generalny współrządzącej partii FDP Wolfgang Kubicki jak gdyby nigdy nic ogłosił, że Nord Stream 2 powinien na nowo rozpocząć swoją działalność. Szef liberałów Christian Lindner nie wykonał żadnego realnego gestu pokazującego, że jest to wystąpienie przeciwko linii partii.

Dyskusja o tym, czy sankcje szkodzą czy nie, jest o tyle trudna, że mówimy o zjawisku, które ocenić będzie można dopiero po dłuższym czasie. Ale powodzenie każdej akcji wymaga determinacji i dyscypliny. Tym bardziej że Rosja to kraj, który znany jest z bardzo rozwiniętego aparatu wojny propagandowej, który od miesięcy przekonuje zachodnie społeczeństwa, że sankcje spływają po Rosji jak woda po kaczce.

Mamy w Europie walkę o naprawdę wysoką stawkę z nową mutacją państwową łączącą najgorsze cechy carskiej Rosji z państwem sowieckim i nie towarzyszy temu żaden skok świadomości mieszkańców naszego kontynentu

CIEŃ WUJA SAMA

Wojna, którą Rosja rozpoczęła przeciwko Ukrainie, nie zaowocowała też próbą odpowiedzi na pytania, czy Europa uznaje, iż wolność i bezpieczeństwo kontynentu są nierozerwalnie związane z obecnością amerykańskiej armii na naszym kontynencie.

Przypomnijmy, że jeszcze półtora roku temu wielu polityków i analityków niemieckich i francuskich całkiem serio ogłaszało, że np. wobec prezydentury Trumpa Europa powinna przygotowywać się do rezygnacji z kooperacji wojskowej z USA i tworzyć własną europejską armię. Atak Putina na Kijów pokazał, jak bezkarna byłaby Rosja w Europie, z której wypchnięto by Amerykanów i w której działanie wszelkich europejskich oddziałów byłoby uzależnione od zgody wszystkich państw unijnych. To, że Rosja wykorzystałaby swoje wpływy w takich krajach prawosławnych jak Cypr czy Grecja do blokowania wspólnego działania militarnego, byłoby bardzo prawdopodobne.

Zresztą całe mówienie o europejskiej armii raziło swoją księżycowością w sytuacji, gdy Ameryka, Rosja czy Chiny łożyły na swoje armie nieporównanie więcej pieniędzy niż większość krajów unijnych. I to właśnie równoległe do więzów unijnych czy nawet NATO-wskich „specjalne" relacje z USA okazały swoją skuteczność w obliczu agresji Putina na Ukrainę. Z tego powodu nadspodziewanie duże zaangażowanie wykazała Wielka Brytania, która potraktowała serio pomoc dla Ukrainy choćby na tle pomocy francuskiej, nie wspominając już o pozorowanej pomocy niemieckiej.

Oczywiście nie dziwi to, że hasło obrony wolności poprzez wspieranie Ukrainy najlepiej zrozumiały kraje bałtyckie, Polska, Czechy, Słowacja czy Rumunia. Problem jednak w tym, że poczucie wagi konfliktu na Ukrainie jest nieporównywalnie słabsze we Francji, w Hiszpanii, Portugalii czy we Włoszech. Trochę przypomina to słynną odpowiedź papieża Jana XXIII na pytanie, ilu ludzi pracuje w Watykanie. Pontifex podobno uśmiechnął się wtedy zjadliwie i dopowiedział: „Połowa". Tak samo dziś w Europie w obronie wolności przed Rosją zdeterminowana jest działać tylko „połowa".

Mamy więc w Europie walkę o naprawdę wysoką stawkę z nową mutacją państwową łączącą najgorsze cechy carskiej Rosji z państwem sowieckim i nie towarzyszy temu żaden skok świadomości mieszkańców naszego kontynentu. Jakoś brakuje wyobraźni, aby zrozumieć, że Putin to polityk zupełnie innego rodzaju niż przywódcy unijni. W latach zimnej wojny pojawiały się chociaż inicjatywy kongresów wolności, w których za pieniądze Amerykanów zbierali się intelektualiści europejscy i emigracyjni, aby definiować, w imię czego Zachód powinien stawiać opór Stalinowi. Dziś mamy bardzo dużo oficjalnych deklaracji, ale w sporej liczbie państw europejskich jest to tylko rytuał, który pokrywa niechęć do wyrzeczeń i faktyczną chęć naciskania na Ukrainę, by ta zakończyła wojnę nawet za cenę daleko idących ustępstw terytorialnych. Argument jest zawsze ten sam. Ci, którzy chcą pomagać Ukrainie, to stronnictwo wojny, a ci, którzy chcą pokoju za wszelką cenę, to uosobienie odpowiedzialności. Rzadko więc wskazuje się, że Rosja Putina, która zachowa sporą część sił i utrzyma u władzy swojego postkagebowskiego cara, powróci jako kolejne zagrożenie za parę lat.

I jeszcze jedno. Argument, że kontynuowanie wojny zwiększa prawdopodobieństwo jakiegoś incydentu, który może doprowadzić do wojny jądrowej. Pokolenie naszych rodziców i dziadków żyło w obliczu grozy atomowego grzyba przez ponad 40 lat. Oni też mieli prawo do obaw. Wprost te obawy demonstrowała europejska lewica hołdująca utopijnym planom jednostronnego rozbrojenia Zachodu. A jednak Zachód jakoś przetrzymał te cztery dekady życia w cieniu sowieckich rakiet i wygrał ten wyścig.

W Polsce ta wygrana wiązana jest z Ronaldem Reaganem i Janem Pawłem II. Teraz warto znów sięgnąć po symbol tych postaci amerykańskiego prezydenta, aby szukać natchnienia do poradzenia sobie z imperializmem Moskwy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

Więzienie musi być gorzkie jak lekarstwo

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

Z wiceministrem sprawiedliwości Michałem Wosiem
rozmawia Karol Gac

KAROL GAC: Prezydent podpisał przygotowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości program reform „Nowoczesne więziennictwo". Co się zmieni?

MICHAŁ WOŚ: Właściwie każdy obszar funkcjonowania więziennictwa. Więzienie to nie hotel czy sanatorium, a wielu osadzonym, zwłaszcza recydywistom, zaczęło się tak zdawać. Dlatego likwidujemy przywileje np. w dostępie do lekarzy specjalistów, rozszerzamy najskuteczniejszy program resocjalizacji, czyli pracę, wzmacniamy bezpieczeństwo funkcjonariuszy, rozszerzamy możliwość stosowania kajdanek. Wygoda osadzonych nie może stać ponad bezpieczeństwem pełniących służbę w więzieniach.

Liczne przywileje, które więźniowie zawdzięczają poprzednim ministrom sprawiedliwości i szefom Służby Więziennej, do absurdu wywindowały pozycję więźniów, która nie wpływała pozytywnie na resocjalizację. Wręcz przeciwnie, wzmacniała ona poczucie bezkarności u niektórych z nich.

Z czego wynikał ten trend?

Z ideologicznego, skrajnie lewicowego podejścia do resocjalizacji, które możemy obserwować m.in. w Skandynawii. Wszyscy widzieliśmy wygodną celę Andersa Breivika.

I grał na konsoli, skarżąc się przy tym na warunki.

Mało kto wie, że w czasach rządów PO-PSL w ok. jednej piątej cel były konsole do gier. To absurd. Obecnie nie ma ani jednej. Wbrew twierdzeniom wielu nie tylko nieuchronność kary, lecz także jej surowość mają znaczenie. A na surowość wpływają nie tylko wymiar kary, lecz także warunki jej odbywania. Oczywiście humanitarne, z poszanowaniem praw człowieka i godności, ale nie oznacza to jakiegoś maksymalnego komfortu i wygody.

To koresponduje z założeniami nowelizacji Kodeksu karnego.

To prawda. Więzienie musi być jak dobre lekarstwo, czyli gorzkie, tak by recydywistom nie było obojętne, czy będą na wolności czy w więzieniu. Mało tego, zdarzały się skrajnie patologiczne

eprasa.pl 93f7da71ef

przypadki osób, które wolały być w więzieniu, bo nie musiały się o nic martwić. Więzienie ma być miejscem, które powinno skłaniać do przemyśleń na temat własnego postępowania, a jednocześnie pokazać, że życie na wolności ma sens. Jak to zrobić? Pracą.

Program „Praca dla więźniów" przynosi efekty. Choć dziś zatrudnionych jest 88 proc. skazanych zdolnych do pracy, to ministerstwo chce go jeszcze rozszerzyć. Dążycie do 100 proc.?

To jest nasz cel. Powinni pracować wszyscy, którzy mogą. Każdy miesiąc przynosi nowe informacje, więc mogę się pochwalić najświeższymi danymi – wskaźnik wynosi już 91 proc. To ciężka praca funkcjonariuszy SW, naszych kontrahentów. Pomaga w tym budowa hal – w zakładach karnych wybudowaliśmy ich ponad 50, i to z pieniędzy wypracowanych przez samych więźniów, ze składki pobieranej z ich wynagrodzenia. W 2015 r. pracowała nieco ponad jedna trzecia więźniów. Upraszczamy procedurę kierowania osadzonych do usuwania skutków klęsk żywiołowych. Ci, którzy popełnili zło, będą mieli okazję do jego odpracowania. Uczymy pracą, że można na siebie zarobić, spłacać zobowiązania. Zresztą po wyjściu z zakładu karnego taka regularność się przydaje.

W dodatku osadzeni mają możliwość odskoczni, a przy okazji zdobywania doświadczenia.

Już teraz widzimy pozytywne efekty. Zdarza się, że więźniowie po odbyciu kary znajdują zatrudnienie u tych samych kontrahentów. Ministerstwo Sprawiedliwości stara się pozyskiwać kolejnych partnerów.

Zakładam, że nie wszyscy patrzyli z entuzjazmem na więźniów jako potencjalnych pracowników.

Często nie zdajemy sobie sprawy, że ludzie np. sprzątający miasta są osadzonymi. Chcę jednocześnie podkreślić, że osoby wychodzące poza zakład karny są specjalnie selekcjonowane. To tylko ci, wobec których mamy absolutną pewność, że nie sprawią żadnego zagrożenia. Mamy wreszcie przywięzienne zakłady pracy, które przez lata przynosiły straty, a dzisiaj utrzymują się same. Staramy się również szukać kolejnych miejsc pracy dla więźniów. W ostatnim czasie osadzeni trafili nawet do kamieniołomów, oczywiście na takich samych zasadach jak inni pracownicy.

Teraz sędzia nie wyznaczy terminu stawienia się w zakładzie karnym, tylko od razu zleci policji doprowadzenie

Te zmiany raczej nie sprawią, że skazani będą chcieli iść do więzienia. Tymczasem plagą wymiaru sprawiedliwości jest ogromna liczba osób skazanych prawomocnie na karę więzienia, którzy uchylają się od wykonania kary.

System był patologiczny, bo polegał na tym, że skazany w drugiej instancji, gdy wyrok jest prawomocny, otrzymywał „zaproszenie" od sądu do stawienia się w zakładzie karnym w wyznaczonym terminie. Jak łatwo się domyślić, nie odnosiło to oczekiwanego rezultatu. Statystyki pokazują, że tylko nieco ponad 4 proc. skazanych zgłaszało się do więzienia. System trzeba było więc zmienić. Robimy bardzo prostą rzecz – sędzia nie wyznaczy terminu, tylko od razu zleci policji doprowadzenie do zakładu karnego. Co ważne, zostawiamy też furtkę, bo sytuacje życiowe są różne. Ponadto od razu będzie wydawany list gończy, jeśli policja nie doprowadzi takiej osoby do zakładu karnego. Dane i zdjęcie takiej osoby trafią do Internetu. Dodatkowo za unikanie kary zaostrzamy warunki umożliwiające przedterminowe zwolnienie.

Jednym z najbardziej jaskrawych przywilejów więźniów był dostęp do lekarzy poza kolejnością. Teraz ma to zniknąć.

To prawda. Osadzeni będą mieli dostęp do lekarzy, ale taki sam jak każdy inny obywatel. Zjednoczona Prawica zniosła limity do specjalistów i za wszystkie świadczenia płaci NFZ. W związku z tym nie może być tak, że więzień otrzyma od razu cały pakiet badań, a emeryt musi czekać rok czy dwa lata. Ponadto zlikwiduje to inną patologię systemową, w której więzień był dobrym klientem, bo płaci za niego budżet więziennictwa, a nie NFZ. Wielu podmiotom po prostu opłacało się wykonywanie wielu świadczeń, często niepotrzebnych. Likwidujemy to. Warto podkreślić, że wbrew oskarżeniom opozycji wypełniamy europejskie normy więziennictwa, bo te stanowią, że opieka zdrowotna dla osób pozbawionych wolności ma nie odbiegać od standardu ogółu społeczeństwa. Obecnie więzień ma lepiej niż przeciętny obywatel, więc można powiedzieć, że wdrożymy te normy w praktyce.

Jednak nie wszystkim proponowane zmiany przypadły do gustu. Związkowcy działający w Służbie Więziennej przekonywali prezydenta Andrzeja Dudę, że pogłębią one kryzys w tej służbie. Co pan na to?

Prowadzimy bardzo bogaty dialog ze związkami, które funkcjonują w ramach SW. Cała reforma to dwie ustawy – Kodeks karny wykonawczy, czyli sposób wykonywania kary przez osadzonych, oraz nowelizacja ustawy o służbie więziennej. W pierwszym przypadku spotykamy się z pozytywnym odzewem ze strony funkcjonariuszy i związkowców, którzy popierają te zmiany. Otwarcie słyszymy o tym, jaką patologią były przywileje więźniów. Z myślą o funkcjonariuszach też porządkujemy procedurę wniosków i skarg, które masowo były składane poprzez osadzonych bezzasadnie, np. na treść gazetki ściennej sprzed 13 lat.

W przypadku drugiej ustawy chodzi o poprawę wykonywania służby przez funkcjonariuszy. To dla nas kluczowe, zwłaszcza po morderstwie, które miało miejsce w zakładzie karnym w Rzeszowie. Powołaliśmy zespół, który miał wyciągnąć wnioski z tej tragedii. Celem, który sobie wówczas postawiliśmy, było to, by już nigdy więcej nie doszło do czegoś takiego.

Wprowadzamy też różne rozwiązania socjalne dla funkcjonariuszy, a także ich wzmożoną ochronę, w tym prawną. Często funkcjonariusze byli pozywani przez osadzonych z Kodeksu cywilnego i musieli się z tym mierzyć sami, teraz za pomoc prawną zapłaci państwo. W Kodeksie karnym pojawi się też nowy przepis penalizujący ujawnianie informacji o prywatnym życiu funkcjonariusza Służby Więziennej, np. o jego żonie czy dzieciach, które mogłyby zagrozić jego bezpieczeństwu. Te sprawy są oczywiście korzystne dla funkcjonariuszy. Przy okazji reformy porządkujemy także model dyscyplinarny w SW na wzór policji, co nie wszystkim się podoba. Nie może być jednak tolerancji dla czarnych owiec.

Tym bardziej że co jakiś czas słyszymy o przypadkach współpracy funkcjonariuszy SW z osadzonymi, którzy np. przemycają używki.

Zawsze będę bronił dobrego imienia funkcjonariuszy SW, bo to trzecia największa, uzbrojona i dobrze wyszkolona

eprasa.pl 93f7da71ef

formacja. To blisko 30 tys. osób, które rzetelnie wykonują swoje obowiązki. Jednak w tak dużej grupie zawsze znajdą się czarne owce i przestępcy. Świat za kratami, świat izolacji jest specyficzny, a funkcjonariusze mają codzienny kontakt ze światem przestępczym.

Który w dodatku bywa bogaty i wpływowy.

Wystawienie na różne pokusy jest bez wątpienia większe niż przeciętnie w społeczeństwie. W związku z tym powołaliśmy Inspektorat Wewnętrzny SW, ale nie jest on wymierzony w funkcjonariuszy. Zawsze z bólem mówię o czarnych owcach. Zdarzają się jednak przestępstwa popełniane przez przestępców w więzieniach – handel narkotykami, kierowanie grupą przestępczą czy nawet zlecanie zabójstw. Taką patologię trzeba wyplenić, dlatego potrzebny jest Inspektorat.

Uprawnienia pozwolą też na wyeliminowanie czarnych owiec, które w sposób niegodny noszą mundur SW. Powiem o jednym jaskrawym przykładzie. Jedna z pań oficer została nagrana przez policję, gdy narzekała na osadzonego, że zamówiła u niego telewizor 60 cali, a on jej dostarczył 40 cali. Tego rodzaju przypadki są skandaliczne. Tam, gdzie to możliwe, działa prokuratura, ale same instytucje zajmujące się bezpieczeństwem państwa zwróciły się do SW z pytaniem, czy nie powinno się rozszerzyć jej kompetencji, by była skuteczniejszym partnerem do eliminowania patologii w więzieniach.

To właśnie zapowiedź powołania Inspektoratu Wewnętrznego SW wzbudziła najwięcej emocji. Opozycja przekonuje, że resort sprawiedliwości zyska coś na kształt własnej służby specjalnej, z prawem do inwigilacji.

Krajowa Administracja Skarbowa ma biuro inspekcji wewnętrznej, policja posiada Biuro Spraw Wewnętrznych, podobnie jak Straż Graniczna czy Służba Ochrony Państwa. Wszystkie te instytucje kontroli wewnętrznej mają dokładnie takie same kompetencje, jakie przewidzieliśmy dla Inspektoratu. Nie jest to żadne novum. Czynności operacyjne są zawsze pod kontrolą sądu. Ponadto Inspektorat jest wymierzony w przestępczość, którą organizują osadzeni. Kontrola musi być wzmożona, by wyplenić przestępczość z więzień. I dlatego potrzebujemy skutecznego narzędzia, by jeszcze lepiej ją zwalczać.

Prezydent podpisał też ustawę o wspieraniu i resocjalizacji nieletnich, która wprowadza wiele rozwiązań mających – wedle założeń – wzmocnić efektywność oddziaływań podejmowanych względem nieletnich. Co się zmieni?

To bardzo szeroka reforma, która zmienia ustawę sprzed 40 lat, a która była kompletnie nieadekwatna do współczesnych czasów. Wzmacniamy pozycję nieletniego, ale z drugiej strony filozofia była taka, by mieć narzędzia do działania na przedpolu demoralizacji. Dajemy np. uprawnienia dyrektorowi szkoły, żeby nie musiał każdej sprawy kierować do sądu rodzinnego. Obecnie 50 tys. spraw w sądach jest z ustawy o nieletnich. Przyznajemy dyrektorowi narzędzia, by mógł skutecznie działać na jak najniższym szczeblu. Jeśli uczeń złamie drzewko, to niech zasadzi nowe. Wzmacniamy funkcję wychowawczą szkoły.

Chodzi więc o quasi-mediację na poziomie szkoły?

Dokładnie tak. Jeśli ktoś namalował graffiti, to niech weźmie szmatę i umyje ścianę. Oczywiście dyrektor nie będzie mógł nikogo do tego zmusić, ale będzie mógł to zaproponować. To normalność, którą wprowadzamy. Tymczasem opozycja podniosła larum, że będziemy zmuszać do pracy.

Przekonywała też, że chcecie wsadzać dzieci do więzień.

Mówiono również, że będziemy traktować dzieci paralizatorem, a 10-latek będzie w jednej celi z 24-latkiem. Psychopata by tego nie wymyślił, a ci ludzie przekonywali, że poszliśmy z czymś takim do parlamentu. Bzdura totalna. To, co zrobiliśmy, to coś zupełnie odwrotnego.

W obecnym stanie prawnym z ustawy o nieletnich odpowiada się w dwóch przypadkach – za demoralizację i czyny karalne. Upraszczając: demoralizacja jest do 13. roku życia, a czyny karalne od 13. roku życia w górę. Nie tyle obniżyliśmy wiek odpowiedzialności do 10. roku, ile wręcz go podwyższyliśmy, bo wcześniej nie było dolnej granicy. W praktyce zdarzało się, że kuratorzy byli wysyłani na wywiady środowiskowe, bo pięcioletnie dziecko porysowało komuś samochód rowerkiem. Sędziowie opowiadali o postępowaniach, gdzie stawały sześcioletnie dzieci, które płakały. To absurd. Żadne dziecko poniżej 10 lat nie będzie odpowiadało z ustawy o nieletnich. Z jednej strony błahe sprawy chcemy rozwiązywać na najniższym poziomie, ale z drugiej zmieniamy też filozofię przy bardzo poważnych przestępstwach. Obecnie nieletni jest traktowany jak każdy inny, czyli sąd najpierw rozważa, czy przyznać nadzór kuratora czy jednak zamknąć do poprawczaka.

Teraz będzie trafiał od razu do poprawczaka?

Wprowadziliśmy tzw. względną obligatoryjność, czyli przepis, który mówi, że sąd najpierw rozważy ośrodek poprawczy, a jeśli z jakichś względów uzna, że nieletni nie powinien tam trafić, to będzie to musiał bardzo mocno uzasadnić.

Przestępstwa popełniane przez nieletnich nie są już tak masowe, ale zwiększyła się np. liczba gwałtów. To niepokoi

Statystyki pokazują, że choć przestępczość wśród nieletnich spada, to jednocześnie przybiera coraz brutalniejszą formę.

To jedna z przyczyn, dla których podjęliśmy pracę nad tą reformą. Do tego dochodzi seksualizacja dzieci. Przestępstwa popełniane przez nieletnich nie są już tak masowe, ale zwiększyła się np. liczba gwałtów. To niepokoi, stąd te zmiany.

Minister sprawiedliwości wskazywał w „Do Rzeczy", że reakcje sądów na najpoważniejsze popełniane przez nieletnich przestępstwa bywają nieadekwatne. Powodują czasem publiczne oburzenie na nadmierną łagodność w stosunku do sprawców zabójstw czy gwałtów.

To problem szkolenia sędziów. W teorii wszystko powinno funkcjonować dobrze, a w praktyce wygląda to tak, że w Polsce na dożywocie skazywanych jest tylko 5 proc. przestępców, w Niemczech – 20 proc., a w Wielkiej Brytanii – 36 proc. Sądy nie chcą orzekać dożywocia, bo sędziowie są uczeni liberalnej teorii prawa karnego. Praktyka pokazuje jednak, że surowość kary ma znaczenie – np. surowe prawo wprowadzone w Kodeksie karnym przez Ministerstwo Sprawiedliwości pozwoliło zwalczyć mafie VAT-owskie i ukrócić te miliardowe złodziejstwo, którym była dotknięta Polska w czasach naszych poprzedników. Prawo musi być skuteczne w działaniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

Tusk. Szczerze

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Kamila Baranowska

Donald Tusk, nie wiedząc o włączonej kamerze, stwierdził to, co wielu podejrzewało od dawna – że do polskiej polityki wrócił nie dlatego, że bardzo chciał, a dlatego, że nie miał lepszego wyboru

Demotywuje mnie świadomość, że będę musiał kandydować. To jest tak upiorna myśl, że ja będę tam z powrotem siedział na tej Wiejskiej" – to słowa lidera Platformy Obywatelskiej, które wypowiedział przed wejściem na antenę w programie na żywo w TVN24. Traf chciał, że się nagrały, a potem obiegły Internet.

Sam Tusk postanowił się do swojej wpadki odnieść dopiero po kilku dniach.

– Myślę, że delikatnie się wyraziłem na temat Sejmu pod władzą PiS, bo to, co stało się z polskim parlamentaryzmem w ostatnich latach, to rzeczywiście coś upiornego – wyjaśniał, sugerując, że nie chodziło mu o powrót do polskiej polityki w ogóle, lecz do Sejmu rządzonego przez PiS.

W podobnym tonie w obronie Tuska stanęła dziennikarka TVN24, która przeprowadzała z nim wywiad. „Kontekst ma znaczenie – rozmawialiśmy o stylu obecnego parlamentaryzmu – w tym o zachowaniu marszałka Terleckiego wobec dziennikarzy, a więc przecież także wobec naszych Widzów" – napisała na Twitterze Agata Adamek.

„Z POGARDĄ I ZE WSTRĘTEM"

To tłumaczenie jednak zupełnie nie trzyma się kupy. Bo przecież Tusk wrócił do Polski po to, by odsunąć PiS od władzy, i od wielu miesięcy przekonuje, że nikt inny poza nim nie jest w stanie tego dokonać. A skoro tak, to w przyszłym Sejmie rządzić będzie opozycja ze swoim marszałkiem i swoją większością, więc to ona będzie odpowiadać za kondycję polskiego parlamentaryzmu, a nie PiS. Jest jeszcze jedna opcja – być może Tusk zwyczajnie nie wierzy w zwycięstwo opozycji nad PiS w wyborach w 2023 r. i jest przekonany, że w przyszłym Sejmie będzie szeregowym posłem opozycji, i z tego powodu „demotywuje go świadomość, że będzie musiał kandydować", i nic dziwnego, że ta myśl wydaje mu się upiorna.

Słowa Tuska wywołały falę komentarzy, zwłaszcza wśród polityków PiS, dla których stały się potwierdzeniem tego, co od dawna głosili – że Tusk nie wrócił do polskiej polityki dlatego, że chciał, lecz dlatego, że musiał.

– Donald Tusk z pogardą, ze wstrętem odniósł się do pracy dla Polaków, do pracy parlamentarzysty, do pracy w Sejmie. Myślę, że tym samym pokazał swoje

eprasa.pl 93f7da71ef

prawdziwe oblicze, pokazał, co myśli o ciężkiej pracy dla Polaków – stwierdził premier Mateusz Morawiecki.

– Ujawnił pogardę dla pracy dla Polski, jest to dla niego „upiorna myśl". Oszukuje wyborców, którym wmawia, że zależy mu na miejscu w Sejmie, że chce wrócić do krajowej polityki, a tak naprawdę jest zupełnie inaczej – mówił o Tusku rzecznik PiS Radosław Fogiel. – Pojawia się więc pytanie: Skoro w rzeczywistości tak bardzo nie chce, to czemu to robi? Czy ktoś go zmusza do tego? – pytał.

Trudno w tym kontekście nie odnotować także niedawnych słów szefa NBP Adama Glapińskiego, który w wywiadzie dla „Gazety Polskiej" stwierdził, że Tusk wrócił na polską scenę polityczną z konkretnymi zadaniami, które ma zrealizować na zlecenie Brukseli, w tym m.in. z zadaniem wprowadzenia Polski do strefy euro. – Zadanie wyznaczone przez Brukselę dla Tuska to nie tylko obalenie przez niego istniejącego w Polsce rządu i wprowadzenie naszego kraju na kurs do strefy euro. Po zrealizowaniu tych zadań Tusk ma wrócić do Brukseli, zostać szefem Komisji Europejskiej i realizować przyspieszoną budowę państwa europejskiego – stwierdził prezes NBP. Dodał też, że takie wnioski wyciągnął z kuluarowych rozmów podczas spotkań z szefami banków centralnych.

Mimo że od powrotu Tuska minęło już sporo czasu, to – jak widać – dyskusja o motywach jego powrotu jest wciąż bardzo żywa. I będzie wracać jeszcze wielokrotnie, także podczas kampanii wyborczej. Zapewne w tym kontekście prędzej czy później ktoś przypomni także słowa, które wypłynęły podczas afery taśmowej. Chodzi o rozmowę, w której szef Orlenu Jacek Krawiec dopytywał Pawła Grasia, rzecznika rządu i zaufanego człowieka lider Platformy, o to, czy Tusk wybiera się na jakieś stanowisko w Brukseli. Graś nie zaprzeczył, ale i nie potwierdził, a Krawiec skomentował to tak: „Ciężka decyzja, mówię, bardzo kusząca, bo to jednak idziesz w zupełnie inną orbitę, odseparowujesz się od tego wszystkiego, od tego syfu, […] jesteś dużym misiem, odseparowujesz się od tego folkloru, od tego syfu".

PRÓBA SIŁ W PO

Sam Tusk powody swojej decyzji o porzuceniu Brukseli i powrocie do polskiej polityki przedstawił w przemówieniu na Radzie Krajowej PO, gdy zostawał jej przewodniczącym. – Tak naprawdę tym politycznym powodem jest moja wiara – i nic jej nie zmieni – że Platforma jest niezbędna, jest potrzebna, jest potrzebna jako siła, a nie jako wspomnienie, żeby wygrać z PiS walkę o przyszłość – mówił wtedy. To, czego nie powiedział wprost, to to, że przywództwo Borysa Budki prowadziło Platformę coraz bardziej do tego, by stała się politycznym wspomnieniem, a nie realną siłą, która przejmie kiedyś władzę. – Nie wygra ten, kto nie wierzy we własne siły. Nie wygra partia, która nie bardzo wierzy w cel własnego istnienia. Chcę wam wyraźnie powiedzieć – ta trudna, bardzo wymagająca sytuacja dla Platformy Obywatelskiej to wynik pewnych okoliczności, które Borysowi Budce moim zdaniem de facto uniemożliwiły wyprowadzenie Platformy na prostą do wygranych wyborów. Gdzieś energia uszła czy znalazła swoje miejsce gdzie indziej, w sposób nie do końca zorganizowany – tłumaczył Tusk.

Słabnąca pozycja Budki, jego ideologiczne zwroty w lewo, skutkujące odejściami z partii, spadające sondaże Platformy, której wyborców zaczął przejmować Szymon Hołownia, oraz rosnąca popularność Rafała Trzaskowskiego – miks tych zdarzeń sprawił, że Tusk poczuł się zaniepokojony. Bo nie jest prawdą, że wyjeżdżając do Brukseli, stracił zainteresowanie polską polityką. Wręcz przeciwnie, bacznie śledził, co się dzieje, i na tyle, na ile mógł, próbował na odległość kontrolować wszelkie ruchy po stronie opozycyjnej. On i jego otoczenie poczuli się mocno zaniepokojeni nie tylko pojawieniem się Szymona Hołowni, który zaczął rozpychać się po opozycyjnej stronie, lecz także postawą Trzaskowskiego, który postanowił jednak spożytkować poparcie, które uzyskał w wyborach prezydenckich (głosowało na niego ponad 10 mln osób) i zawalczyć o przywództwo.

Na to wszystko nałożyło się to, że wraz z odejściem na polityczną emeryturę Angeli Merkel znacząco skurczyły się możliwości, które miała Tuskowi do zaoferowania polityka europejska. Nie do końca wiadomo było, co stanie się z nim, gdy skończy mu się kadencja szefa EPP. Wyprzedził więc fakt, skrócił ją sam i ogłosił powrót do polskiej polityki, krzyżując tym samym plany Borysowi Budce i Rafałowi Trzaskowskiemu. Obaj musieli uznać jego przywództwo, choć zrobili to niechętnie. Zwłaszcza Trzaskowski, który zdążył już przyzwyczaić się do myśli, że przyszłość Platformy należy do niego. Dlatego też, widząc, że Tuskowi nie idzie tak dobrze, jak myślał, postanowił realizować własną politykę. W ten sposób należy odczytywać organizację przez niego, już po raz drugi, wydarzenia politycznego dla młodzieży, którym jest Campus Polska Przyszłości. Oficjalnie i Tusk, i Trzaskowski zarzekają się, że wszystko robią w porozumieniu i nie ma między nimi napięć, nieoficjalnie jednak wiadomo, że Tuskowi nie podoba się aktywność Trzaskowskiego. Do tego stopnia, że w otoczeniu lidera PO powstał pomysł przygotowania alternatywnego wobec Campusu wydarzenia dla młodzieży. MeetUp, który odbył się w czerwcu pod patronatem Platformy, miał formułę bardzo zbliżoną do Campusu. Byli więc młodzież, panele dyskusyjne, znani goście, w tym politycy, i rozmowy o polityce. Punktem kulminacyjnym było oczywiście spotkanie z Tuskiem.

CZEKAJĄC NA CZAS ROZLICZEŃ

W tym samym czasie ludzie Tuska próbowali przyblokować inicjatywę Trzaskowskiego. Jak donosił tygodnik „Wprost", stołeczni radni Koalicji Obywatelskiej mieli usłyszeć od Marcina Kierwińskiego, szefa warszawskich struktur Platformy Obywatelskiej, że ten, „kto włączy się w pomoc przy Campusie Trzaskowskiego, może zapomnieć o »biorącym« miejscu na liście wyborczej". Lider PO miał też namawiać sponsorów (mowa była o Fundacji Adenauera) do wycofania się ze wsparcia Campusu Trzaskowskiego. Prezydent Warszawy nazwał te doniesienia „oczywistą bzdurą". I na dowód panującej w Platformie zgody, podobnie jak rok temu, zaprosił Tuska na Campus.

W Platformie nikt nie ma wątpliwości, że ze strony Trzaskowskiego to posunięcie czysto taktyczne. Prezydent Warszawy nie chce, by ktokolwiek mógł mu zarzucić rozbijanie partii czy działanie na szkodę lidera. On, jak słyszymy, ma czas i cierpliwie czeka na to, czy i jak Tusk poradzi sobie z jednoczeniem opozycji i jak Platforma wypadnie w najbliższych wyborach. Potem przyjdzie czas na rozliczenia. Tusk jest na tyle doświadczonym politykiem, że ma tego świadomość. Wrócił, by nie dopuścić do marginalizacji Platformy i by przywrócić partii dawną świetność. Przy okazji także, by zawalczyć o fotel premiera, bo innej możliwości w polskiej polityce dla siebie, na razie, nie widzi. Poza polityczną emeryturą, na którą chętnie wysłaliby go niektórzy koledzy z Platformy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

FOT. ADOBE STOCK

Kryzys Kościoła w Polsce. Rozwiązaniem nie jest rewolucja

Paweł Chmielewski

Kryzys Kościoła w Polsce jest widoczny gołym okiem. Dyskusja o tym, jakie wyciągnąć z tego konsekwencje, dopiero się tak naprawdę zaczyna. Jednak już teraz w przestrzeni publicznej pojawiają się propozycje zgoła rewolucyjne, np. faktycznej likwidacji seminariów kapłańskich. Nie tędy droga

Kryzys Kościoła katolickiego w Polsce staje się coraz bardziej palący nieledwie z tygodnia na tydzień. Sytuacja katolicyzmu w naszym kraju upodabnia się błyskawicznie do tej w państwach zachodnich, gdzie duchowieństwo ma bardzo niskie zaufanie społeczne. To nie tylko pokłosie wrogiej propagandy rozpoczętej przez Lutra, a kontynuowanej przez oświecenie, komunizm i neomarksizm. To również efekt rzeczywistych błędów i patologii, przede wszystkim związanych ze sferą seksualną. Wielu biskupów i księży próbuje sprowadzić takie problemy jak wykorzystywanie nieletnich czy homoseksualizm kapłanów do błędów pojedynczych osób. To poronione starania; chodzi o cały system, który te rzeczy wspiera i utrwala. Nawet jeżeli w ostatnich latach zwiększyła się czujność biskupów w kwestii przestępstw wobec dzieci, to struktury diecezjalne w wielu miejscach są nadal głęboko zdeprawowane, co dotyka także seminariów. Między innymi w konsekwencji tego stanu rzeczy odnotowujemy dramatyczny spadek liczby powołań kapłańskich.

REWOLUCJA, BRAKORÓBSTWO I „KROK WSTECZ"

Spraw tych nie wolno pozostawić po prostu takimi, jakie są. To przepis na katastrofę. W światowej debacie na temat kryzysu Kościoła, która rozpoczyna się także w Polsce, można wyróżnić trzy zasadnicze postawy. Pierwsza i najbardziej głośna to domaganie się działań rewolucyjnych – wprowadzania do Kościoła rozwiązań duszpasterskich, administracyjnych i doktrynalnych, które nigdy wcześniej w nim nie funkcjonowały. Katoliccy rewolucjoniści rzadko jednak bywają oryginalni; zwykle ich plan ogranicza się do czerpania z modelu wspólnot protestanckich. Drugim, jakby przeciwstawnym nurtem jest upatrywanie nadziei na uzdrowienie w wykonaniu swoistego kroku wstecz. Prezentujący go katolicy uważają, że po Soborze Watykańskim II Kościół dokonał zbyt gwałtownej samoprzebudowy, przyczyniając się walnie do aktualnego chaosu. Wreszcie są i ci, którzy uważają, że mimo kryzysu zasadniczo jest dobrze – a winny jest wyłącznie „świat", dlatego nie trzeba w ogóle nic robić, tylko poczekać, aż się poprawi.

Oczywiście te trzy grupy można dzielić i różnicować niemal w nieskończoność. Grupa rewolucjonistów składa się z radykałów, którzy dążą do całkowitej destrukcji istoty katolicyzmu

eprasa.pl 93f7da71ef

oraz z umiarkowanych, którzy chcą przejąć od protestantów tylko część idei. Kontrrewolucjoniści bywają zaciętymi retrystami, którzy chcą wymazać ostatnie dziesięciolecia z historii i mechanicznie odbudować to, co zostało po Vaticanum II zdemontowane; w większości są to jednak ludzie pragnący po prostu czerpać garściami z Tradycji nie po to, by „iść wstecz", ale by budować życie Kościoła w ciągłości z jego niezmienną nauką. „Bezideowi" dzielą się z kolei na takich, którzy po prostu szczerze nie wiedzą, co zrobić, oraz na takich, których to tak naprawdę w ogóle nie obchodzi. Tych, którzy twierdzą, że kryzysu w ogóle nie ma, nie zaliczam do „bezideowych" – to raczej rewolucjoniści zadowoleni z rozpadu dotychczasowych struktur Kościoła jako rzekomo opresyjnych i nieewangelicznych.

W Polsce są obecne, oczywiście, wszystkie te grupy, ale przynajmniej wśród biskupów brakuje ludzi na tyle kreatywnych, by byli w stanie polskie doświadczenie odnieść do całości Kościoła i inicjować zmiany w wymiarze globalnym. Mają takich ludzi Amerykanie z Północy i z Południa, mają Niemcy, mają Afrykanie i Kazachowie. To kardynałowie i biskupi, na których orientują się katolicy na całym świecie. Rewolucjoniści odwołują się do Franciszka, Cupicha, Kaspera, Marxa i Hollericha, kontrrewolucjoniści – do Burke'a, Müllera, Saraha czy Schneidera. W Polsce debata o Kościele cały czas pozostaje nadmiernie ograniczona do krajowych ram. Próbował to przełamać abp Stanisław Gądecki, m.in. angażując się w spory na synodach o rodzinie czy krytykując Drogę Synodalną. To jednak wciąż zbyt mało, a zdecydowanego ożywienia wymaga też debata prowadzona w katolickich mediach.

REWOLUCJA PROPONUJE: ZLIKWIDOWAĆ SEMINARIA

Być może w związku z takim stanem rzeczy należy docenić i takie głosy, jak Tomasza Terlikowskiego. Publicysta ten w tekście „Kościelna sauna" na łamach „Tygodnika Powszechnego" (nr 32/2022) zaproponował de facto likwidację seminariów w ramach rewolucji, która miałaby „rozbić korporacyjną solidarność duchownych i klerykalny system". Tego rodzaju propozycje mogą być pociągające w zestawieniu z problemem, od którego publicysta rozpoczął swój artykuł. Chodzi o sprawę ks. dr. Andrzeja Dębskiego z Białegostoku. W tym skandalu istotne są przecież nie tylko poziom zdeprawowania samego kapłana ani nawet to, że tak niemoralny człowiek pełnił przez długi czas wiele ważnych funkcji w diecezji i poza nią. Najbardziej znamienne jest w tej sprawie istnienie sauny, do której miał zapraszać „sekretarz", a która, jak wynika z treści korespondencji ks. Dębskiego, służyłaby księżom diecezji białostockiej do odbywania stosunków seksualnych. Mówimy więc o całym systemie, a nie o indywidualnym wyskoku jednego duchownego. Do sprawy „sauny" jeszcze zresztą wrócę.

Według Terlikowskiego, w każdym razie, należałoby w Polsce przyjąć raczej protestancki model kształcenia duchownych, który ma im pozostawiać większą swobodę decydowania o własnej przyszłości oraz zapewniać ma lepszy ogląd rzeczywistości życia ludzi świeckich. Publicysta sądzi bowiem, że nierzadko spotykana w Polsce świętość kapłanów nie jest bynajmniej owocem kształcenia seminaryjnego, ale dokonuje się „mimo" tej formacji. Seminaria, twierdzi, służą dziś przede wszystkim „klerykalizowaniu" kandydatów do kapłaństwa tak, aby czuli przynależność do swoistej „kasty" ludzi wybranych. Tego właśnie skutkiem miałyby być kariery takich ludzi, jak ks. dr Dębski. Publicysta uważa też, że należy dokonać pewnej dekonstrukcji samego sposobu sprawowania urzędu kapłańskiego, tak by misji spowiadania udzielać tylko niektórym kapłanom lub też dopiero po pewnym czasie od święceń.

ZAMIAST REWOLUCJI – ODNOWA WIARY

Ideę faktycznej likwidacji seminariów należy ocenić krytycznie. Choć seminaria jako takie nie są przecież świętością, to zaproponowane przez autora remedium oznaczałoby wylanie dziecka z kąpielą. To nie model kształcenia księży w seminariach rodzi problemy, ale duch, jaki w nich panuje. Jeżeli seminaria „klerykalizują" kandydatów do kapłaństwa w sensie wtłaczania ich w sztywny schemat myślenia korporacyjnego, to odpowiada za to przede wszystkim treść, jaka jest klerykom podawana – oraz miejscami błędnie zdefiniowany cel, do którego są kształceni. Nie od dziś wiadomo, że w formacji kapłańskiej w Polsce i – szerzej – na Zachodzie brakuje zarówno zdrowej doktryny, jak i odpowiedniego nakierowania na sprawowanie kultu. Nie będzie przecież miał poszanowania dla zasady celibatu ani w ogóle dla cnoty czystości ten, kto został wyszkolony w systemie relatywistycznym, gdzie prawdy nie są absolutne i mogą być łatwo podważane. Kapłaństwo źle będzie przeżywał również ten, kto nie widzi siebie jako w pewnym sensie dedykowanego kultowi, ale raczej jako „towarzysza" wspólnoty zbierających się na cotygodniowej „uczcie". Kryzys Kościoła jest kryzysem wiary i nauczania. To, czego potrzeba nam w pierwszej kolejności, to właśnie ich odnowa – a tę można uzyskać poprzez powrót do ortodoksji.

WĄTEK HOMOSEKSUALNY

Przede wszystkim jednak nie wolno zapominać o tym, co w sprawie ks. dr. Dębskiego jest kluczowe. A chodzi tu o homoseksualizm. Choć sam ks. dr Dębski najwyraźniej gustuje raczej w kobietach, to nie można abstrahować od istnienia w diecezji nieszczęsnej sauny, której rolą jest najwyraźniej tworzenie przestrzeni dla gejowskich schadzek kapłanów. I to właśnie problem lawendowej mafii po raz kolejny okazuje się osią patologicznego systemu. Dlatego całkowicie poronione jest proponowanie w odpowiedzi na skandale seksualne likwidowania seminariów jako takich; należy raczej naciskać z całą stanowczością na implementację w Polsce kościelnych przepisów jednoznacznie zabraniających przyjmowania homoseksualnych kandydatów, a tym więcej udzielania im święceń. O tym wciąż mówi się za mało, zwłaszcza w oficjalnych mediach kościelnych. Problem rozpowszechnionego wśród duchowieństwa homoseksualizmu odsyła nas też nieodmiennie do zagadnienia celibatu i pytania, jak ocalić jego sens w tak zrujnowanej grzechem sodomskim atmosferze. Ta debata również jest przed nami, bo trudno zachowywać wiarygodność bezżennego życia, jeżeli znacząca część duchownych bynajmniej nie musiała rezygnować z posiadania żony. Jeżeli homoseksualizm nie zostanie z seminariów wypleniony, to do uzdrowienia sytuacji nigdy nie dojdzie. Dlatego pierwszym krokiem musi być nie jakiekolwiek działanie rewolucyjne, ale przywracanie ortodoksji, budowanie pobożności, skupienie na kulcie i niezgoda na infiltrację seminariów przez lawendowe kliki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą PCh24.pl.

eprasa.pl 93f7da71ef

Jak żyć?

Łukasz Zboralski

Inflacja, wzrost cen – pensje nie wystarczają już na tyle, co wcześniej. Ludzie zaczynają zaciskać pasa i obcinają wydatki. A czasem w ogóle zmieniają spojrzenie na życie

Kryzys gospodarczy, inflacja, droższe surowce – nie tylko w Polsce ludziom zaczęło się żyć trudniej. Wielu musiało zacząć żyć oszczędniej. Część jeszcze nie musi. Ponieważ nikt nie wie, jak długo potrwają gospodarcze problemy (bo kto zgadnie np., kiedy skończy się wojna na Ukrainie?), to nawet i oni ze strachu wolą ograniczać wydatki, by zachować coś na najcięższe chwile.

Z czego ludzie rezygnują? Zacznijmy od spraw, które nie są typowe. Bardzo ciekawą obserwację przyniosły badania Broadcast Audience Research Board (BARB) z Wielkiej Brytanii. Okazało się, że rosnące koszty życia na Wyspach spowodowały nagły odpływ abonentów… rozrywki. Zanotowano potężne tąpnięcie w abonentach serwisów streamingowych. Pomiędzy kwietniem a lipcem tego roku swoje subskrypcje Netflixa i Amazon Prime Video skasowało blisko 800 tys. osób. Jak przytaczał dziennik „Guardian" – liczba gospodarstw domowych, które miały co najmniej jedną subskrypcję z jakiegokolwiek serwisu wideo na żądanie, spadła z 19,57 mln w pierwszym kwartale tego roku do 19,19 mln pod koniec drugiego kwartału. Dane z tego badania są zgodne z danymi o abonentach samego Netflixa – najpopularniejszego na Wyspach serwisu streamingowego, który stracił 1,5 mln klientów w tym roku. W Wielkiej Brytanii ten rok to pierwszy okres Netflixa od dekady, w którym nastąpił spadek rejestracji nowych klientów.

Należy oczywiście wspomnieć, że w tym okresie minimalnie zyskały atakujące rynki Disney+ czy Apple TV+, ale to nie z tego powodu giganci utracili tak wiele. Najlepiej świadczy o tym też masowy odpływ abonentów platformy cyfrowej Sky, obecnej na rynkach Wielkiej Brytanii, Niemiec i Włoch. W drugim kwartale tego roku ubyło jej w sumie 361 tys. abonentów.

Dla operatorów serwisów streamingowych powód jest jasny – ludzie zaciskają pasa. „Nie pytamy gospodarstw domowych, dlaczego decydują się na subskrypcję lub rezygnację z niej. Gwałtowny wzrost cen energii w marcu i kwietniu musiał skłonić wielu ludzi do przeglądu wszystkich miesięcznych wydatków. Liczby, które prezentujemy, pokazują, że usługi sVOD nie są odporne na inflację, ponieważ obywatele ciężko pracują, aby wiązać koniec z końcem" – powiedział „Guardianowi" Justin Sampson, dyrektor generalny BARB.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 93f7da71ef

Odcinanie sobie telewizyjnej rozrywki widać także w Polsce. Przełomowy był maj tego roku. Netflix nad Wisłą miał już wówczas niespełna 13,5 mln użytkowników (w styczniu było to blisko 15 mln). I był to pierwszy miesiąc, gdy ludzie po prostu nie zamieniali tego serwisu na inne. Zamiast tego rezygnowali z płacenia za oglądanie seriali i filmów.

Mniej zasobów na życie powoduje, że ludzie stają się bardziej egoistyczni. Jak podała brytyjska charytatywna organizacja zajmująca się zwierzętami – Battersea – rośnie liczba osób, które nagle zaczęły pozbywać się z domu swoich podopiecznych. Im mniej pieniędzy im zostaje, tym częściej teraz zostawiają takim organizacjom swoje psy, koty, a nawet węże czy jaszczurki. Zdaniem organizacji zajmujących się zwierzętami Brytyjczycy reagują tak na najpoważniejsze ograniczenie standardu życia od lat 60. Przerastają ich wydatki na jedzenie dla zwierząt, nie wspominając już o setkach funtów, które musieliby wydawać na wizyty u weterynarzy.

PSI LOS

Brytyjska organizacja Dogs Trust – opiekująca się obecnie 692 psami w 21 ośrodkach w kraju – przyznała, że takiego masowego porzucania zwierząt nie obserwowała od 2008 r., czyli od ogromnego krachu finansowego. „Kryzys związany z podwyższonymi kosztami życia wkradł się do nas znacznie szybciej, niż się mogliśmy spodziewać" – przyznał mediom Adam Clowes, dyrektor Dogs Trust.

Organizacja Woodgreen wyliczyła natomiast, że liczba wniosków o przyjmowanie do siebie zwierząt, która podczas pandemii sięgała 10 tys. miesięcznie, obecnie spadła do ok. 100.

W Polsce jest jednak zupełnie inaczej. – Kiedy nadeszła pandemia COVID i nakazywano lockdowny, obserwowaliśmy, że przybywało zwierząt domowych – mówi Magdalena Głowacka, lekarz weterynarii z przychodni 4 Łapy w Olsztynie. – Ludzie mieli czas, siedzieli zamknięci w domach, mogli sobie pozwolić na spacery, a nawet przecież bardzo chcieli spacerować. Teraz, podczas kryzysu gospodarczego, nie obserwujemy tego, by jakoś zwiększyło się porzucanie zwierząt. W wakacje było to na „normalnym" poziomie, bo niestety w wakacje zawsze część ludzi uzmysławia sobie, że zwierzę nagle stanowi dla nich kłopot. Dlaczego ludzie u nas nie rezygnują ze zwierząt mimo coraz większych wydatków? Myślę, że wielu z nich brało zwierzęta bardzo świadomie i dlatego będą się nimi opiekować nawet w trudnym czasie. Z kolei ci, którzy może mieli mniejszą świadomość, dostają wiele rozmaitych dofinansowań i dopłat rządowych, więc też jakoś mają zasoby i nie muszą decydować się na tak drastyczny krok jak rozstanie z podopiecznym – uważa.

JAK ZAPCHAĆ BRZUCH

Sierpniowe badanie Banku Millennium („Oszczędzanie w obliczu wysokiej inflacji") potwierdza, że w obliczu przymusu do innego rozporządzania budżetem 4 na 10 Polaków rezygnuje z tych przyjemności, które nie są ich zdaniem „niezbędne do życia". Zatem rezygnuje z rozrywek, w tym ze wspomnianych już serwisów streamingowych, a także z kupowania dodatkowych ubrań czy jedzenia na mieście. I wydaje się, że będzie to bardzo bolesne dla branży gastronomicznej, która przecież w czasie pandemii i lockdownów mocno już została dotknięta. Z nieco wcześniejszego, majowego badania ACR Rynek i Opinia wynikało, że 38 proc. Polaków rezygnuje z niektórych usług, w tym z wyjść do restauracji.

Brytyjczycy zaczęli wyrzucać zwierzęta domowe. Polacy w tak samo trudnych czasach postępują inaczej – nie oddają ich

Aż 72 proc. Polaków (ankietowanych w badaniu Banku Millennium) ocenia swoją obecną sytuację finansową jako mało komfortową. Tylko 43 proc. gospodarstw domowych zadeklarowało, że „wystarcza im do pierwszego". Jednak nawet wśród tych ludzi każdy poważniejszy wydatek oznacza, że muszą na to przez pewien czas oszczędzać pieniądze. Tylko 15 proc. badanych przyznało, że utrzymuje dziś taki sam standard życia jak dawniej.

W obliczu tego zauważalne są próby oszczędzania pieniędzy także na podstawowych rzeczach – a taką przecież jest żywność. Blisko połowa ankietowanych (49 proc.) przyznała, że kupując coś do jedzenia, wybiera tańsze produkty.

W obliczu kryzysu Polacy przyjmują dwie postawy. Dominujące jest ograniczanie konsumpcji. „Respondenci deklarują, że w obliczu rosnących cen, inflacji i rosnących stóp procentowych ograniczą w pierwszej kolejności niektóre usługi, które mogą być uważane za luksusowe, czyli niekoniecznie niezbędne do życia. I ta postawa ograniczania w czasie stagflacji nie jest korzystna dla gospodarki" – zauważa w komunikacie Adam Czarnecki z ARC Rynek i Opinia.

Część osób, choć to mała grupa, zachowuje się zupełnie odwrotnie i… wydaje więcej. Uważają, że inflacja pożera część ich zasobów, więc warto wydać pieniądze i zamienić je na pewne rzeczy, zanim ich siła nabywcza jeszcze się obniży. „Polacy mają poczucie, że depozyty bankowe, nadal niewystarczająco oprocentowane, nie chronią ich oszczędności. Zresztą nawet jeżeli banki powoli podnoszą to oprocentowanie, to ta informacja nie przebija się do szerokiej świadomości konsumentów. Poza tym Polacy wiedzą, że nawet wyżej oprocentowane depozyty nie zniwelują wysokości inflacji. Na pewno mamy teraz w obszarze finansów osobistych bardzo dynamiczną sytuację, w której konsumenci mogą czuć się niepewnie" – podsumował Adam Czarnecki.

MŁODZI NIE WIEDZĄ, CZY MAJĄ INNE PRIORYTETY?

Jest jeszcze jedno nietypowe zachowanie w obliczu kryzysu, zauważalne za granicą. Gdy podczas pandemii rekordowa liczba pracowników zmieniła pracę w USA, tłumaczono to kompletnie nowymi warunkami i zmianą gospodarki. Okazuje się jednak, że wielka fala odejść z pracy po dwóch latach wcale się nie zmniejsza. Jak podawał Bloomberg – w samym tylko kwietniu tego roku pracę porzuciła rekordowa liczba 4,4 mln Amerykanów, a jedna trzecia pracowników rozważa odejście od pracodawcy w ciągu najbliższych 6–12 miesięcy.

Dlaczego? Być może odpowiedzią na to jest fakt, że w Stanach część młodych pracowników miała ok. 10 lat, gdy przez kraj przetaczała się recesja kryzysu lat 2007–2009, i w związku z tym nie za bardzo są oni świadomi tego, co może się wydarzyć. Ponadto po przejściu pandemii, wielkich zawirowań oraz w obliczu kolejnego kryzysu gospodarczego wiele osób z młodego pokolenia zaczyna redukować swoje potrzeby i praca, awanse, większe zarobki przestają być dla nich życiowym planem. Część z nich mówi wprost: życie jest zbyt krótkie, by na dekady utknąć na taśmie w jakiejś fabryce. Najbliższe lata zweryfikują ich podejście.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

Wagner w kapciach

Piotr Semka z Berlina

Twórca „Pierścienia Nibelunga" niemal rozgrzeszony. Gdzie? Na wielkiej wystawie w Deutsches Historisches Museum w Berlinie

„Cwał Walkirii", obraz Carla Emila Doeplera, 1876 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Tytuł niemieckiej wystawy jest bardzo wzniosły „Wagner i niemieckie odczucie". Tyle że jeśli się podejmuje takie ambitne tematy, to trzeba umieć je zrealizować. Tym bardziej że chodzi o jeden z najbardziej znanych niemieckich duchowych fenomenów, nie najlepiej wspominany w krajach, które zaznały skutków niemieckiego kultu „żelaza i krwi". Wagner to niekwestionowany geniusz muzyczny, a jednocześnie ktoś, kto wypuścił z uwięzi demony germańskiej duszy. I nie tylko – jak wskazuje miano „wagnerowców", które za swoim dowódcą Dmitrijem Utkinem, rozkochanym ponoć w muzyce Wagnera, z dumą przyjęli rosyjscy najemnicy.

RUPIECIARNIA PO IDOLU

W jaki sposób spróbowali „ugryźć" ten temat autorzy wystawy? Pierwsze wrażenie, które pojawia się w trakcie przechadzki po ścieżkach wystawy, to wskrzeszenie XIX-wiecznej manii zbierania najmniejszych nawet pamiątek po ubóstwianych idolach. „Wagner był w Niemczech w latach 70. i 80. popularny tak, jak dziś sławne są gwiazdy Hollywoodu" – mówi jeden z przewodników ekspozycji. Jej autorzy dokumentują chronologicznie życie wielkiego kompozytora, a jednocześnie chcą powiązać ten materiał z eksponatami. Zebrano tu obrazy, rękopisy, słynny beret Wagnera, a nawet wyrwany mu przez dentystę ząb. Bardzo charakterystyczna jest główna ściana, która wita wchodzącego widza, na której niczym w biedermeierowskim saloniku zgromadzone są dziesiątki dużych i małych portretów Wagnera. Brakuje tylko stoliczka z herbatką i ptifurkami. Cała wystawa wygląda zresztą jak XIX-wieczny antykwariat. Tutaj zabytkowy program Tanhäusera – tam operowe okulary, jeszcze gdzie indziej dziecięca zabawka, niezwykle popularny w XIX w. mały teatrzyk z kartonu z papierowymi sylwetkami wykonawców wagnerowskich oper.

Lepiej więc, zamiast skupiania się na tym stosie bibelotów, skupić się na drugiej ścieżce wystawy, czyli próbie analizy osobowości Wagnera i jego dzieł pod kątem dominujących emocji. Autorzy wyodrębnili cztery takie uczucia: „Wyobcowanie, Eros, Poczucie przynależności i Wstręt".

WAGNER NA KOZETCE

Zacznijmy od wyobcowania, czy – jak kto woli – alienacji. Gdy w 1813 r. Ryszard Wagner urodził się w Lipsku, mieszkańcy tego miasta mieli jeszcze przed sobą wielką antynapoleońską bitwę narodów. W kolejnych latach okropności okupacji napoleońskiej bledły, natomiast po cichu rósł patriotyczny rausz – duma z pokonania przez Prusaków „korsykańskiego wilkołaka". Zwycięstwo nad Napoleonem wzbudziło wszechniemiecki patriotyzm i tęsknotę za zjednoczeniem Niemiec. Pisarze i publicyści nad Renem i Sprewą uznawali Niemcy za „kraj zapóźniony". Istotnie, w XVII i XVIII w. Francja, Wielka Brytania czy Rosja zdobywały nowe terytoria, kolonizowały Afrykę, Azję i Amerykę i rozpoczynały industrializację. A Niemcy

eprasa.pl 93f7da71ef

nadal rozbite były na dziesiątki maleńkich ksiąstewek, posiadłości biskupich i jedyne, prowadzące w miarę sprawną politykę zaborów – Królestwo Pruskie.

Wagner wyrastał w klimacie tych frustracji i nadziei. Zżymano się wtedy w bierhausach, że Austria blokuje zjednoczenie Niemiec, a ostrożne Prusy nie chcą na siebie przyjąć roli zjednoczyciela ziem germańskich. Ten polityczny zastój rekompensowano sobie marzeniami o wskrzeszeniu czysto niemieckiego stylu w architekturze, pisarstwie, malarstwie i muzyce. Romantyzm skierował uwagę młodych Niemców ku tajemniczym eposom germańskim i średniowiecznym balladom. Wszystko, co zaczarowane, ludowe i budzące nadzieję na obudzenie niemieckiego ducha, zaczęło być w cenie. A tytułowa alienacja czy wyobcowanie przed Wiosną Ludów, czyli w okresie, który Niemcy nazywają Vormärz, było buntem wobec obojętności starej ekipy władzy na aspiracje młodych Niemców. Te uczucia pchnęły Wagnera do uczestnictwa w powstaniu Wiosny Ludów w Dreźnie w maju 1849 r.

Po zdławieniu rebelii przez wojska pruskie i saskie Wagner musi uciekać do Szwajcarii. Pesymistyczne nastroje po zgaszeniu rewolty pokazuje karykatura z tamtych lat. Oto śpiący niemiecki Michel, czyli symbol bierności ówczesnego społeczeństwa. Z jednej strony przytula go rosyjski Kozak, z drugiej strony pcha jego rękę do podpisu na jakimś dokumencie perfidny, austriacki kanclerz von Metternich. A stojący za plecami Michela Francuz szykuje zdradziecki atak. Jak piszą autorzy wystawy: „Alienacja to uczucie bezsiły i frustracji, ale prowadzi ona też do chęci zmiany istniejących warunków i skłania do aktywności".

Wagner od dziecka obcował z teatrem. Wiązał się z wieloma placówkami teatralnymi w Würzburgu (1833), Magdeburgu (1834), Królewcu (1836), Rydze (1837) i w Paryżu w latach 1839–1842. Osobiście poznał kiepską sytuację finansową teatrów, ich uzależnienie od arystokratycznych mecenasów i dworów królewskich. Oburzało go schlebianie najniższym gustom publiczności. Dla niego teatr nie był show-biznesem, gdzie o wszystkim decydują popyt i podaż. Młody Wagner marzył o teatrze, który będzie doświadczeniem odmieniającym widownię i społeczeństwo.

W Paryżu w 1843 r. spotkał pianistę i kompozytora Franza Liszta, który wówczas wzbudził gigantyczną falę swej popularności zwanej lisztomanią. Młody Wagner uważnie przyjrzał się temu fenomenowi i wyciągnął z niego ważny dla siebie wniosek. Jeśli artysta nie stworzy wobec siebie swoistego kultu, to nie będzie w stanie zdobywać finansów na realizowanie swoich ambitnych artystycznych pomysłów. A Wagnerowi śniła się już idea Gesamtwerk, czyli dzieła, które łączyłoby w sobie różne elementy wizualne i muzyczne mające oddziaływać na widza w sposób totalny. Był też znużony dominacją wzorców opery włoskiej i francuskiej na rynku niemieckim – i to też symbolizuje na wystawie owo „wyobcowanie". Wagner chciał triumfu niemieckiego ducha i wypchnięcia z niemieckiej opery łacińskich wpływów.

WIWAT WAGNER ROZWIĄZŁY!

Autorzy wystawy nieco na siłę próbują uczynić ze słynnego kompozytora kogoś, kto wyprzedzał obecne wzorce rewolucji seksualnej. Dlatego jako kolejne uczucie, które definiuje dzieła Wagnera, uznali Erosa, ale w znaczeniu nie tylko czysto seksualnym, lecz także szerzej, w sensie żądzy posiadania rozmaitych dóbr. Próbują też wykreować go na swoistego prekursora rewolucyjnych ruchów XX w. I znów zacytujmy fragment z wystawy. „W Tannhäuserze tytułowy bohater jest rozdarty między permisywną boginią Wenus a restrykcyjnym, moralizującym dworem zamku Wartburg". Z kolei „Latający Holender i »Lohengrin« są wyrzutkami bez domu, wiecznymi tułaczami, którzy gdzie tylko się pojawią, budzą nadzieję na zerwanie opresyjnych więzów narzucanych przez społeczeństwo".

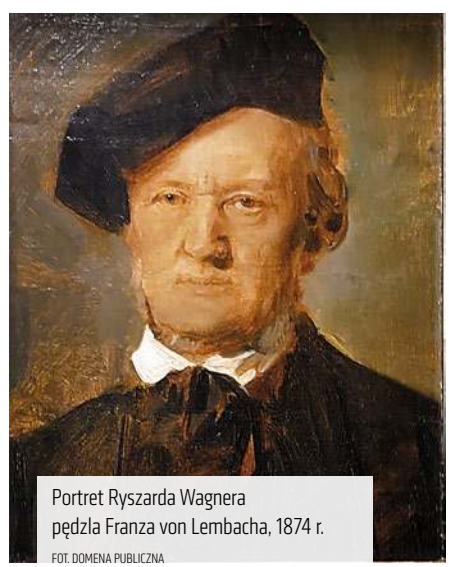

Portret Ryszarda Wagnera pędzla Franza von Lembacha, 1874 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Niemcy w końcu XIX w. uwiebliali przebieranki w stroje bohaterów wagnerowskich FOT. DOMENA PUBLICZNA

Autorzy wystawy zachwyceni są też, jak się zdaje, licznymi podbojami erotycznymi bohatera wystawy. Trudno nie zauważyć cichej aprobaty w takim oto fragmencie tekstu na wystawie. „Wagner często stawiał się ponad normy społeczeństwa. Miał liczne romanse, a jego przyjaźnie bywały nietuzinkowe jak na burżuazyjne standardy. Liczne romanse były tematem plotek, a znajomości miewały motyw finansowy. Kobiety w życiu Wagnera odgrywały różne role: od partnerek, muz, do menedżerek".

Motyw pożądania jest wszechobecny w dramatach Wagnera. W toku intryg jego oper pożądanie łamie wszelkie zasady i jest irracjonalne. Dobrym przykładem na to, jak głęboko sprzeczne z zasadami chrześcijaństwa bywały utwory Wagnera, jest opera „Tristan i Izolda". Autorzy wystawy wskazują na kończący dzieło motyw transfiguracji Izoldy, którego przesłanie brzmi: „Tylko wspólna śmierć z ukochanym jest spełnieniem, w którym zakochani znaleźć mogą zbawienie". Oczywiście autorzy wystawy piszą o tym z zachwytem, ale potwierdza to stawiany już w XIX w. głównie przez katolickich krytyków zarzut głęboko antychrześcijańskiego przesłania niektórych oper Wagnera.

eprasa.pl 93f7da71ef

Pożądanie u znanego kompozytora oznaczało też chęć kolekcjonowania zaszczytów i pieniędzy, które pomogłyby mu się wyrwać z wiecznych kłopotów finansowych. I tu w roli zbawcy pojawił się w życiu Wagnera młody następca Bawarii książę Ludwik II. To on stał się kopalnią złota dla Wagnera, który owinął sobie wokół palca młodego księcia zakochanego w jego operach. Na wystawie pochylam się nad kopią odręcznego pisma Ludwika II, który nakazuje swojemu sekretariatowi wypłacać 4 tys. guldenów jako stałą comiesięczną pensję Wagnerowi. Była to suma równa uposażeniu szefa bawarskiej rady ministrów. Oprócz tego Wagner co rusz prosił króla o pożyczki, a nawet miał prawo używania królewskiego pociągu.

DŻIN WYPUSZCZONY Z BUTELKI

Dwa ostatnie uczucia, które opisuje wystawa, to Przynależność i Wstręt. Owa przynależność to oczywiście poszukiwanie przez Wagnera czystej niemieckości. W jego mentalności stare tradycje germańskie, naturalna Germanom prawość i poczucie obowiązku dziejowego atakowane były przez obce wpływy, które miały pozbawić niemieckiego kolosa siły i woli działania. Dlatego Niemcy powinni wrócić do korzeni, traktować podejrzliwie pochodzące ze świata łacińskiego chrześcijaństwo i rozkoszować się posępnym urokiem germańskich borów.

I oto w Niemczech pojawiła się moda na przebieranie się w stroje bohaterów oper Wagnera, leciwe panie wdziewały na siebie srebrzyste zbroje i zaplatały włosy w warkocze, a poważni rajcowie miejscy czy profesorowie wyższych uczelni wkładali na głowę rogate hełmy i przymierzali przed lustrami skórzane kaftany, mające nawiązywać do bohaterów Lasu Teutoburskiego. Amfiteatr leśny w Sopocie powstał przecież specjalnie dla oper wagnerowskich.

Oprócz tego w tej części wystawy mamy dziesiątki obrazów z Bismarckiem jako zbawcą ojczyzny, matką Germanią błogosławiącą swoim germańskim dzieciom i wpleciony w to kult jednostki Wagnera.

O tym, jak bardzo twórca starał się kierować swój kult, świadczy fragment biografii Wagnera pióra Jacques'a De Deckera: „Zasmucony, pod koniec życia, że jego popiersia, które dekorowały oberże i hotele w Bayreuth, nie są w jego stylu, namówił zaprzyjaźnionego rzeźbiarza, którego dzieła cenił, aby podarował właścicielom tych przybytków nowe kopie rzeźby, czuwając oczywiście nad tym, by ten nie ujawnił, kto tak naprawdę finansował tę operację".

I wreszcie ostatni element wystawy, czyli „Ekel" (Wstręt). Tutaj dominują wspomniana już wcześniej niechęć wobec włoskich i francuskich wpływów w niemieckiej operze, a także rosnąca obsesja groźbą judaizacji niemieckiej sztuki przez Żydów. To zresztą później zapewniło Wagnerowi tak silne uznanie w oczach Hitlera i innych bonzów NSDAP.

Wagner lubił luksus – jedwabny pantofel kompozytora

FOT. RICHARD WAGNER MUSEUM, LUZERN

Na wystawie możemy zobaczyć rękopis traktatu słynnego kompozytora o nazwie „Das Judenthum in der Musik" z 1851 r. Autorzy pokazują też jednak paradoksy relacji między dziełami Wagnera a niemieckimi kompozytorami żydowskiego pochodzenia. W 1864 r. posiadający żydowskie korzenie dyrygent Hermann Levi dyrygował orkiestrą w niemieckim teatrze w Rotterdamie w 1864 r. Potem, w 1871 r., dyrygował orkiestrą w trakcie wystawienia opery „Die Meistersinger von Nürnberg". W 1871 r. spotkał się osobiście z Wagnerem i mimo antysemityzmu kompozytora obaj panowie nawiązali życzliwe relacje.

Wystawa w minimalnym stopniu porusza temat fascynacji Hitlera Wagnerem i kultem kompozytora w III Rzeszy. Zdjęcie Hitlera pozdrawiającego tłum uczestników festiwalu operowego w Bayreuth w 1933 r. i plakat reklamujący wystawienie opery „Rienzi" w Berlinie z 1939 r. To wszystko, co ma wystawa do powiedzenia o brunatnym apogeum kultu Wagnera na ziemi niemieckiej.

WAGNER NIEWINIĄTKO?

Jan Brachmann swoją recenzję z wystawy Wagnera w dzienniku „F.A.Z." zatytułował szyderczo: „Antysemita, i co z tego?". Brachmann wskazuje, czego na wystawie zabrakło: „Niszczący wpływ Ryszarda Wagnera na niemiecką politykę sentymentalną, jej rola w emocjonalnej mobilizacji wojskowych i rządowych decydentów jest przedmiotem badań. W 2003 r. Nora Eckert w książce »Parsifal 1914« opisała, w jaki sposób figury myślowe i językowe z oper Wagnera można odnaleźć w uzasadnieniach I wojny światowej".

Brachmann przypomina też, jak idee Wagnera dominowały w myśleniu czołowych niemieckich oficerów w dowództwie armii kajzerowskiej, którzy nie planowali wojny w sposób czysto rozumowy, ale tęsknili za jakimś jednym wielkim oczyszczającym wydarzeniem, które zgodnie ze wskazaniami Wagnera powinno przynieść zbawienie lub całopalne oczyszczenie w razie zagłady.

To przypomina, że wagnerowska inżynieria uczuć tworzyła fakty społeczne mające dla Niemiec z lat 1880–1918 niezwykle brzemienne skutki. Jaki jest sens tego pomijania? Bo to „zgrana płyta"? Raczej to jakaś dziwaczna próba zrehabilitowania słynnego kompozytora poprzez szukanie w jego życiorysie akcentów pasujących do dzisiejszej mentalności pochwały kultu Erosa i rewolucyjności w tamtych XIX-wiecznych dekoracjach.

Słuszna jest też inna obserwacja. Wystawa o niemieckich uczuciach trudna jest do przedstawienia za pomocą dziesiątek wyciągniętych z lamusa gadżetów z epoki wagnerowskiej. To bardziej temat na dobrą książkę niż zagraconą bibelotami wystawę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Ryszard Wagner i niemieckie odczucia" w Niemieckim Muzeum Historycznym w Berlinie potrwa do 8 września.

eprasa.pl 93f7da71ef

Tylko smoki

Piotr Gociek

Serial „Ród smoka" to „Gra o tron" w wersji light. Nie brakuje w nim okrucieństwa, intryg i polityki, ale próżno szukać fascynujących bohaterów

Dawno, dawno temu, a dokładnie 172 lata przed początkiem akcji serialu „Gra o tron", kraina Westeros niepodzielnie rządzona była przez dynastię Targaryenów. Białowłosi przybysze dosiadający smoków siłą zjednoczyli zwaśnionych tubylców, w smoczym ogniu wykuli z broni pokonanych imponujący żelazny tron i mieli żyć oraz rządzić długo i szczęśliwie. Z jedną uwagą – jak informuje nas zdanie wprowadzające w serial „Ród smoka", jedynym wrogiem dynastii tak potężnej mogła być ona sama.

Dziesięcioodcinkowy serial HBO Max „Ród smoka" („House of Dragon") to produkcja skazana na sukces, bo kontynuacja popkulturowego fenomenu, jakim była ekranizacja bestsellerowych powieści fantasy George'a R.R. Martina. „Gra o tron" zapoczątkowała modę na seriale fantasy; udowodniła, że gatunek ów na małym ekranie nie musi być opowiastką dla dzieci; wylansowała nową generację aktorskich gwiazd (showrunnerzy serii też dostali bardzo intratne nowe propozycje). W poszatkowanym świecie konkurencyjnych kanałów premium i serwisów streamingowych wydarzył się fenomen, zdawać by się mogło, niemożliwy – wszyscy „Grę o tron" oglądali, jeśli nie oglądali, to o niej słyszeli, jeśli nie słyszeli, to prędzej czy później natknęli się na jej pastisz, parodię, żart, mem, dowcip rysunkowy. Nie wiem, czy dziś zdania „The winter is coming" albo „You know nothing, Jon Snow" nie pojawiają się na koszulkach częściej niż „May the Force be with You".

KAWAŁEK HISTORII KRAINY WESTEROS

Fani kręcili nosami na ostatni, ósmy sezon, który nie dorównywał poprzednim, nie mogli też szukać ratunku w powieściach Martina zamykających serię, gdyż ten jeszcze ich nie ukończył. Jednak niemal natychmiast po zakończeniu emisji „Gry o tron" pojawiły się doniesienia, że HBO szuka pomysłu na sequel, spin-off, prequel. W pewnym momencie pracowano nad kilkoma koncepcjami jednocześnie, w tym nad nową serią proponowaną przez duet David Benioff/D.B. Weiss (showrunnerów „Gry o tron").

Ostatecznie zwyciężył pomysł najmocniej popierany przez George'a R.R. Martina, to znaczy stworzenie prequelu wedle jego książki „Ogień i krew". Nie była to ani powieść, ani zbiór opowiadań, lecz kawałek historii krainy Westeros, objaśniający ważne kwestie w dziejach fikcyjnego świata, tak jak napisane przez Tolkiena dodatki do „Władcy Pierścieni" poszerzały naszą wiedzę o Śródziemiu. I tak oto ponad 11 lat po premierze „Gry o tron" zadebiutował w HBO Max „Ród smoka". Z jakim skutkiem?

Jeśli chodzi o pieniądze, to wszystko będzie się zgadzać. Eksplorację kolejnej żyły złota należy uznać za rozpoczętą z wielkim animuszem. Wedle informacji nadawcy – zarówno w USA, jak i w Polsce – pierwszy odcinek zgromadził rekordową widownię. „To zdecydowanie największa premiera w historii HBO Max w Polsce, bijąca wszystkie poprzednie rekordy nowych tytułów. Oglądalność pierwszego odcinka przekroczyła wszelkie nasze oczekiwania" – komunikat z takim m.in. zdaniem pojawił się w skrzynkach e-mailowych dziennikarzy i krytyków niespełna dwie doby po emisji pierwszego odcinka (miała miejsce 22 sierpnia). Czy warto było czekać? I tak, i nie. „Ród smoka" oferuje nam więcej niż „Gra o tron". „Ród smoka" oferuje nam zdecydowanie mniej niż „Gra o tron". Obydwa te zdania są prawdziwe. Prawdziwe jest także zdanie jednego z brytyjskich recenzentów, który stwierdził, że nowy serial zawiera wszystkie kluczowe elementy oryginału – prócz poczucia humoru. Niby nieźle: „wszystkie kluczowe", ale z drugiej strony jakże różne potrawy potrafią przyrządzić różni kucharze z tych samych produktów, nieprawdaż?

Jeśli danie, to dietetyczne, jeśli piwo, to w wersji „bardzo light". Nie mam wątpliwości, że jeśli chodzi o stopień komplikacji intrygi, szekspirowskie krwawe węzły łączące głównych bohaterów oraz barwne, fascynujące postacie, to „Ród smoka" nie dorównuje „Grze o tron". Jednocześnie od strony wizualnej rzecz wymyślona jest kapitalnie, bo udało się wywołać w widzu poczucie zarówno powrotu do świata dobrze już znanego, jak i spotkania ze światem zupełnie innym. Oglądamy te same miasta, zamki, porty, ale o dwa stulecia młodsze; inna jest jednak paleta kolorów, inaczej zrobiono użytek ze światła i inny mamy nastrój. „Gra o tron" była dramatem ponurym, rozgrywającym się w cieniu – dosłownie, bo niebo mroczyły śnieżne

eprasa.pl 93f7da71ef

chmury – nadchodzącego końca świata. „Ród smoka" pokazuje Westeros w kolorach pełnego lata. „Gra o tron" to świat surowy jak średniowiecze z wojny stuletniej (która zresztą Martina inspirowała), „Ród smoka" to świat bardziej przypominający renesansową Italię.

Dało to okazję do popisu tym wszystkim, których nazwisk zwykle nie znamy, bo przemykają gdzieś na liście płac u kresu epizodów: twórców kostiumów, projektantów wnętrz, cieśli, snycerzy, płatnerzy itd. Robota jest zacna, a i wzruszenie chwyta nieraz za gardło, kiedy rozpoznajemy te same miejsca, w których rozgrywały się kluczowe wydarzenia „Gry o tron": oglądamy ten sam świat, ale zachwycająco inny – w tym sensie marzenie fanów zostało spełnione. Zjednoczone smoczym ogniem Westeros jest u szczytu potęgi, jest jak Rzym cesarza Augusta, ponura przyszłość dopiero nadejdzie. Szybciej, niż ktokolwiek się spodziewa.

W tym miejscu zarówno autor tekstu, jak i jego czytelnicy powinni pospołu zacząć podejrzewać, że coś tu nie gra: dotarli do połowy artykułu, a zamiast deklaracji „hit czy kit" dostają jak dotąd uniki, coś o murach, sukienkach, palecie kolorów. Czyżby autor nie miał nic więcej do powiedzenia o pierwszym odcinku? Odpowiadam: mam nawet o sześciu, bo tyle epizodów udostępniono krytykom. Niestety, nie są to rzeczy zbyt dobre. A całą sprawę przeciągam, bo bardzo przedsięwzięciu kibicowałem, marząc o tym, by była to historia równie pasjonująca jak „Gra o tron", podświadomie zdając sobie sprawę, że jest to po prostu niemożliwe.

WSZYSCY MAJĄ SMOKI

Otóż „Ród smoka" pasjonujący nie jest. Nie bez powodu wspomniałem o poczuciu smakowania produktu „light". Niby obydwa seriale są o tym samym: o skomplikowanych rozgrywkach w walce o władzę, w walce o tron. Ale przecież „Gra o tron" niosła ze sobą o wiele, wiele więcej; potężną oś fabularną, którą były dzieje dzieci zmuszonych do zbyt szybkiego dorastania w cieniu potężnych rodziców (dotyczyło to, zauważcie, zarówno rodzeństwa Starków, jak i Daenerys Targaryen), wybory między honorem a obowiązkiem, pytania o granice lojalności, o różne sposoby interpretowania dobra wspólnego. Powiem to może na wyrost, ale była „Gra o tron" wielkim pytaniem o to, jak powinien być urządzony świat i kto powinien go urządzać – a także jak ten świat ocalić. „Ród smoka" okazuje się telenowelą – gromada zwaśnionych książątek spiera się o sukcesję, a gdy nadejdzie odpowiednia pora, konfrontacja będzie bardzo malownicza, bo wszyscy mają smoki.

Spójrzmy na fabułę. Oto sędziwy król Jaehaerys Targaryen dotknięty rodzinną tragedią – giną obaj dziedzice tronu – zmuszony jest wskazać następcę. Mając do wyboru wnuka Viserysa lub księżniczkę Rhaenys, wybiera tego pierwszego, bo prawa dynastii preferują męskich dziedziców. W wyborze utwierdza go zgromadzenie wszystkich wielmoży królestwa, gdyż jest to oczywiście zgraja patriarchalnych samców, którzy „nigdy nie pozwolą, by kobieta zasiadła na Żelaznym Tronie". Lata później sam Viserys I staje przed podobnym wyborem. Ma córkę, ale wszyscy oczekują męskiego potomka. Kiedy małżonka władcy umiera w połogu (wraz z nią wyczekiwany syn – ten fragment opowieści jest dużo bardziej dramatyczny, co zobaczycie sami), Viserys postanawia, że jego następcą będzie pierworodna Rhaenyra. Wkrótce jednak król pojmie kolejną żonę, a ta zacznie rodzić synów. Co z sukcesją w takiej sytuacji? Na tym nie koniec – najbardziej charyzmatyczną figurą na dworze Targaryenów jest młodszy brat Viserysa, Daemon Targaryen, odważny, bezlitosny, okrutny, może nieco szalony. Niejeden widziałby na tronie właśnie jego.

„Wielu uważa panowanie króla Viserysa I za szczytowy moment potęgi Targaryenów w Westeros. Z całą pewnością żyło wówczas więcej lordów i książąt mogących się pochwalić tym, że w ich żyłach płynie krew smoka, niż kiedykolwiek przedtem albo potem" – pisał Martin w książce „Ogień i krew". Rodzinny spór o sukcesję jest jednak początkiem upadku dynastii. Za chwilę wybuchnie wojna domowa.

W odróżnieniu od „Gry o tron" nie widzimy na ekranie zbyt wielu postaci, których losem mielibyśmy ochotę się przejąć. Kibicowaliśmy Starkom przeciw Lannisterom (i w ogóle wszystkim przeciw Lannisterom), kibicowaliśmy młodej Daenerys w jej marzeniu o wielkiej przebudowie świata; Jonowi Snow w walce o ocalenie świata przed mroczną magią. Jednocześnie kibicowaliśmy całej masie bohaterów pomniejszych, zaanga-

eprasa.pl 93f7da71ef

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

żowanych we własne kłopoty, od królów i lordów, po chłopaka od oberżysty czy królewskiego bękarta wychowanego w kuźni albo byłego przemytnika, który został Cebulowym Rycerzem. W „Rodzie smoka" nie ma takiego bogactwa, są intrygi rodzinne wewnątrz dynastii i wśród bohaterów niespecjalnie interesujących, a już na pewno niecharyzmatycznych. Ciapowaty król Viserys (Paddy Considine) chce dobrze, ale wychodzi mu różnie. Ambitny namiestnik królewski Ser Otto Hightower (Rhys Ifans) szybko okazuje się postacią raczej jednowymiarową; nowy serial ma swój odpowiednik Varysa, czyli Larysa Stronga, który ma być równie tajemniczy, ale jedynie nie posiada skrupułów.

Dochodzimy do kluczowej różnicy między „Grą o tron" a „Rodem smoka", czyli pytania: W imię czego? W imię czego jedni nie mają skrupułów, inni chcą zagarnąć tron, jeszcze inni posunąć się do skrytobójstwa albo bardzo ryzykownych manewrów rodzinnych (głównie aranżowane małżeństwa)? W „Grze o tron" na to pytanie padało bardzo wiele i bardzo różnych odpowiedzi. W imię honoru. Rodzinnych obowiązków. Wierności królestwu. Bo się odziedziczyło prawo. Bo chce się uczynić świat lepszym. Bo chce się świat ocalić. Bo chce się pomścić krzywdę. Bo tak nakazuje przyjaźń albo przyzwoitość. W „Rodzie smoka" członkowie dynastii Targaryenów (i drugiego potężnego smoczego rodu Velaryonów) chcą Żelaznego Tronu, gdyż istnieje. Owszem, władza to magnes, ale z kolei widz zadać może własne pytanie: „W imię czego?". Dlaczego mamy kibicować tej czy innej stronie?

Od samego początku twórcy podsuwają nam wytłumaczenie feministyczne: kibicować powinniśmy postaciom kobiecym, gdyż są one krzywdzone na różne sposoby. Bo wykluczone zostały z sukcesji, bo bywają wydawane za mąż niekoniecznie z miłości oraz często umierają w połogu. Porównajmy to z „Grą o tron" – była w tamtym serialu masa mocnych kobiecych postaci, ale nie zostały zredukowane do jednowymiarowych ikon feminizmu świata fantasy. Każda była fascynująca: Catelyn, wierna żona Neda Starka, ambitna i okrutna Cersei Lannister, pechowa Margaery Tyrell, mściwa i przebiegła seniorka Olenna Tyrell, wyzwalająca niewolników Deanerys Targaryen; wreszcie córki Starków: Arya i Sansa. Żadna z bohaterek „Rodu smoka" nie jest postacią równie ciekawą. A mimo to nieść mają na swoich barkach o wiele silniejsze prokobiece przesłanie. Tyle że to nie działa.

Jedynym naprawdę fascynującym bohaterem nowego serialu o Westeros jest Daemon Targaryen, grany popisowo przez Matta Smitha. Jeśli możemy o którejś z postaci powiedzieć, że kryje w sobie tajemnicę, to właśnie o owym księciu, który jest równie uparty, wyuczony w sztuce walki (oraz rozwiązły) jak Oberyn Martell w „Grze o tron". Nie zmienią tego ani liczne smoki, ani nadchodzące bitwy (stawiam, że czekają nas jeszcze przynajmniej trzy sezony, może więcej). „Ród smoka" jest serialem letnim. Nie dlatego, że w Westeros panuje jeszcze lato.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Miecz przeznaczenia

★★★★☆☆

REŻ. ROBERT EGGERS
„WIKING" („THE NORTHMAN")
USA 2022

wyst. Alexander Skarsgård, Nicole Kidman, Claes Bang

Jest w tej opowieści Hamlet, ale nie ma hamletyzowania. Są duchy, ale brak ducha zabitego króla. Są zdradziecka matka powolna mordercy i wuj winien bratobójstwa, lecz nie trzeba im o przewinach przypominać aluzjami teatralnej trupy. Obserwujemy za to mecz islandzkiego protofutbolu skrzyżowanego z baseballem oraz scenę zdobycia magicznego miecza, mocno przypominającą fragment z „Conana Barbarzyńcy". Film „Wiking" to „pra-Hamlet", czyli opowieść wywiedziona ze średniowiecznej kroniki „Gesta Danorum" Saxo Gramatyka, zatem ekranizacja historii, która była dla Szekspira inspiracją przy pisaniu dramatu. Zamiast elegancji Barda, zamiast pysznych dialogów i nieśmiertelnych filozoficznych monologów dostajemy opowieść o zemście. Wielce poważną, dramatyczną, krwawą i bez wątpienia przepięknie sfilmowaną.

Małoletni książę Amleth (Alexander Skarsgård) cudem uchodzi z życiem, gdy jego wuj Fjölnir przejmuje władzę. Wychowuje się na wygnaniu, przygarnięty przez innych wikingów. Widzimy, jak jego „serce staje się ze stali", lecz marzenie o zemście nie umiera: pomścić ojca, uratować matkę, zabić Fjölnira. Ten tymczasem popada w niełaskę króla Haralda i traci ukradzione królestwo, po czym szuka schronienia na Islandii. To tam rozegra się większość dramatu. Wyborna jest obsada: w rolach drugoplanowych pojawiają się Ethan Hawke, Willem Dafoe czy Björk, z kolei jako matkę Amletha oglądamy Nicole Kidman.

Nie jest to jednak film hollywoodzki, choć sporo kosztował i promowany był niczym blockbuster. Reżyser Robert Eggers specjalizuje się w kinie niepokojącym, osobnym i artystycznym, dowiódł tego zarówno debiutancką „Czarownicą", jak i chwalonym w Cannes niesamowitym thrillerem metafizycznym „Lighthouse". „Wikingowi" bliżej do Nicolasa Windinga Refna i jego onirycznego filmu „Valhalla: mroczny wojownik", tyle że Eggers nie daje się ponieść mętnemu symbolizmowi. „Wiking" pozostaje więc historią prostą, acz imponująco opowiedzianą. Wielu widzom wyda się nadmiernie histeryczny, lecz są w nim przynajmniej trzy sceny wybitne: atak na gród Rusinów, konfrontacja Amletha z matką oraz ostatnia rozmowa księcia ze słowiańską niewolnicą Olgą. Nastrój, zdjęcia, muzyka – wszystko to jest godne uwagi. Kłopot ze scenariuszem, który tylko chwilami dorównuje poziomem pozostałym elementom filmu. Bo „Hamlet" bez dylematów Hamleta to żadne dzieło sztuki, lecz tylko proste pogańskie „oko za oko, ząb za ząb". ©℗

NOWE SERIALE: „WŁADCA PIERŚCIENI: PIERŚCIENIE WŁADZY" prime video

To musiało nastąpić, zbyt wiele pieniędzy przyniosły dwie kinowe trylogie – „Władca Pierścieni" (chwalona przez krytyków i uwielbiana przez fanów) oraz „Hobbit" (ganiona przez wszystkich, a mimo to wielce zyskowna). Amazon zainwestował miliard dolarów w powrót do świata stworzonego przez Tolkiena. Cofamy się o tysiące lat w dziejach Śródziemia, by być świadkami wszystkich najważniejszych wydarzeń Drugiej Ery: wykucia pierścieni władzy, pojawienia się Saurona, upadku Numenoru oraz ostatniego sojuszu ludzi i elfów. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Władca Pierścieni: Pierścienie władzy", USA 2022, Amazon Prime***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Julius Avery* ***„Samarytanin" („Samaritan")****, USA 2022* prime video
- *sezon 3* ***„See"****, USA 2022* tv
- *reż. Michael Dweck, Gregory Kershaw* ***„Truflarze" („The Truffle Hunters")****, USA/Włochy 2020* CANAL+

eprasa.pl 93f7da71ef

Strefa komfortu

KINO

O czym marzy polska klasa średnia? Aby tańczyć z kieliszkiem wina na tarasie wynajętej willi nad Morzem Śródziemnym przy piosence Drupiego. Adamowi i Annie udało się to marzenie spełnić. W kraju zapewne robota pali im się w rękach, tu jednak mogą całymi dniami leniuchować, a nocami ćwiczyć kamasutrę. Nie wydają się być ciekawi Włoch ani Włochów, ze sobą też mało rozmawiają. W ogóle są jacyś autystyczni i niedookreśleni. Z kolei drugi plan jest aż nadto wyrazisty, postaci epizodyczne nakreślone grubą kreską. Od razu wiadomo, co mamy o nich sądzić. Czyżby twórcom „Cichej ziemi" chodziło o wielką metaforę, napiętnowanie bogatych egoistów, na których awaria basenu robi większe wrażenie niż śmierć bliźniego, który nie należy do ich sfery?
Z pewnością są rodacy, którzy do tego klubu aspirują, ale na pełnoprawne członkostwo będą jeszcze musieli (jako dorobkiewicze) trochę poczekać. W kategorii „dramat faceta, który nie stanął na wysokości zadania" bardziej miarodajny był szwedzki „Turysta". Dzieło duetu Woszczyńska /Litwin najlepiej sprawdza się jako moralitet. Niby wszyscy wiedzą, że bierność jest kiepską opcją, kłamstwo fatalnym budulcem, a człowiek dorosły wcześniej czy później musi pogodzić się z własną niedoskonałością, jednak w krytycznych momentach rzadko z tej wiedzy korzystamy. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. AGNIESZKA WOSZCZYŃSKA
„CICHA ZIEMIA"
POLSKA 2022

wyst. Dobromir Dymecki, Agnieszka Żulewska, Marcello Romolo

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JAK NAJBLIŻEJ

KINO

Stereotyp szalonego naukowca nie wziął się znikąd. Maurice i Katia Kraftowie żyli – dosłownie i w przenośni – na krawędzi. Wulkanami pasjonowali się od dziecka. Miesiąc miodowy spędzili na Santorini, domniemanej Atlantydzie. W tej branży obserwacja to podstawa, więc asystowali co potężniejszym erupcjom. Ciekawość wygrywała z instynktem samozachowawczym. Pływali gumowym pontonem po jeziorze kwasu siarkowego, Maurice żartował (?), że pokona kajakiem rzekę lawy. Zostały po nich kolekcja minerałów, setki kilometrów taśmy filmowej, tysiące zdjęć i miliony pytań. Dokument Sary Dosy na żadne z nich nie próbuje odpowiedzieć. Obraz mówi sam za siebie. Piękno żywiołu, który stworzył naszą planetę, zauroczyło parę alzackich wulkanologów. Historia miłosnego trójkąta dobiegła końca w Japonii, u stóp góry Unzen. Tym razem Maurice i Katia rozstawili swój sprzęt za blisko. Nie doczekali epoki dronów.

★★★★★☆
REŻ. SARA DOSA
„WULKAN MIŁOŚCI"
(„FIRE OF LOVE")
USA/KANADA
2022

ZAPACH MĘŻCZYZNY

KINO

Macierzyństwo jest na cenzurowanym, przynajmniej w europejskim kinie. Nic dziwnego, że dziecko – narzędzie patriarchalnej opresji – rodzi się czerwone ze wstydu. Bohaterka filmu prowadzi życie, o jakim marzy współczesna kobieta. Pije hektolitry piwa, je, co chce, sypia, z kim popadnie. Ma 23 lata, bajzel w pokoju i mętlik w głowie. Jak grom z jasnego nieba spada na nią wiadomość, że od ponad sześciu miesięcy jest w ciąży. Na aborcję już za późno. Rakel nie chce być matką, ale nie chce też mieć poczucia winy. Prawdopodobny ojciec jest ulepiony z podobnej gliny, więc pozostaje adopcja. „Ninjababy" wyrosła z przekonania, że o poważnych sprawach nie można mówić zbyt serio. To uprzyjemnia obcowanie z filmem, lecz sprawia, że dość łatwo się go zapomina. Swoją drogą, z Norwegami naprawdę musi być kiepsko, skoro wystarczy zrobić śniadanie, by zdobyć serce dziewczyny. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

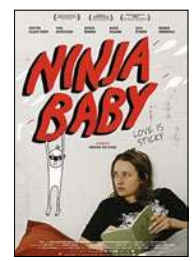

★★★☆☆☆
REŻ. YNGVYLD SVE FLIKKE
„NINJABABY"
NORWEGIA 2021

wyst. Kristine Kujath Thorp, Nader Khademi, Arthur Berning

GRA TYGODNIA: „MIDNIGHT FIGHT EXPRESS"

★★★★☆☆

Siedzimy na komisariacie i tłumaczymy się gliniarzom z ostatniej nocy. Choć w zasadzie – co tu jest do tłumaczenia? Spuściliśmy łomot tylu bandziorom, zamieniliśmy w kisiel tyle wstrętnych gęb i złamaliśmy tyle kości, że nie ma co udawać świętoszka. Pytanie tylko, czy uda nam się udowodnić, że zrobiliśmy to w słusznej sprawie. Tak zaczyna się „Midnight Fight Express". W głównym założeniu zadanie gracza polega na czyszczeniu kolejnych poziomów z grup przeciwników i toczeniu starć z bossami. Powtarzalność, którą rozgrzesza dobry system walki. To produkcja jednego człowieka, Polaka Jakuba Dzwinela. Bardzo solidny, wymagający i motywujący do wykręcania coraz lepszych wyników indyk. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *beat 'em up*
- ***Platforma:*** *XONE, PS4, PC*
- ***Producent, wydawca:*** *Jakub Dzwinel, Humble Games*

eprasa.pl 93f7da71ef

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pomnik Wańkowicza

Na tropach Smętka", najpopularniejszy – i najlepszy – utwór Melchiora Wańkowicza, obok „Bitwy o Monte Cassino" i „Ziela na kraterze", w swoim 15. (!) wydaniu uzyskał kształt iście doskonały. Edycja, wzorowana na przedwojennych, z pietyzmem oddaje jej dawną formę ilustracyjną – w tym wypadku pełniącą równie istotną rolę jak tekst tego arcyreportażu – ponadto wzbogacona została o ważną przedmowę Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm i posłowie Grzegorza Nowaka, będącego dobrym duchem tej książki, człowieka, którego uzupełnienia i wyjaśnienia odnoszące się do fragmentów, zdań, poszczególnych słów pisarza świadczą nie tylko o głębokiej znajomości twórczości Wańkowicza, lecz także o jej umiłowaniu. To dzięki niemu i staranności wydawcy otrzymaliśmy „Na tropach Smętka" w wydaniu, rzeczywiście – jak powiada Aleksandra Ziółkowska-Boehm – pomnikowym.

A swoją drogą, książka ta doczekała się już wcześniej pomnika. W 2011 r. w Piszu – dla uczczenia 75. rocznicy pierwszego jej wydania odsłonięta została rzeźba Andrzeja Renesa, niejako podwójna, bo przedstawiająca na jednym brzegu Pisy postać pisarza, a na drugim książkę z planem wyprawy, którą podjął Wańkowicz na Mazury i pozostałe tereny Prus Wschodnich w czerwcu 1935 r. Grzegorz Nowak jest jednak, niczym komisarz Przygoda w „Vabanku" Machulskiego, szczególarzem, co przy analizie historycznoliterackiej staje się zgoła bezcenne, a i w pomnikowych kwestiach się przydaje. Zauważa bowiem trafnie, że autor „Na tropach Smętka" przedstawiony został w mundurze z czasu walk o Monte Cassino, którego jako żywo nie mógł wdziać na siebie w trakcie kajakowej eskapady dziewięć lat wcześniej, ponadto na pomniku widzimy go z lustrzanką na piersiach, a używał aparatu małoobrazkowego, a do tego wszystkiego – i to nas najbardziej interesuje – upamiętnione zostało w Piszu powojenne wydanie „Smętka", i brzydsze, i ocenzurowane.

FOT. NAC

A cenzorzy czytali książkę dokładnie, wycinając bez pardonu to wszystko, co np. dotyczyło Józefa Piłsudskiego, a przede wszystkim Związku Sowieckiego czy Rosji w ogóle. Wańkowicz pisał swój reportaż, mając na uwadze stosunki polsko-niemieckie i ich znaczenie dla sytuacji odciętej od macierzy ludności polskiej. Dla urzędu mieszczącego się przy ul. Mysiej w Warszawie niedopuszczalne były jednak i uwagi odnoszące się do wojny z bolszewikami, a choćby i takie zdanie, wszystko jedno, czy słuszne, wtrącone w toku narracji, jakoby na Białostocczyźnie, przez którą Wańkowicz przejeżdżał, zawsze go „uderzała fala jakiejś stęchłej kacapskości". O żadnych „kacapach" mowy być nie mogło. Jeśli zaś chodzi o nasze zmagania z bolszewią w roku 1920, to jakże charakterystyczne są takie uwagi: „»Niemieckie serce się raduje«, pisała prasa wschodniopruska, gdy bolszewicy zbliżali się do Pomorza. Zapał miłych sąsiadów do zbrojnej interwencji rósł.

Nasz konsul generalny w Królewcu, Srokowski, interweniował, bo jego wywiadowcy mu donieśli, że w okolicy Ełku i Grajewa przygotowali się Niemcy na przewóz w ciągu kilku godzin nocnych na nasze komunikacje tyłowe z Poznaniem i Gdańskiem dwóch dywizji bolszewickich wraz z artylerią.

Pokonaliśmy bolszewików. Na razie musiało się skończyć na apetycie. Ale nastrój ten trwa i nic go takie czy inne nastawienie góry nie zmieniło. »Korytarz musi być nasz« – to mówi każdy Niemiec w Prusach Wschodnich. Prawda, że wielu z nich naiwnie wierzy, że nastąpi to bez wojny… ale dlatego, że Polska zgodzi się dobrowolnie. Czyli, jak niejako za wszystkich wypowiada się kulturalny, nieszowinistyczny i nawet do pewnego stopnia propolski pan Hauser: »Starcie o Gdańsk i Pomorze jest nieuniknione. Przyjdzie niebawem – za zielonym stołem lub na zielonym polu«".

Ten sam Heinrich Hauser oburzonym po wydaniu „Na tropach Smętka" Niemcom miał napisać „Antysmętka", jakoś się jednak z tego wykręcił i w końcu zwiał z III Rzeszy do Stanów Zjednoczonych. Ale o polskim pisarzu i jego książce hitlerowcy nie zapomnieli i 9 września 1939 r. mógł wysłuchać w radiu niemieckim zapowiedź, że „Wańkowicz jest teraz w Lublinie, ale my go tropami Smętka złapiemy". Szczęśliwie przedostał się wtedy do Rumunii.

Dziś sytuację geopolityczną mamy na pozór zupełnie inną. Nie zmienia się jednak istota naszego położenia, którą Wańkowicz tak ujmował: „Dwie są potęgi na świecie oczom ludzkości nieobjawione tak dobrze jak nam, Polakom. To Rosja i Niemcy. Rosja – bo daleko leży. Niemcy – bo ich drapieżność głównie nasila się na naszej granicy".

Zachęcam do lektury „Na tropach Smętka". Szczególnie w tej edycji. ©℗

★★★★★★

MELCHIOR WAŃKOWICZ „NA TROPACH SMĘTKA"
KSIĘŻY MŁYN, ŁÓDŹ 2022

eprasa.pl 93f7da71ef

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Strychy i ludzie

Historia wykładana w Polsce jest warszawocentryczna; czasem tylko – jak przy okazji kolejnych rocznic Sierpnia '80 – punkt ciężkości w telewizyjnych migawkach i wspomnieniowych komentarzach przenosi się na chwilę do Trójmiasta. A przy celebrowaniu innych rocznic – do Krakowa, Wrocławia czy Radomia. Lokalne oddziały IPN publikują książki o podziemnych dokonaniach Solidarności w różnych regionach, ale te trafiają głównie do bibliotek.

Historia ta jest też politykocentryczna; nazwiska premierów, ministrów, dawnych liderów podziemia – decyzje, manifesty, porozumienia, umowy koalicyjne. W roku 1989 ukazywały się w podziemiu 1282 tytuły prasy niezależnej, lecz czy ktoś pamięta, w jak wielu z nich prócz spraw politycznych publikowano fragmenty powieści, wiersze, recenzje, debaty historyczne? Podpowiem: w wielu. Dla dzisiejszych użytkowników Twittera Krzysztof Wyszkowski to dawny opozycjonista „od pyskówek z Wałęsą". A kto pamięta, że był podziemnym wydawcą Gombrowicza?

Snuję te rozważania u kresu sierpnia, obracając w palcach broszurkę „Strych. O środowisku kulturalnym w czasach PRL". Grupa, o której mowa, wydawała pismo „Strych Kulturalny" (1988–1990, potem pojedyncze numery do 1996 r.). Periodyk był tylko wierzchołkiem góry lodowej, bo działo się przecież o wiele więcej. Odbitki powielał Marek Kuchciński, jeden z liderów środowiska, dziś kojarzony (niesłusznie) tylko z polityką. Na łamach Legutko, Moczulski, Redliński, Scruton.

Jak wspominał brytyjski filozof, w latach 80. w Polsce „podróżowałem w poszukiwaniu małych grup ludzi, którzy chcieli dyskutować, uczyć się, zadawać pytania i odzyskać choćby część życia intelektualnego, które kiedyś kwitło w Polsce". I Roger Scruton dodaje: „W Przemyślu ludzie żyli, zaprzeczając oficjalnemu rozróżnieniu pomiędzy szeptami prywatnego życia a nakazami życia publicznego. Ulice były ożywione i radosne nawet w godzinach nocnych". Ferment, rozmowy, podziemne dyskusje, imprezy kulturalne, wernisaże, bibuła (druk i dystrybucja), goście z zagranicy i powstająca sieć kontaktów (nieoceniona rola wspomnianego Scrutona, wielkiego przyjaciela Polski i jednego z zapomnianych bojowników o jej wolność). Wielka rola Kościoła, bo wszystko to wokół Dni Kultury Chrześcijańskiej, w diecezji niezłomnego bp. Ignacego Tokarczuka.

Nie da się zrozumieć historii Polski lat 80. i 90. bez zajrzenia na te strychy kraju Jaruzelskiej nocy, bez powrotu do afiszy, ulotek, broszur. Tyle że nikt nie zagląda. ©℗

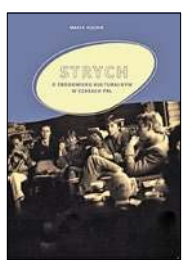

★★★★☆☆
MARTA OLEJNIK „STRYCH. O ŚRODOWISKU KULTURALNYM W CZASACH PRL"
MUZEUM NARODOWE ZIEMI PRZEMYSKIEJ 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zachwalałem rok temu tom „Starożytny Rzym. Infografiki", dziś zachęcam do lektury tomu równie fascynującego. Obszerna dawka wiedzy w przejrzystej, atrakcyjnej formie – bezcenna pomoc w zgłębianiu i rozumieniu historii.

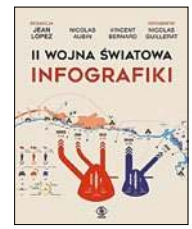

AUTORZY RÓŻNI „II WOJNA ŚWIATOWA. INFOGRAFIKI"
REBIS

Dzieło niedokończone, a jakże fascynujące: w swym ostatnim dramacie Schiller polemizuje z Puszkinem, przedstawia dymitriadę z punktu widzenia pretendenta. Przekład i przypisy: Antoni Libera, posłowie: prof. Andrzej Nowak.

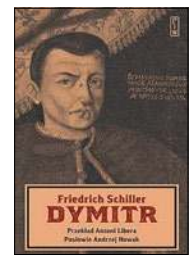

FRYDERYK SCHILLER „DYMITR"
PIW

Gratka zarówno dla kociarzy, jak i fanów opowieści niesamowitych: 10 japońskich opowiadań grozy z kotami w roli głównej. Wśród ośmiu autorów m.in. Kenji Miyazawa, najwybitniejszy autor japońskich baśni.

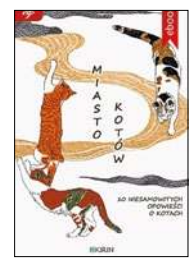

AUTORZY RÓŻNI „MIASTO KOTÓW"
WYDAWNICTWO KIRIN

Historia dużo ciekawsza, niż mogłoby się wydawać, podobnie jak Michał Wiśniewski jest osobą dużo bardziej interesującą i inteligentną, niż sądzą ci, którzy piosenek Ich Troje słuchali od przypadku lub którzy je hejtowali. ©℗

poleca Piotr Gociek

AUTORZY RÓŻNI „ICH TROJE. BIOGRAFIA"
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „MADGERMANES"

Przybyli do NRD z Mozambiku jako robotnicy kontraktowi, szukając nie tylko pieniędzy, lecz także nowego życia. Po upadku muru berlińskiego okazało się, że utracili dwie ojczyzny, a w trzeciej, czyli zjednoczonych na nowo Niemczech, nikt ich nie chce ani nie potrzebuje. Powieść graficzna w duchu reportaży Güntera Wallraffa, który kiedyś w przebraniu Turka sprawdzał, jak naprawdę żyje się w Bundesrepublice tym, którzy mają niewiele. Doświadczenia opisał w głośnej książce „Na samym dnie". Komiks „Madgermanes" zasługuje na równie uważną lekturę. ©℗

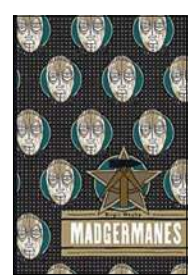

BIRGIT WEYHE „MADGERMANES"
TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 93f7da71ef

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Surrealiści we Wrocławiu

Dwóch artystów, dwie wystawy, jedno miasto. Blisko 300 dzieł graficznych Salvadora Dalego i 78 Joana Miró. Ze względu na metrykę dajmy pierwszeństwo panu Miró. Na wystawie we Wrocławiu pokazywane są stworzone po drugiej wojnie światowej prace. Podzielono je na cykle odnoszące się do wydawnictw, dla których były produkowane. Unikatem jest jedyna na tej wystawie grafika wykonana inną niż litografia techniką. To akwaforta „Gwiazdy i tancerze". Odbita w roku 1956 z płyty opracowanej w 1938 r.

Wśród trzech setek grafik Dalego znajdziemy prawdziwe rarytasy, jak choćby ilustracje z cyklu „Alicja w Krainie Czarów" czy „Boska komedia". Większość zamkniętych w kilkanaście cykli prac powstawała w latach 1955–1975, jednak są i starsze (dwa cykle z lat 30. XX w.). Wszystkie dzieła ekscentrycznego Katalończyka pochodzą z prywatnej kolekcji, a dobierano je tak, by można było „prześledzić różne style, w których swoje dzieła kreował wybitny Katalończyk – od poddających się regułom grafik monochromatycznych przestawień po malarskie sceny". ©℗

FOT. TOMASZ CĄSIOR/MNW

GDZIE? ***Wrocław Salvador Dali: Muzeum Sztuki Mieszczańskiej, Stary Ratusz Joan Miró: Pałac Królewski***
KIEDY? ***do końca roku***

FOT. THE FRICK COLLECTION

„LISOWCZYK" PO KRÓLEWSKU

O tym, że „Jeździec polski" powrócił czasowo do Polski, i o okolicznościach tego powrotu pisałem już tutaj przy okazji pierwszej po „powrocie" do Polski ekspozycji „Lisowczyka" w Łazienkach Królewskich. Teraz jeden z najbardziej rozpoznawalnych obrazów Rembrandta oglądać można na Wawelu. Płótno potraktowano po królewsku, aranżując specjalnie dla niego salę parteru w skrzydle wschodnim. ©℗

GDZIE? ***Zamek Królewski na Wawelu***
KIEDY? ***do 16 października***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Kumple na odległość

Panowie poznali się 45 lat temu, kiedy nowozelandzki zespół Split Enz występował przed Roxy Music. Nie widzieli się przez ostatnie 10 lat i mimo dzielących ich 12 tys. km nagrali dwa covidowe albumy.

Pod wieloma względami ci dwaj muzycy doskonale się dopasowali. W ich artystycznej wypowiedzi słychać wahanie i niedopowiedzenie. W porównaniu z ubiegłorocznym albumem „Caught by the Heart" ten nowy jest bardziej emocjonalny i osobisty, a melodie są bardziej wyraziste. Gitara Manzanery szemrze w tle, tworząc przestrzenne pejzaże, a śpiew Finna nie przekracza granic intymnej rozmowy. Utwory są stylistycznie zróżnicowane i płynnie przechodzą od rocka progresywnego, przez wyrafinowany pop i jazz-rock, do latynoskich rytmów i mrocznych orkiestrowych nastrojów. Głos Tima Finna, znany u nas przede wszystkim z zespołu Crowded House, wyraźnie przypomina wokal Davida Bowiego z jego ostatniego okresu twórczości.

Tytułowa historia o chilijskich duchach rozgrywa się w rytmie walca. Przez pierwszą minutę fortepian i skrzypce budują pastelową narrację, po czym Tim śpiewa: „Marzenia będą trwać tak długo, jak długo będzie istnieć ludzka miłość, nadzieja jest życiem, nadzieja jest żywa…". ©℗

★★★★★☆
TIM FINN & PHIL MANZANERA
„THE GHOST OF SANTIAGO"
EXPRESSION

★★★★☆☆
WALTER TROUT
„RIDE"
PROVOGUE

Jako nastolatek grał z Johnem Lee Hookerem, a później m.in. z Johnem Mayallem. W 2013 r. „wymienił" wątrobę. Na 30. albumie legendarny bluesman zastanawia się nad swoim życiem, karierą i stanem Ameryki. Jest brutalnie szczery, a do tego zdrowo wymiata na gitarze.

★★★★★★
LITTLE FEAT
„WAITING FOR COLUMBUS"
RHINO

Little Feat wzmocnieni o sekcję dętą Tower Of Power nagrali jeden z najlepszych albumów koncertowych w ogóle. Nowe wydanie na 8 CD zawiera zremasterowany oryginalny album plus trzy niepublikowane występy z 1977 r. W Polsce byli nieznani i warto to nadrobić. ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

FOT. NATALIA KABANOW

„Pomiłość” spoza zestawu obowiązkowego

Grzegorz Kondrasiuk

Każde napisanie i wystawienie dramatu podejmującego dyskusję na tematy rzeczywiście bieżące uważam za gest ważny, za teatr krytyczny z prawdziwego zdarzenia. Ostatnio coś takiego zdarzyło się wziętemu dramatopisarzowi średniego pokolenia, Arturowi Pałydze

Kiedy napotykam realizacje polskiej dramaturgii współczesnej, to dochodzę do wniosku, że współczesność ta ma najczęściej charakter regresywny i retrospekcyjny. Dramatopisarze, reżyserzy, a przede wszystkim składający repertuarowe zamówienia dyrektorzy – jeśli już trzeba coś współczesnego wystawić – najchętniej sięgają po zestaw obowiązkowy. Od dwóch dekad jest on mniej więcej ten sam, tak więc oparty na nim dramat polski prezentuje się niczym zestaw młodego modelarza, z którego można na poczekaniu sklecić zawsze to samo, znane wszystkim, urządzenie. Co znajdujemy w pakiecie obowiązkowym? Polski antysemityzm, ten dzisiejszy, ale koniecznie z flashbackami z drugiej wojny, i ogólna nienawiść do wszystkiego, co obce brunatnopodniebiennym katolikom, prowadząca (w wielkim finale) do aktów przemocy. Dla urozmaicenia w obrębie „tematyki” występują warianty stylistyczne: są sztuki oniryczno-surrealistyczne, są komediowe, są i hiperrealistyczne. Nie da się jednak ukryć, że teatr współczesny, uważający się za tę naj-naj-najnowszą dziedzinę sztuki, krytyczną i dyskursywną, lubi ciepełko opinii dawno już wydyskutowanych w przyjaznym swym gronie i zgadza się sam ze sobą.

Każde napisanie i wystawienie dramatu podejmującego dyskusję na tematy rzeczywiście bieżące uważam za gest ważny, za teatr krytyczny z prawdziwego zdarzenia. Ostatnio coś takiego zdarzyło się wziętemu dramatopisarzowi średniego pokolenia, Arturowi Pałydze. Popełnił on dramat „Pomiłość. Przeraźliwie kiczowate i banalne historie”. Oto znajdujemy się w okolicach roku 2222, w społeczeństwie urządzonym zgodnie z ustaleniami Judith Butler, w bezpłciowej, technologicznej utopii, gdzie tożsamość płciową można sobie dowolnie i wielokrotnie wybierać. Pomysłem na fabułę jest zabawa w teatr. Wnuki i wnukinie (a raczej wnukx) Butler improwizują etiudki, aby wyobrazić sobie, jak wyglądała miłość w dawnych, mitycznych i przemocowych czasach dominacji binarności. Piekielnie złośliwy jest wyłaniający się z dialogów obraz mentalności mieszkańców nowego, wspaniałego świata, „100 proc. strefy komfortu”, w którym uprawia się wyłącznie bezpieczny cybersex, unika dotyku, niezdrowych emocji, no i – binarności. Na najprostszym poziomie jest to więc satyra na środowiska postępowe, forsujące rozwiązania prawne w imię równości i praw dla wielości „płci”, co w tekście ujawniają osobowe (i osobliwe) formy językowe w stylu „zrobiłom”, „chciałom”. Jest to jeden z pierwszych dramatów krytycznie wykorzystujących potencjał tej nowomowy, rozlewającej się coraz szerzej, dzięki działaniom Rady Języka Neutralnego (vide – strona zaimki.pl, „jesteśmy kolektywem queerowym zajmującym się zbieraniem, badaniem, kształtowaniem i promowaniem języka niebinarnego i języka neutralnego płciowo”). Ale w dramacie zaszyfrowane są odniesienia do greckich dialogów filozoficznych, oświeceniowych traktatów i powiastek filozoficznych, antyutopii, od Moore’a do Huxleya i Lema. „Wnuxy” sięgają po niebezpieczne medium teatru – wszak bywa on miejscem przekroczenia aktualnego status quo – i rozpętują żywioły: pożądanie i głębię emocjonalnego przywiązania rodzącą się w stałych związkach (o zgrozo!) kobiety i mężczyzny. Cała grupa odkrywa to, co nieznane, wyłamuje się jedynie radykalny lider-ideolog, który w finale stwierdza, że uczestników tego eksperymentu trzeba zabić, ponieważ zajrzeli tam, gdzie nie wolno, a biblioteki spalić – dla dobra społeczeństwa. Pałyga przewrotnie mówi „sprawdzam”, testuje granice poprawności, czy aby na pewno sztuka współczesna jest miejscem wolności. Pisze o miejscu, gdzie radykalna wolność wchodzi w konflikt z radykalną równością.

Po dramat sięgnęła wrocławska filia Akademii Sztuk Teatralnych. Powstał spektakl dyplomowy studentów IV roku Wydziału Lalkarskiego, w reżyserii Agaty Kucińskiej. Sztampowa formuła w tym przypadku brzmi: „Inscenizacja miała wszystkie wady i zalety dyplomu”, i tak właśnie było. Przez cały spektakl zespół pracowicie udowadniał, że umie animować materię, w jej wielu przejawach, od waty cukrowej zaczynając, poprzez lalki z gąbki, a na realnych obiektach, takich jak lodówka czy telewizor, kończąc. Lalkarz żyje tu wiecznie w cieniu przedmiotów i obiektów (czasem wewnątrz nich). Niekiedy wyzwalają one wyobraźnię reżysera i aktora, innym razem – więżą ją. Do tego: świeżość, energia (znów banały, ale tak to właśnie z dyplomami jest); ta pierwsza autentyczność młodości, z której można czerpać całymi garściami i tworzyć prawdziwie emocjonalne sceny, takie jak finałowa („Kamienie”), pokazująca rozpad i ponowną integrację małżeństwa. ©℗

ARTUR PAŁYGA, „POMIŁOŚĆ. PRZERAŹLIWIE KICZOWATE I BANALNE HISTORIE”
REŻYSERIA: AGATA KUCIŃSKA
SPEKTAKL DYPLOMOWY STUDENTÓW IV ROKU WYDZIAŁU LALKARSKIEGO FILII WE WROCŁAWIU
PREMIERA: 17 GRUDNIA 2021 R.

eprasa.pl 93f7da71ef

WOJNA NA UKRAINIE
głos DO RZECZY A POLSKA

Ryzyko niekontrolowanej eskalacji

Łukasz Warzecha

Wojna na Ukrainie trwa już pół roku. W tym czasie nie tylko zmieniły się założenia walczących stron co do jej celów, lecz także radykalnie wzrosło ryzyko, że działania wymkną się spod kontroli. Taka refleksja jednak, wraz z myślą o konsekwencjach dla Polski, w polskiej debacie niemal nie istnieje

FOT. ADOBE STOCK

Jeżeli zaś się pojawia, to natychmiast zjawiają się przedstawiciele partii wojny i zaczynają pokrzykiwać o „rosyjskiej narracji", sypiąc fałszywymi analogiami historycznymi (o czym pisałem w poprzednim wydaniu „Do Rzeczy"). To właśnie zdarzyło się po debacie telewizji wRealu24, w czasie której redaktor naczelny naszego tygodnika Paweł Lisicki ośmielił się zakwestionować kilka dogmatów partii wojny, przywołując głośne wystąpienie Viktora Orbána podczas szkoły letniej w rumuńskim Siedmiogrodzie. Lisicki mówił więc przede wszystkim o tym, że próżno ze strony większości polskich polityków oczekiwać racjonalnej analizy sytuacji, którą zaprezentował Orbán. Racjonalność zastępują emocje (reakcja na te słowa paradoksalnie potwierdziła w stu procentach tę diagnozę). Mówił również o tym, że w grze jest wiele interesów, a konflikt ma swoich animatorów w postaci największych światowych mocarstw. Wreszcie wskazywał, że w polskim interesie nie leży przeciąganie się wojny, ponieważ nie tylko ponosimy w związku z tym ogromne koszty, lecz także radykalnie rośnie ryzyko niekontrolowanej eskalacji, której ofiarą może paść Polska. Jakby na potwierdzenie tych słów kilka dni później Rosja rozmieściła w obwodzie kaliningradzkim hipersoniczne rakiety Kindżał o zasięgu ok. 2 tys. km. Tych rakiet nasza obecna obrona przeciwlotnicza prawdopodobnie nie jest w stanie przechwycić, a w ich zasięgu znalazły się niemal wszystkie większe polskie miasta, z Warszawą włącznie.

W tym samym czasie ukazały się dwa ciekawe teksty. Pierwszy z nich, w „Wall Street Journal", to relacja ze spotkania dziennikarza tej gazety z sędziwym już Henrym Kissingerem. Okazją było wydanie nowej książki byłego sekretarza stanu, zatytułowanej „Leadership: Six Studies in World Strategy" („Przywództwo: sześć szkiców o światowej strategii"). W książce, którą Kissinger określa jako kontynuację swojej pomnikowej „Dyplomacji", znalazły się rozważania o polityce sześciorga światowych przywódców XX w.: Konrada Adenauera, Charles'a de Gaulle'a, Richarda Nixona, Anwara as-Sadata (przywódcy Egiptu podczas wojny Jom Kippur z Izraelem, a potem architekta porozumienia z tym krajem), Lee Kuan-Yew (pierwszego premiera Singapuru po uzyskaniu przez to miasto-państwo niepodległości od Malezji) oraz Margaret Thatcher.

DYPLOMACJA A EMOCJE

Rozmowa przedstawiciela „WSJ" z Kissingerem była okazją do poruszenia tematu Ukrainy. Kilka miesięcy temu wypowiedź byłego doradcy do spraw bezpieczeństwa prezydentów Nixona i Forda, jej właśnie dotycząca, wygłoszona zdalnie podczas Forum Ekonomicznego w Davos, stała się przedmiotem sporów również w Polsce. Teraz Kissinger zdiagnozował problem nie tylko amerykańskiej dyplomacji, lecz także Amerykanów w ogóle, tłumacząc, że w USA istnieje problem z oddzieleniem dyplomacji od osobistego stosunku do przeciwnika. Zdaniem byłego sekretarza stanu istnieje skłonność, aby widzieć dyplomatyczne negocjacje w kategoriach misyjnych, a nie psychologicznych, a od dyplomatów oczekuje się nawrócenia albo potępienia tych, z którymi toczą rozmowy, zamiast przeniknięcia ich sposobu myślenia.

Kissinger oczywiście nie śledzi polskiego życia publicznego, mógłby być jednak zaskoczony tym, jak celnie jego spostrzeżenia opisują naszą debatę. Wszelkie bowiem próby odtworzenia czy wczucia się w rosyjski sposób myślenia są natychmiast kwalifikowane jako usprawiedliwianie Rosji. To całkowity absurd – jeśli chce się mieć nad przeciwnikiem przewagę, to trzeba starać się odtworzyć jego sposób rozumowania, niezależnie od tego, jak krytycznie go oceniamy albo za jak błędny go uznajemy. To próbowali robić i Kissinger, i również w Polsce wyklinany John Mearsheimer.

Ten ostatni opublikował właśnie na portalu magazynu „Foreign Affairs" (zapewne najbardziej prestiżowego pisma o sprawach międzynarodowych na świecie) tekst zatytułowany „Playing with Fire in Ukraine. The Underappreciated Risks of Catastrophic Escalation" („Zabawa z ogniem na Ukrainie. Niedoszacowane ryzyko katastroficznej eskalacji"). Mearsheimer przeanalizował zmieniające się w czasie konfliktu cele obu stron, zastanawiając się, jakie sploty okoliczności mogą doprowadzić do jego eskalacji.

Tu kilka spostrzeżeń. Po pierwsze – w Polsce dyskusja w zasadzie nie wybiega poza najprostszy ciąg przyczynowo-skutkowy. Uważa się, że jeśli Rosja

eprasa.pl 93f7da71ef

wygrywa (choć nikt nie przyznaje, że to się w którymkolwiek momencie dzieje), to źle, a jeśli przegrywa, to dobrze. Na tym koniec. W logice wojny nie jest to jednak takie proste, bo wojna nie toczy się w próżni, mocarstwa mają w niej swoje interesy, a perspektywa przegranej którejś ze stron paradoksalnie może prowadzić nie do zakończenia wojny, ale do jej rozlania się na cały kontynent.

Po drugie – prawie cała polska klasa polityczna wydaje się nie tyle akceptować, ile pomijać zagrożenie, że Polska zostanie wciągnięta do gorącego konfliktu. To zaś nieuchronnie byłoby skutkiem eskalacji. I to niewątpliwie nie leży w naszym interesie. O tym właśnie wspominał Lisicki, wskazując, że im dłużej trwa wojna, tym ryzyko dla Polski jest większe.

Po trzecie – dla Mearsheimera, podobnie jak dla każdego innego przytomnego obserwatora, jasne jest, że działania Ukrainy są pochodną ambicji i decyzji administracji Joe Bidena. My natomiast powinniśmy zadać sobie pytanie, czy nasze interesy są faktycznie stuprocentowo zbieżne z interesami USA w tej wojnie.

Po czwarte – Mearsheimer trafnie pokazuje, że początkowe cele wojny uległy maksymalizacji, co praktycznie wyeliminowało możliwość zawarcia kompromisu w przewidywalnym czasie. Początkowo Rosja zamierzała doprowadzić – zgodnie ze swoją logiką – do zneutralizowania Ukrainy i uczynienia z niej kraju buforowego. Dziś zamierza ją przynajmniej okroić z poważnej części terytorium. Ukraina z kolei stawiała sobie początkowo jedynie cel w postaci odparcia rosyjskiego uderzenia, przede wszystkim na stolicę. Gdy to się udało, Kijów, ale przede wszystkim Waszyngton, znacząco podniosły poprzeczkę. Teraz deklarowanym celem jest nie tylko odzyskanie wszystkich zajętych terytoriów z Krymem włącznie, lecz także osłabienie Rosji w planie strategicznym, co jasno sygnalizują członkowie amerykańskiej administracji. Przy takim rozstrzale celów porozumienie wydaje się niemożliwe.

MOŻLIWA ESKALACJA

Mearsheimer wskazuje, że eskalacja może wydarzyć się w trzech przypadkach: po pierwsze – jedna strona lub obie wywołają ją celowo, aby zwyciężyć; po drugie – jedna strona lub obie wywołają ją celowo, aby zapobiec swojej przegranej; po trzecie – eskalacja będzie skutkiem zbiegu okoliczności, a nie celową taktyką. Eskalacja może przybrać różne formy. W ostateczności może nawet oznaczać użycie przez Rosję broni jądrowej, jakkolwiek Mearsheimer uznaje to za stosunkowo mało prawdopodobne. Jednak i tutaj możliwe są różne poziomy działania. Może to być zastosowanie taktycznej broni jądrowej wobec ograniczonych celów wojskowych, względnie cywilnych, tylko na Ukrainie. Nuklearna odpowiedź Stanów Zjednoczonych jest wówczas bardzo mało prawdopodobna, za to możliwe jest, że radykalnie zwiększy to nacisk zachodnich społeczeństw, przerażonych wizją wojny jądrowej, na zakończenie wojny. To oznaczałoby osiągnięcie przez Rosję jej celów. Naiwnością byłoby sądzić, że Moskwa takiego wariantu nie rozpatruje.

W filmie „Indiana Jones. Poszukiwacze zaginionej Arki" jest kapitalna scena, w której główny bohater gdzieś na Bliskim Wschodzie staje naprzeciwko miejscowego zabójcy, uzbrojonego w miecz. Przeciwnik jest bardzo sprawny, wymachuje mieczem niezwykle groźnie i Jones nie miałby z nim żadnych szans. Dlatego archeolog awanturnik wyciąga po prostu z kabury rewolwer i kładzie wojownika trupem na miejscu. To znakomite zobrazowanie sytuacji, do której może dojść podczas wojny na Ukrainie. Jeśli jedna ze stron uzna, że nie ma szans na wygraną, to walcząc dotychczasowymi środkami, może sięgnąć po te z kolejnego poziomu.

Przede wszystkim jednak, gdy spojrzeć na wojnę okiem amerykańskiego naukowca, zauważymy, że to, co nas może cieszyć, a więc ukraińskie sukcesy, paradoksalnie może przybliżać perspektywę rozszerzenia się konfliktu. Rosja może bowiem uznać, że jeśli Ukraina czyni zbyt duże postępy, to wojnę trzeba wprowadzić na wyższy poziom. Możliwości i pretekstów jest wiele. Mamy np. poczynania państw bałtyckich z Litwą na czele, które Moskwa postrzega jako jednoznacznie prowokacyjne. Po próbie zablokowania transferu do obwodu kaliningradzkiego pojawiła się teraz kwestia nieuznawania przez wszystkie trzy państwa bałtyckie wiz Schengen rosyjskich obywateli. Działania Bałtów przypominają nieco sytuację, w której zza pleców silnego kolegi wychyla się co chwila cherlawy malec i pluje w kierunku napakowanego zbira. A potem znów chowa się za plecami silniejszego. Oczywiście gdy zbir się wścieknie, skieruje uderzenie na silniejszego, bo ten blokuje dostęp do prowokatora.

Groźnie z tego punktu widzenia wyglądają też powtarzające się ataki na Krym. Jakkolwiek pozostaje on formalnie częścią Ukrainy, Rosja uznaje go za własne terytorium, zatem ataki na tamtejsze cele są przez Moskwę uznawane za ataki na obszar Rosji. To również może być powodem – nie pretekstem, ale właśnie powodem – do celowej eskalacji. Mearsheimer wskazuje też, że sami Ukraińcy mogą chcieć tak zaognić sytuację, żeby wywołać eskalację ze strony Moskwy, np. atak na cele w Polsce lub Rumunii, a to z kolei zmusiłoby Zachód do odpowiedzi i bezpośredniego zaangażowania w wojnę. Co przecież – trudno tego nie dostrzec – było celem władz ukraińskich od samego początku.

Jest wreszcie ogromne ryzyko eskalacji z przypadku. W obecnych okolicznościach – wskazuje Mearsheimer – wystarczy, że doszłoby do kolizji samolotów NATO i rosyjskiego nad Bałtykiem.

Amerykański analityk konkluduje, że jeśli ktoś sądzi, iż przebieg wojny da się łatwo przewidzieć i można mieć pewność, że będzie się ona toczyć nadal jedynie na obszarze Ukrainy, to mocno się łudzi. „Wojny rządzą się własną logiką" – stwierdza. I przypomina słowa Carla von Clausewitza, który wskazywał, że nacjonalizmy sprawiają, iż współczesne konflikty przyjmują najbardziej ekstremalny wymiar, zwłaszcza gdy stawka jest po obu stronach wysoka.

BEZWZGLĘDNA GRA

I Mearsheimer, i Kissinger przyznają, że sprawy zaszły już tak daleko, że powrotu do pierwszych koncepcji przywrócenia pokoju właściwie nie ma. Kissinger powiada, że po wojnie Ukrainę, choćby nieformalnie, trzeba będzie traktować jako członka NATO.

W Polsce powinniśmy nieustannie stawiać sobie pytanie nie o interes ukraiński czy amerykański, ale nasz, polski. Z jednej strony jest nim niewątpliwie maksymalne osłabienie Rosji, tak aby oddalić jak najbardziej groźbę jej kolejnych militarnych poczynań. Z drugiej jednak jest nim z pewnością odsunięcie ryzyka rozlania się wojny poza jej obecny obszar, bo wówczas Polska będzie na całkowicie straconej pozycji. Jeśli jakąś cenę za osiągnięcie tego drugiego celu będzie musiała ostatecznie zapłacić Ukraina – to trudno. Polityka zagraniczna to bezwzględna gra.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

Chcemy czy nie, to nasza wojna

Rafał A. Ziemkiewicz

Szaleństwo Kremla, za które płacą dziś krwawą cenę Ukraińcy, jest dla nas historyczną wygraną na loterii światowej polityki. I na szczęście moralne wzmożenie w Polsce popycha nas mniej więcej w kierunku wskazywanym przez polityczny realizm

Dużo wzmożenia, mało myślenia – w zasadzie tak wygląda u nas „debata publiczna" na każdy możliwy temat. Niby więc dlaczego wojna na Ukrainie miałaby być wyjątkiem? Mamy więc z jednej strony „procesję mętnych frazesów wygłaszanych z niezwykłą pewnością siebie" (jak podsumował Dmowski argumenty Piłsudskiego podczas sławnej rozmowy w Tokio, gdzie przyszły Komendant obiecywał Japończykom wywołanie w Polsce powstania), niedopuszczających żadnych wątpliwości co do moralnego obowiązku poświęcenia przez Polskę wszystkiego na rzecz Ukrainy. Z drugiej zaś, równie emocjonalne pokrzykiwania o rzezi wołyńskiej, rzekomych przestępstwach uchodźców i „ukrainizacji Polski", obficie czerpiące z produktów Putinowskich fabryk fake'ów i hejtu.

Histeryczne, agresywne, a zwykle również obelżywe reakcje na każdy artykuł, wypowiedź medialną czy bodaj tylko wpis na Twitterze podający w wątpliwość politykę rządu PiS wobec wojny i Ukrainy daje, wśród innych negatywnych efektów, także ten, że odwoływanie się do politycznego realizmu w praktyce zaczęło zwalniać z obowiązku uargumentowania swych tez. Tymczasem problemem wielu zachodnich realistów jest to, że opierają swe rozumowanie na niezrozumieniu podstawowych faktów dotyczących tej wojny.

Pisałem już o tym, krytykując niesławny odczyt Henry'ego Kissingera w Davos, i nie chcę się powtarzać, zresztą argumentów przeciwko „kissingerystom" przybywa. O ile nie dziwi mnie, że podstawowych błędów w jego rozumowaniu nie widzą politycy i publicyści zachodni, o tyle polskich głosów powtarzających ich tezy nie rozumiem.

UCIECZKA Z „KACAPII"

Współcześni ludzie Zachodu, nawet najlepiej wprowadzeni w arkana geopolityki, daleko odeszli od czasów Woodrowa Wilsona czy nawet jeszcze Ronalda Reagana, kiedy to za podstawę międzynarodowego ładu uważano prawo narodów do samostanowienia. W kolejnych dziesięcioleciach jednak, bez żadnych racjonalnych powodów, jedynie mocą „chciejstwa" lewicowo-liberalnych elit, uznano, że „narody to przeżytek", że myślenie w kategoriach interesów narodowych nie tylko jest „anachronizmem", lecz także wiedzie do faszyzmu i wszelkiego zła, że takowych interesów, a nawet samych narodów jako bytów obiektywnych po prostu nie ma. Traktowanie tego ideologicznego założenia jako aksjomatu sprawiło, że nie tylko prości mieszkańcy Europy Zachodniej czy USA, lecz także tamtejsi eksperci nie do końca rozumieją, co dzieje się ze współczesną Rosją. Operują w schemacie „wspierania wolności i demokracji", przyzwyczajeni zarazem, że nie jest ono żadnym imperatywem, tylko cynicznie traktowanym narzędziem polityki mocarstwowej – jest wiele krajów, w których brak demokracji Ameryce nie przeszkadza i równie dobrze mógłby nie przeszkadzać na Ukrainie.

A Rosję rozsadzają nie dążenia do „demokratyzacji", tylko przebudzenia narodowe. Dzieje się z nią to samo, co stało się sto lat temu z austro-węgierską monarchią Habsburgów. Grupy etniczne, które przez dziesięciolecia podporządkowane były dominacji imperium, poczuły się narodami i zapragnęły imperium opuścić. Proces tu przebiega szybciej, tam wolniej, ale, jak uczy historia, jest nie do powstrzymania. Jego przyczyny to temat na osobny artykuł, tutaj dość powiedzieć, że Ukraińcy, en masse, przestali się czuć „Małorosjanami". Nawet ci, którzy wychowani zostali w języku rosyjskim, i nawet ci, którzy do dziś nie władają mową ukraińską, zaczęli się jej uczyć i czują się kimś innym niż Rosjanie, kimś przez Rosjan prześladowanym i skrzywdzonym. Zarówno ich historia, jak i teraźniejszość uczą ich, że warunkiem realizowania swoich aspiracji, zarówno indywidu-

eprasa.pl 93f7da71ef

alnych, jak i zbiorowych, jest ucieczka z – użyjmy takiego określenia – „kacapii".

Tej ucieczki Rosja nie ma możliwości powstrzymać. To nie są czasy, gdy była w stanie eksterminować i wywozić całe narody (jak to się wobec Ukraińców wciąż roi Duginowi). Rosja jest słaba jak nigdy od czasów Iwana Groźnego i z każdym sukcesem Ukraińców, Białorusinów i kolejnych budzących się nacji „więzienie narodów" będzie sypać się coraz bardziej.

Wiązanie wybuchu wojny z „osaczaniem" Rosji przez NATO czy USA jest więc bzdurą. Zachód musiał odpowiedzieć jakoś na ukraińskie aspiracje: wspomóc je albo sprzedać w korzystny dla siebie sposób. Udzielając Ukrainie po 2014 r. wsparcia wojskowego, otworzył sobie (jak każe sztuka polityki) obie opcje, ale pierwotnie obstawiał drugą. Jak tłumaczyłem już w tekście o błędach Kissingera, Putin dostał bardzo kuszącą ofertę, której ukoronowaniem była wstępna zgoda Joe Bidena na uruchomienie Nord Stream 2, czyli de facto na oddanie kurateli nad Europą osi Berlin – Moskwa, wyrażona pod koniec ubiegłego roku. Ta oferta nie była jednak za darmo: Rosja miała przejść do obozu USA w rywalizacji z Chinami.

Rozumując realistycznie, przyjęcie przez Kreml ofert statusu sprzymierzonego z USA regionalnego mocarstwa wydawało się oczywiste. Na szczęście dla Ukraińców i dla nas Putin zachował się nieracjonalnie. Być może jest starzejącym się szaleńcem, któremu rojenia o odbudowie imperium i przejściu do historii w roli drugiego Piotra Wielkiego przesłoniły rzeczywistość. A być może rozkład aparatu władzy i służb Rosji jest już tak głęboki, że Putin był całkowicie zdezinformowany co do sił własnych i przeciwników. Obstawiam raczej tę drugą możliwość, pamiętam zresztą, jak zapowiadał coś takiego Wiktor Suworow kilka lat temu, kiedy okazało się, że Rosja na „dolarową fuchę" szpiega w USA wysłała nie przeszkolonego należycie agenta, tylko jakąś kuzynkę czy bratanicę dowodzącego operacją generała.

UDERZENIE W SOJUSZNIKA CHIN

Tak czy owak, Putin uznał, że może przyjąć od Ameryki oferowane mu korzyści, a potem wypiąć się na nią oraz cały „dekadencki Zachód" i ramię w ramię z Chinami ogłosić się przywódcą „złotego miliarda" (którą to szaloną teorię wielkiej światowej koalicji przeciwko Zachodowi objaśniał niedawno na naszych łamach prof. Andrzej Nowak). Od momentu wspólnej deklaracji z Xi Jinpingiem z początku roku USA musiały więc zmienić plany, nawet gdyby Rosja nie posunęła się do brutalnej agresji i zbrodni. Rosja, jako sojusznik Chin, musi zostać maksymalnie osłabiona – każdemu jej wrogowi należy zatem udzielić wsparcia, a każdego jej sojusznika neutralizować. Zaznaczam – jest to uwarunkowanie polityki USA, a nie NATO. Niemcy nie pogodziły się z faktami i wciąż liczą na powrót Kremla do racjonalności, starając się do tego czasu nie spalić mostów łączących je ze strategicznym partnerem budowanego „państwa europejskiego". Dwuznaczną grę prowadzi też Turcja. Geopolityczne trzęsienie ziemi dopiero się zaczyna, ale jego skutkiem będzie wyłonienie się nowych lądów, a pogrążenie w odmętach części istniejących.

Jak powiedziałem, szaleństwo Kremla, za które płacą dziś krwawą cenę Ukraińcy, jest dla nas historyczną wygraną na loterii światowej polityki.

FOT. ADOBE STOCK

Wojna bowiem to nie tango, nie trzeba do niej dwojga – wystarczy, że jedna strona dokonuje agresji, a druga nie ma innego wyboru niż zginąć lub się bronić. W rosyjskiej myśli politycznej Polska jest postrzegana jako wróg, który musi zostać zneutralizowany nie dlatego, że to czy tamto robi, ale dlatego, że istnieje – a dopóki istnieje, dopóty stanowi naturalne zaplecze dla niepodległościowych dążeń Ukraińców i Białorusinów. Oczywiście Rosja niezdolna do okiełzania Ukraińców czy Białorusinów tym bardziej nie jest dziś zdolna zniszczyć Polski, dlatego w swej polityce rolę tę przeznaczyła na razie Niemcom. Okazyjne ceny surowców, oznaczające de facto utrzymywanie Niemiec na koszt poddanych Kremla, to długofalowa inwestycja w „państwo europejskie", w którym Polska pozbawiona zostanie – jak postulował to z właściwą Niemcom arogancją kanclerz Scholz – „możliwości egoistycznego blokowania europejskich decyzji" podejmowanych przez elity polityczno-biznesowe „przejmujących odpowiedzialność za Europę" Niemiec.

Jesteśmy więc na wojnę z Rosją – jak również na ostrą konfrontację z Niemcami – skazani. Teoretyzowanie, czy opłaca nam się angażować w nią na 10 czy może na 70 proc., warte jest tyle samo, co popularna w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej teoria, że jeśli nie będzie ona miała armii, to nikt jej nie zaatakuje, bo po co, skoro nikomu nie może zagrozić. Realizm wojny jest taki, że nie ma na niej strat tak wielkich, żeby nie warto było ich ponieść, jeśli dzięki temu uniknie się strat jeszcze większych.

Nie sądzę, by w gronie przywódców naszego państwa zbyt wielu zdawało sobie sprawę z tych uwarunkowań, ale tak się szczęśliwie, choć paradoksalnie, składa, że przy wszystkich popełnianych błędach moralne wzmożenie popycha ich mniej więcej w kierunku wskazywanym przez dobrze rozumiany polityczny realizm.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

Debata zakazana

FOT. ADOBE STOCK

Wojciech Golonka

Nachalne próby zwalczania samej możliwości debaty o wojnie na Ukrainie, których znakiem rozpoznawczym jest m.in. prymitywne etykietowanie przeciwników mianem „ruskich onuc", świadczą nie o zagrożeniu dla polskiej racji stanu, a o chorobowym lęku ze strony obozu władzy

W filmie „Good Morning, Vietnam" jest kultowa scena, w której prezenter radiowy amerykańskiej armii w Wietnamie, Adrian Cronauer (mistrzowsko grany przez Robina Williamsa), mający szczerze dosyć cenzurowania serwisu informacyjnego przez smutnych panów w mundurach, w pewnej chwili zamyka się na klucz w studiu i zaczyna nadawać: „No dobrze, dziś w Sajgonie, wedle oficjalnych źródeł, w zasadzie nic się nie wydarzyło. Jedna rzecz, która oficjalnie się nie wydarzyła, to bomba, która nie eksplodowała o 14.30, nieoficjalnie niszcząc kawiarnię Jimmiego Waha…". Otóż na kanwie niedawnych sporów zastanawiam się, czy dysydenci od jedynie słusznej narracji obozu władzy w kwestii wojny rosyjsko-ukraińskiej nie powinni zacząć argumentować i przedstawiać swych racji właśnie w ten sarkastyczny sposób – ludzie inteligentni wciąż rozumieliby przekaz, a władza być może nie przykuwałaby większej uwagi do głosów dysydenckich, których pozornie by nie było.

Tak się bowiem składa, że irytacja partii rządzącej na odmienne zdanie czy krytykę przybiera już znamiona manii prześladowczej, czego, w rzeczy samej, doświadczył ostatnio redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki. Nie chodzi mi przy tym o to, kto w tej niedozwolonej dyskusji ma rację, ale o wyraźnie wyłaniający się z tego stanu rzeczy fakt: w przeciwieństwie choćby do Stanów Zjednoczonych w Polsce jakakolwiek debata publiczna w kwestii naszego bezpieczeństwa, w związku z wojną na Ukrainie, jest w zasadzie niemożliwa, a jeśli już pojawią się w przestrzeni publicznej jej zalążki, to są one zakrzykiwane. I choć do pewnego stopnia przyzwyczailiśmy się do tego typu kwiecistej formy „dialogu społecznego", nie tylko ze strony Prawa i Sprawiedliwości, to taka postawa stanowi wprost zaprzeczenie cnoty politycznej par excellence, której niedomiar w obecnej sytuacji nie jest bynajmniej powodem do dumy i radości – chodzi bowiem o roztropność.

NIEBEZPIECZNY MECHANIZM

Samo piętnowanie „myślozbrodni" Pawła Lisickiego (w czym wziął udział nawet rzecznik Prawa i Sprawiedliwości Radosław Fogiel, zatem usta prawdy partii dzierżącej władzę w Polsce) jest o tyle znaczące, że doskonale oddaje opisany przeze mnie niebezpieczny mechanizm. Redaktor naczelny tygodnika miał tego pecha, że został zaproszony na urodziny dość popularnej telewizji internetowej wRealu24, na których 15 sierpnia wziął udział w panelu dyskusyjnym zatytułowanym „Co z tą Polską?". Zreferował nań wystąpienie Viktora Orbána w Băile Tuşnad w Rumunii, w którym premier Węgier poruszył kwestię polityki swego kraju względem wojny na Ukrainie, a następnie przedstawił tezę, argumentując, dlaczego przedłużanie wojny na Ukrainie, czyli unikanie rozwiązań dyplomatycznych i negocjacji pokojowych, jest dla Polski radykalnie niebezpieczne. Jego wystąpienie wywołało falę oburzenia, w której zawoalowane, jeśli nie wypowiadane wręcz dosadnie inwektywy wyraźnie przeważały nad jakąkolwiek wolą dyskusji.

Podobnego napiętnowania doświadczył następnie kolejny znany czytelnikom „Do Rzeczy" „myślozbrodniarz" Łukasz Warzecha, który na portalu DoRzeczy.pl odniósł się do wypowiedzi Lisickiego, podkreślając to, że sam brał udział we wspomnianej debacie zorganizowanej przez redakcję wRealu24, i wskazując na brak merytorycznej odpowiedzi ze strony krytyków Lisickiego.

W obu przypadkach reakcja szeroko rozumianego środowiska obozu władzy, do którego zaliczyć można także dziennikarzy, daje jasno do zrozumienia, że podobne dyskusje w Polsce miejsca mieć nie mogą, zdania odmienne od stanowiska i polityki rządu stanowią obrzydliwą herezję, którą należy bezzwłocznie objąć publiczną klątwą, potępić, a przede wszystkim wyplenić. Wątpliwa koincydencja – niedługo po tej zbiorowej ekskomunice oberwał z hukiem i sam organizator debaty, ponieważ w ramach „prezentu urodzinowego" dla wRealu24 YouTube postanowił skasować na swej platformie kanał tej telewizji interne-

eprasa.pl 93f7da71ef

towej, liczącej – bagatela – ponad pół miliona subskrybentów.

W STANACH DYSKUSJA JEST MOŻLIWA

Tymczasem, dla kontrprzykładu kultury debatowania i dyskusji, rzecz ma się obecnie zupełnie inaczej w Stanach Zjednoczonych, które biorą kluczowy udział w tej wojnie – finansowy, materialny, zbrojeniowy, wywiadowczy, szkoleniowy etc. – bez którego Ukraina zostałaby dawno przez Rosję pokonana i prawdopodobnie także zbankrutowałaby jako państwo.

Otóż za oceanem debaty dopuszczające głosy dysydenckie od obecnej polityki Stanów Zjednoczonych względem Ukrainy są nie tylko tolerowane, lecz także organizowane przez prestiżowe instytucje, „heretycy" udzielają wywiadów bądź wysławiają się na łamach wiodących amerykańskich mediów, a fakt ten, nawet w tak bardzo spolaryzowanej jak nigdy dotąd amerykańskiej demokracji, nie powoduje bynajmniej rozrywania szat i histerii znanych z naszego podwórka.

Aby wskazać jeden znaczący przykład – w dodatku z silnym wątkiem polskim – w połowie maja w ramach cyklu debat „Munk Debates" odbyła się głośna dyskusja, w której dwóch uznanych wykładowców stosunków międzynarodowych i geopolityki zmierzyło się z dwoma doświadczonymi w kwestii rosyjskiej politykami. Debatę organizowała wprawdzie kanadyjska instytucja, jednak udział w niej brali głównie Amerykanie: ze strony profesorów – John Mearsheimer i Stephen Walt, ze strony polityków – Michael McFaul, były ambasador USA w Moskwie, oraz Radosław Sikorski, były minister spraw zagranicznych (był nim w okresie Majdanu i brał udział m.in. w rozmowach zachodnich państw z prezydentem Ukrainy Wiktorem Janukowyczem). Prawdą jest, że sama ta debata nie była wolna od mniej lub bardziej subtelnych wzajemnych kąśliwości. Podobnie jak faktem jest, że obie strony, prezentując nie do pogodzenia stanowiska w kwestii warunków zakończenia tego największego kryzysu geopolitycznego naszych czasów, wzajemnie się nie przekonały i być może nawet po części prowadziły dialog głuchych. Jednakże w całej debacie padło z każdej strony sporo niebłahych racji, które pozwoliły choćby wyrobić sobie opinię w szeroko rozumianym audytorium – wszak debatę, poza obecną na miejscu publicznością, obejrzały następnie zdalnie, również za pośrednictwem banującego heretyków YouTube, setki tysięcy osób. Czy zatem fakt, że prof. Mearsheimer, którego już samo nazwisko przyprawia co niektórych samozwańczych cenzorów dyskursu publicznego w Polsce o wściekłość, debatował z politykami tej rangi, zachwiał podstawami bezpieczeństwa świata zachodniego? Czy ludzkość po tej debacie zadającej niedozwolone, heretyckie pytania przebudziła się i ze zgrozą stwierdziła, że jest ruską onucą?

POSZUKIWANIE PRAWDY

W dodatku pierwszym celem i główną wartością tego typu debat nie jest samo „wyrabianie sobie zdania" ze strony publiczności, choć bynajmniej nie jest to mała wartość dodana. W rzeczywistości już od czasów starożytności dialektyka, wykorzystująca najróżniejsze opinie i mierząca się z wszelakimi zarzutami, stała się skuteczną metodą naukową poszukiwania prawdy w materii niepewnej. Została ona następnie dopracowana do pewnej technicznej perfekcji przez scholastykę, która lubowała się właśnie w debatach uniwersyteckich, w których bez bojaźni, i to publicznie, dopuszczano do głosu najcięższe herezje i błędy, ponieważ mistrz musiał potrafić stawić czoła każdej trudności i wszelkim wątpliwościom. A to właśnie tym tradycjom współczesne nauki empiryczne zawdzięczają swe metodologie – postawienie problemu, weryfikacja tezy, kwestionowanie rezultatów. Spuścizna tych debat widoczna jest także w szeroko rozumianej współczesnej debacie publicznej, byle odbywała się ona na właściwym poziomie logosu, czyli racji rozumowych, a nie myślenia czysto emocjonalnego, co jest niestety dość pospolite dla zachodniego homo sapiens w dobie XXI w. „Jedynie prawda jest ciekawa" – owszem, ale tu chodzi nawet o coś więcej i nie mniej istotnego, a tym jest prawidłowe, gdyż rozumne, działanie, odpowiednie dla danej sytuacji, i to właśnie nazywamy cnotą roztropności. Jest to kluczowa sprawność moralna (i niestety mało powszechna) w polityce, której sedno winno sprowadzać się do podejmowania właściwych decyzji i wcielania ich w życie. Otóż cnota ta jest niemożliwa bez etapu rady rozeznającej wszystkie możliwe opcje z właściwymi dlań niuansami przed podjęciem decyzji, a nawet po jej podjęciu, jeśli należy dokonać weryfikacji podjętych kroków w zależności od rozwoju sytuacji.

> **W interesie Polski jest, by badacze ścierali się ze sobą w kwestii wariantów zagrożeń w związku z wojną na Ukrainie**

Z tym jest w III RP akurat notoryczny problem, co widać w ogólnej tendencji sprowadzania reguły prawidłowego działania do kierowania się głównie sondażami i dyrektywami grup wpływu, wewnętrznych bądź zewnętrznych, a właśnie równoważeniu tej destruktywnej tendencji w społeczeństwie demokratycznym służyć ma rzetelna debata, w której dla dobra sprawy z zasady należy dopuszczać głosy krytyczne, byle nie stanowiły one oczywistej próby manipulacji socjotechnicznej, jak to bywa w przypadku dyskursu, którego celem nie jest naświetlenie tematu, a po prostu „sformatowanie" opinii publicznej. W interesie Polski jest zatem, aby np. badacze, którzy poświęcili stosunkom międzynarodowym, a w szczególności Europie Wschodniej i Euroazji, lata pracy, ścierali się ze sobą w kwestii interpretacji możliwych dla naszego kraju wariantów zagrożeń w związku z wojną na Ukrainie, a media i publicyści z kolei odpowiednio nagłaśniali w społeczeństwie te opinie i spory.

Ma się rozumieć, w sytuacjach wyjątkowych zagrożeń władza ma jak najbardziej możliwość cenzurować media i debatę publiczną w ogóle i odpowiadają temu odpowiednie zapisy konstytucyjne. Skoro jednak nie wprowadzono w Polsce przewidzianych ku temu odpowiednich stanów nadzwyczajnych, to obecne nachalne próby zwalczania, nie tyle argumentów przeciwnych, ile w ogóle samej możliwości debaty, których znakiem rozpoznawczym jest m.in. prymitywne etykietowanie przeciwników mianem ruskich onuc, świadczą nie o zagrożeniu dla polskiej racji stanu, a o chorobowym lęku ze strony obozu władzy.

Lęku przed czym? Odpowiedzi zdaje się udzielać tytuł jednego z ostatnich podcastów wspomnianej już „Munk Debates" – „Cenzura a walka o władzę". Jest to moim zdaniem w dużej mierze lęk jałowy, w którym egocentryzm dawno wziął górę nad rozumem, a którego konsekwencje, poza doraźną, wymuszoną pozorną jednomyślnością w społeczeństwie, mogą być dla nas naprawdę groźne. To właśnie ich należy się obawiać, a nie dyskusji o nich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

Reparacje powinni zapłacić i Niemcy, i Rosjanie

Przedstawiciele Sowietów i Niemców spotykający się w Brześciu w 1939 r.
FOT. WORLD HISTORY ARCHIVE/FORUM

Jan Bogatko z Berlina

Polska po 1945 r. straciła ponad połowę terytorium na rzecz Związku Sowieckiego (Ukraina, Białoruś, Litwa), Czech i Słowacji (Litwę obdarował Stalin Wileńszczyzną) oraz poniosła największe straty biologiczne w drugiej wojnie światowej. Rachunek krzywd nie został wyrównany do tej pory

Nienawiść Niemiec do Polski była w 1939 r. gigantyczna. Po mało przemyślanym przez Warszawę przyjęciu brytyjskich tzw. gwarancji Hitler wpadł w szał. Polska, pozbawiona rzeczywistych sojuszników i otoczona wrogami ze wszystkich stron (poza krótką granicą z Węgrami i Rumunią), znalazła się w beznadziejnym położeniu strategicznym. Nadzieja na pomoc z Francji i z Anglii kazała wykrwawiać się polskim żołnierzom. Ci szczęśliwsi trafili do niemieckiej niewoli. Ci, których Bóg całkiem opuścił, zginęli od strzału w tył głowy w Lesie Katyńskim.

Likwidacja polskiej inteligencji była głównym celem okupantów. Niemcy i Rosjanie, pomni walki Polaków o niepodległość, chcieli odciąć Polsce głowę. W tym celu odbyły się w okupowanej Polsce liczne konferencje sojuszników, dotyczące kwestii koordynacji Niemiec (Gestapo) i Rosji (NKWD) w zwalczaniu elit. Temat nie został do końca szczegółowo zbadany przez historyków, aczkolwiek i tak sporo na ten temat wiemy, mimo kurtyny milczenia z czasów sowieckiej Polski (1944–1989).

28 września 1939 r. Niemcy podpisali w Moskwie z Rosjanami traktat graniczny o przyjaźni III Rzesza-ZSRS. Granice skorygowano w porównaniu z planami w załączniku do układu Ribbentrop-Mołotow.

„GRANICA PRZYJAŹNI"

Zatrzymam się nieco nad tą pierwszą delimitacją. Mam przed sobą mapę Polski wydaną jako dodatek do broszury „Schlag nach über Polen" („Dowiedz się

eprasa.pl 93f7da71ef

o Polsce") wydanej przez Bibliographisches Institut AG Leipzig w 1939 r. Gruba, wijąca się czerwona kreska dzieli Polskę na dwie części: zachodnią, mniejszą, przypadającą jako łup III Rzeczy, i na wschodnią, znacznie większą, jako łup Sowietów. Granica ta określona jest na kolorowej mapie jako „linia demarkacyjna z dnia 22 września 1939 r.".

O tych ustaleniach (z 22 września 1939 r.) w literaturze przedmiotu znaleźć można niewiele, odpowiadają one w przybliżeniu załącznikowi do układu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r. Na cytowanej przeze mnie mapce nie oznaczono Wileńszczyzny jako niemieckiej strefy interesów czy zgoła jako części Republiki Litewskiej.

Owa granica dzieliła Warszawę na część niemiecką i białoruską oraz przyznawała Lublin i Przemyśl Ukrainie. Jednak 28 września 1939 r. Warszawa i Lublin znalazły się już w Rzeszy (wraz z Suwałkami). Nie wiem, dlaczego Rosjanie zrezygnowali z tak wielkich zdobyczy na zachodzie. Wiedząc co nieco o przebiegłości rosyjskiego czerwonego niedźwiedzia, domyślam się jedynie, że obawiał się on (po doświadczeniach z trudną likwidacją „operacja polska") tzw. polskich rejonów autonomicznych (polrajonów) „Marchlewsk" i „Dzierżyńsk", zbyt dużej liczby Polaków na swym terytorium. Zarazem korekta ta zadaje kłam sowieckiej narracji, jakoby Moskwa szykowała się już wówczas do wojny z Niemcami – wtedy to każdy kilometr na zachód poprawiałby przecież sytuację strategiczną Sowietów!

Niemiecko-sowiecka „granica przyjaźni", zagwarantowana podpisami Stalina i Ribbentropa, odpowiada w przybliżeniu wschodniej granicy PRL i dzisiejszej Polski. Pozostawia ona poza Polską ponad połowę jej terytorium państwowego w i tak okrojonych na wschodzie traktatem ryskim granicach przedrozbiorowego kraju.

KONFERENCJE NKWD I GESTAPO

Zdobyć to jedno, utrzymać to drugie. Niemcy i Rosjanie od razu przystąpili do bezprecedensowego w dziejach Europy zadania, którym była dekapitacja polskiego społeczeństwa. Już w traktacie rozbiorowym z 1939 r. obie umawiające się strony uroczyście stwierdziły, że tajna policja – Gestapo i NKWD – zwalczać będzie wszelkie przejawy walki Polaków o niepodległość. Najważniejszym celem tej deklaracji była zapowiedź wzajemnego informowania się o owych przejawach woli walki i wspólnego ustalania środków jej likwidacji. Współpracę tę przejęły na siebie dwie instytucje: Gestapo i NKWD, odbywające wspólne konferencje. W epoce sowieckiej Polski nie wolno było o tym ani mówić, ani pisać.

Niemiecko-sowiecka granica, zagwarantowana podpisami Stalina i Ribbentropa, odpowiada w przybliżeniu wschodniej granicy Polski

Pierwsza z tych konferencji odbyła się w Brześciu nad Bugiem 27 listopada 1939 r. Jej głównym tematem były metody zwalczania w zarodku przez obu sojuszników polskiej konspiracji niepodległościowej na okupowanych terenach. Druga z kolei konferencja NKWD i Gestapo odbyła się niedługo potem w Przemyślu. Jej tematykę poszerzono o problem

REKLAMA

KONTYNUACJA BESTSELLEROWEJ SERII „MITY MEDYCZNE"

FAKTY, KTÓRE RATUJĄ ŻYCIE

- HORMONY
- HASHIMOTO
- INSULINOOPORNOŚĆ

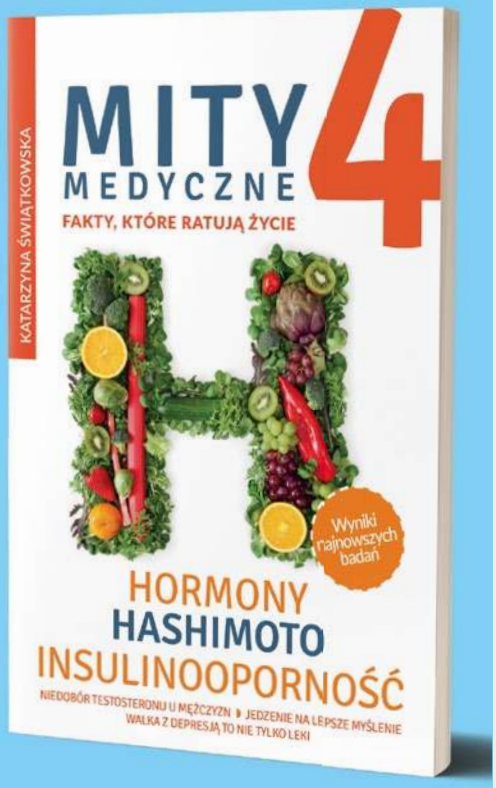

eprasa.pl 93f7da71ef

Niemiecko-sowieckie negocjacje dotyczące linii demarkacyjnej w Białymstoku, 23 września 1939 r. FOT. GETTY IMAGES

wymiany jeńców polskich oraz metody eksterminacji polskiej ludności.

Następna konferencja odbyła się w Zakopanem, które zostało zajęte 2 września 1939 r. przez wojska słowackie i było przez nie okupowane aż do 27 listopada 1939 r. (dnia pierwszej konferencji Gestapo-NKWD w Brześciu), kiedy to Słowacy przekazali Zakopane Niemcom.

20 lutego 1940 r. rozpoczęła się w Zakopanem, w willach „Pan Tadeusz" oraz „Telimena", trzecia z kolei konferencja NKWD i Gestapo. Niektóre źródła podają, że na początku lutego 1940 r. doszło do tajnego spotkania Heinricha Himmlera i Ławrientija Berii w pałacyku myśliwskim Hermanna Göringa w Romintach w Puszczy Rominckiej (w Prusach Wschodnich, dziś na granicy obwodu królewieckiego i Polski), gdzie prowadzono rozmowy na temat eksterminacji społeczeństwa polskiego i zwalczania polskiego ruchu oporu. Wspólne plany eksterminacyjne konstruowano do 4 kwietnia 1940 r. W marcu 1940 r. kolejna konferencja miała miejsce w Krakowie.

Brytyjski uczony George Watson z University of Cambridge jest przekonany o tym, że o losie polskich jeńców w niewoli sowieckiej zadecydowano na wspólnych konferencjach NKWD i Gestapo. Wielkie znaczenie wspólnym konferencjom NKWD i Gestapo przypisuje także Amerykanin Robert Conquest w monografii „Stalin: Breaker of Nations". Conquest był znanym i cenionym historykiem Sowietów, zwłaszcza okresu stalinowskiego. Był on pracownikiem naukowym w Instytucie Hoovera przez 28 lat, za co otrzymał prezydencki Medal Wolności w 2005 r. To wszystko zdaje się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Niemcy tak szybko wskazali miejsce ludobójstwa polskich oficerów w Lesie Katyńskim. I dlaczego nie udało się Rosjanom i ich słynnej komisji Burdenki (odpowiednik późniejszej komisji Anodiny) posadzić Niemców na ławie oskarżonych w Norymberdze za rzekome sprawstwo zbrodni katyńskiej?

Czy Polska ma prawo do reparacji w wyniku strat poniesionych podczas drugiej wojny światowej? Odpowiedź jest jednoznaczna: tak

NIKT NIE STRACIŁ TYLE CO MY

Straty polskie w wyniku drugiej wojny światowej są wyjątkowe. Składa się na nie przede wszystkim eksterminacja Polaków, a zwłaszcza polskich elit. Żaden z uczestników wojennego teatru nie stracił w wyniku tej wojny tylu obywateli co Polska. Żaden z uczestników wojennego teatru nie stracił aż tyle terytorium co Polska. Kraj został brutalnie przesunięty z kąta w kąt Europy, bez pytania jego mieszkańców o zdanie. Polska, opuszczona przez aliantów, zdradzona przez sojuszników, była zdana na łaskę zwycięzcy, sygnatariusza układu Ribbentrop-Mołotow.

Stalin realizował z chirurgiczną precyzją swe cele wojenne. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że zachodnia granica sowieckiej Polski była w zasadzie granicą Związku Sowieckiego (Stalin liczył na niemieckich komunistów, ale nigdy nie miał w planach przyłączenia Niemiec do Rosji, za co do dziś cieszy się wdzięcznością Niemców).

Siergiej Dmitriewicz Sazonow, minister spraw zagranicznych Cesarstwa Rosyjskiego, zmarły na emigracji w Nicei w 1927 r., opracował już w pierwszych dniach wojny plany imperialne Moskwy po zwycięstwie nad Niemcami i Austrią w wielkiej wojnie 1914–1918. Plan Sazonowa zakładał uzyskanie dla Rosji bezpiecznej, ale niekoniecznie opartej na Atlantyku granicy zachodniej. W swych planach nie pominął on Polski. Jako rosyjskiej prowincji, rzecz jasna. Zachodnia granica autonomicznej, nierozerwalnie połączonej z Rosją Polski miała wyglądać tak jak dziś. Wschodnia część zaboru austriackiego (ze Lwowem, miastem należącym do Polski dłużej niż Warszawa) miała stanowić część Rosji. Jestem przekonany o tym, że w Paryżu – gdyby nie przewrót bolszewicki – zachodni sojusznicy Rosji zgodziliby się na ten pomysł wschodniego sojusznika. Jego plany zrealizował niewiele później Józef Stalin, najwierniejszy sojusznik aliantów na Wschodzie.

Czy Polska ma prawo do reparacji w wyniku strat poniesionych podczas drugiej wojny światowej? Odpowiedź na to pytanie brzmi jednoznacznie – tak. Nawet w Niemczech słychać takie głosy. Tylko od kogo Polska powinna żądać odszkodowań? Do tej pory roszczenia wysuwa się jedynie pod adresem Berlina. To błąd. Sprawców tragedii Polski jest dwóch: to Niemcy i Rosjanie. Przeprowadzono obliczenia dotyczące strat spowodowanych w Polsce przez Niemcy. Tymczasem straty, poniesione w wyniku napaści Rosjan na nasze państwo, są co najmniej takie same. Także one są wymierne w liczbach, aczkolwiek nigdy nie będzie to pełna rekompensata. Instytut Strat Wojennych powinien zająć się szczegółowym wyliczeniem wysokości reparacji od sprawców zniszczenia Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

Czy papież Jan Paweł I został zamordowany?

Masoński spisek w sercu Watykanu?!

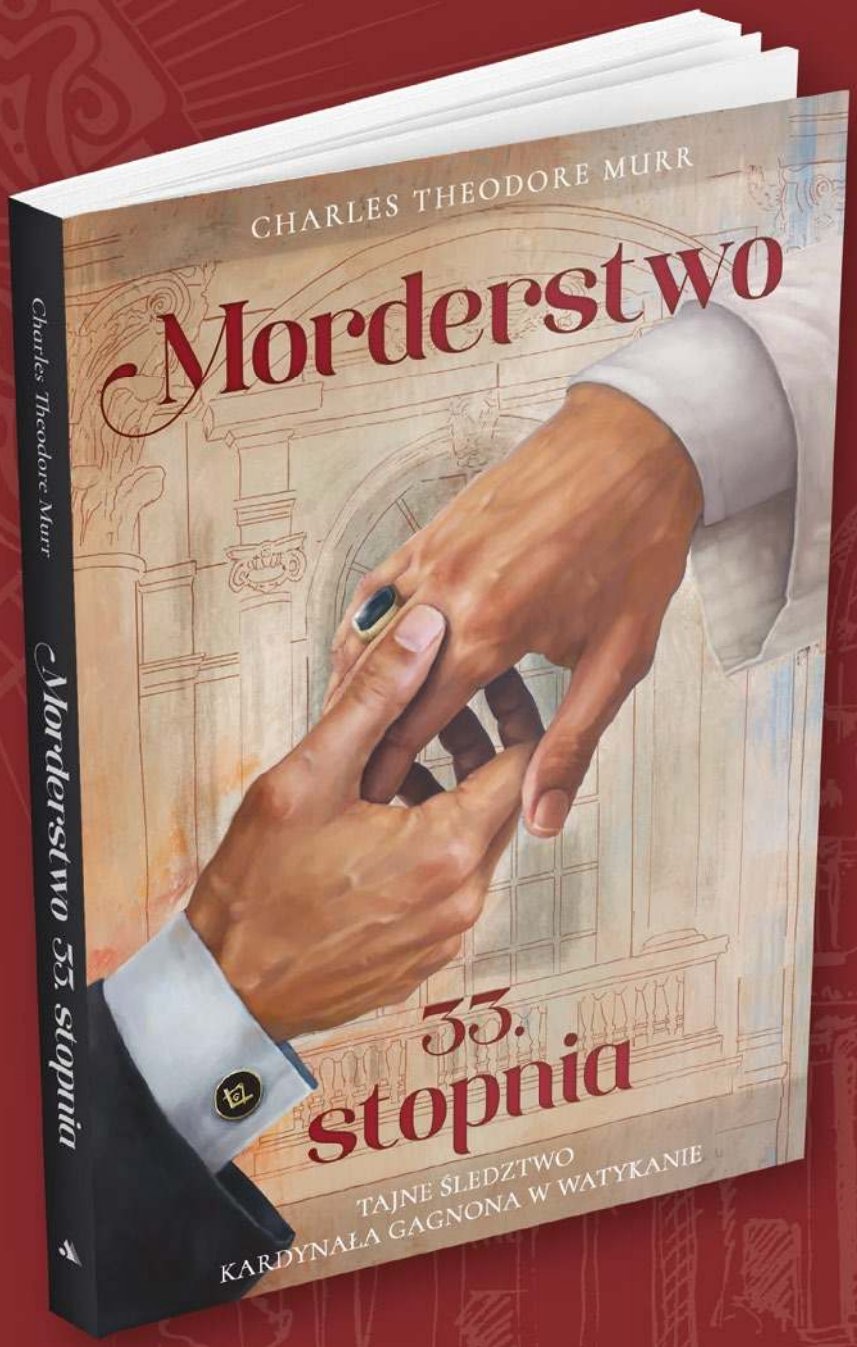

Wydawnictwo AA

Książkę można zamówić w księgarni internetowej:
www.religijna.pl
lub pod numerem tel. 12 345 42 00

eprasa.pl 93f7da71ef

Z Mileną Kindziuk, dziennikarką, pisarką, wykładowczynią akademicką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Edmund, brat Karola

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Medycyna była samodzielnym wyborem Edmunda Wojtyły czy uległ presji rodziców?

MILENA KINDZIUK: Jego ojciec, który był zawodowym wojskowym, pragnął, aby najstarszy syn kontynuował tę tradycję. Wysłał go nawet do niższej szkoły wojskowej w Enns w Austrii, gdzie chłopiec przebywał ponad dwa lata, wrócił jednak do Wadowic w listopadzie 1918 r., gdy Polska odzyskała niepodległość. Po maturze wybrał studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jego matka mówiła później, że marzyła o tym, aby jeden syn został lekarzem, a drugi księdzem. Może to ona podpowiedziała synowi, chociaż Wojtyłowie dawali dzieciom wolność wyboru. Dzięki temu Edmund został pełnym pasji lekarzem, a na jego klepsydrze widniał napis: „Był nieprzeciętnym, wartościowym człowiekiem, który miał wszelkie dane na znakomitego lekarza, od którego ludzkość mogła się wiele, bardzo wiele spodziewać". To mnie intrygowało: Dlaczego w wieku 26 lat został uznany za kogoś, „po kim ludzkość mogła się wiele spodziewać"?

Co wiemy o dzieciństwie Edmunda?

Jak mówił Jan Paweł II, jego brat nie urodził się – tak jak on – w wolnej Polsce, ale jeszcze pod zaborem austriackim, w 1906 r., w krakowskiej Krowodrzy. Tam spędził pierwsze siedem lat życia. W roku 1913, po ukończeniu pierwszej klasy, Mundek, bo tak o nim zdrobniale mówiono, razem z rodzicami przeprowadził się do Wadowic. Z dzieciństwa ocalała fotografia: Mundek ubrany jest w elegancką sukieneczkę z marynarskim kołnierzem. Siedzi na kolanach ojca – w mundurze wojskowym, obok matka – w sukni z kamizelą obszytą plisami z futra. Rodzina Wojtyłów była na swój sposób elitarna, patriotyczna, oboje rodzice wykształceni, znający biegle niemiecki. I szczerze religijni. W takim duchu wychowywali Edmunda. Zdawali sobie sprawę, że nie ma nic cenniejszego niż dać dziecku Boga, jak mówili mi krewni Wojtyłów z Czańca. Finansowo zaś nie powodziło im się zbyt dobrze, pensja ojca – urzędnika wojskowego – z trudem starczała na podstawowe potrzeby.

Pierwsza wojna światowa rzutowała na biografię bohatera pani książki?

Jego ojciec nie był na froncie, pracował w kancelarii wojskowej, na początku wojny był akurat w Wadowicach, gdzie prowadzono rekrutację żołnierzy oraz

Edmund tak bardzo chciał zostać lekarzem, że gotów był ponieść największe wyrzeczenia. Egzaminy zdawał znakomicie i w końcu otrzymał dyplom „wszech nauk lekarskich" FOT. MUZEUM DOM RODZINNY OJCA ŚWIĘTEGO JANA PAWŁA II

eprasa.pl 93f7da71ef

organizowano zaopatrzenie wojska. Gdy jednak front rosyjski zbliżał się do Krakowa, batalion zaopatrzeniowy Wojtyły przerzucono na Morawy do Hranic, tam przeniosła się cała rodzina, tam Mundek chodził przez rok do szkoły. Widział rannych czy chorych żołnierzy przywożonych z frontu. Czteroletnią szkołę podstawową kończył już w Wadowicach, w środku wojny, w 1916 r. Być może dlatego ojciec wysłał go do dalekiego Enns na zachodzie Austrii, by tam mógł spokojnie uczyć się w wojskowym gimnazjum. Wybór tej szkoły mógł wiązać się z tym, że jako syn wojskowego nie musiał wnosić wysokich opłat. Skromne warunki życia zawsze mu towarzyszyły. Gdy w 1924 r. podjął studia medyczne w Krakowie, żył bardzo ubogo, nie miał środków na utrzymanie, opłacenie stancji. Co roku prosił władze uczelni o odroczenie opłat na studia. Nie mógł liczyć na pomoc z domu, tym bardziej że ojciec przeszedł już na emeryturę. Ale wykazał ogromną determinację w dążeniu do celu – mógłby tym imponować młodym ludziom dzisiaj. Tak bardzo chciał zostać lekarzem, że gotów był ponieść największy trud i wyrzeczenia. Egzaminy zdawał znakomicie i w końcu otrzymał dyplom „wszech nauk lekarskich".

Dla młodszego brata był autorytetem?

Jan Paweł II powiedział kiedyś, że śmierć brata przeżył „chyba głębiej niż śmierć matki". To wiele mówi o tej braterskiej relacji. Właściwie mówi wszystko. Może w pewnym sensie Edmund, 14 lat starszy, był autorytetem, ale bardziej chyba po prostu najlepszym przyjacielem. Długo czekał na rodzeństwo, po urodzeniu Karola w 1920 r. tak się cieszył, że niemal się z nim nie rozstawał. Ledwie malec zaczynał chodzić, zabierał go na mecze piłkarskie – gdzie początkowo odgrywał rolę słupka wyznaczającego bramkę! Potem ciągnął go na przedstawienia teatralne w Wadowicach (Edmund grał jako aktor w sztukach, Karol od niego przejął fascynację teatrem) oraz na górskie wycieczki. Papież do końca życia wspominał, że po raz pierwszy w górach był z bratem Edmundem i że było to w Dolinie Pięciu Stawów w Tatrach. Gdy umarła im matka, czynił wszystko, by dziewięcioletni Karol jak najmniej odczuł to przedwczesne odejście.

Mieli więcej podobieństw czy różnic?

Byli inni, to na pewno, choć w pewnym sensie też podobni. Obaj – jeden jako lekarz, drugi jako duchowny – wybrali powołanie służby człowiekowi. Ich życiowe wybory pokazują, że byli zespoleni wartościami, które wynieśli z domu, od rodziców. Że mocno łączyła ich wiara. Zresztą Edmund kształtował duchowość brata, obok ojca także on uczył go wiary, zabierał do kościoła. A później, gdy matka już nie żyła, a on związał się ze swoją narzeczoną, nawet odkładał ślub, gdyż – jak twierdził – „musi opiekować się młodszym bratem i stworzyć mu warunki do zdobywania wykształcenia". Była to prawdziwa przyjaźń, miłość braterska.

Z przyjaciółką Janką Opidowiczówną na Klimczoku w lipcu 1931 r.

FOT. MUZEUM DOM RODZINNY OJCA ŚWIĘTEGO JANA PAWŁA II

Czyli doktor Wojtyła nie wiódł żywota kawalerskiego?

Nie zdążył się ożenić, ale miał cudowną narzeczoną, Jadwigę Urban. Pochodziła z Mucharza koło Wadowic, gdzie mieszkała razem z rodzicami i rodzeństwem. Znali się wiele lat, mówili do siebie zdrobniale: Ekuś i Wisia, a że pracowali w różnych miastach, pisali do siebie listy, ale niestety spłonęły one w czasie drugiej wojny światowej. Dotarłam do krewnych narzeczonej, a także do jej świadectw o Edmundzie. Są to przepiękne wspomnienia z ich wspólnych wakacyjnych wypraw w góry – wędrowali po Tatrach, Pieninach, Beskidach. Jadwiga podziwiała, jak bardzo Edmund kochał przyrodę, jak nazywał po imieniu drzewa i kwiaty, jak podziwiał piękno Stwórcy w cudach natury. To była wielka miłość, o czym świadczą również dalsze losy narzeczonej, po jego tragicznej śmierci nigdy już z nikim się nie związała. „Kochałam tylko raz!" – mówiła.

Dlaczego Edmund trafił do Bielska-Białej?

Przyczyna była prozaiczna: właśnie tam otrzymał pierwszą pracę etatową. Podjął ją wiosną 1931 r. jako lekarz sekundariusz na oddziale zakaźnym w szpitalu miejskim w Bielsku (dziś Bielsko-Biała). Znał niemiecki, to mu pomagało, placówka była bowiem dwujęzyczna. Przede wszystkim jednak zwrócę uwagę

eprasa.pl 93f7da71ef

na to, że był odważny, wtedy nie znano jeszcze przecież antybiotyków i zakażenia często kończyły się śmiercią, raz po raz wybuchały też różne epidemie. Jako lekarz zakaźnik zdawał sobie sprawę, że może się śmiertelnie zarazić jakąś chorobą. Ale swą pracę traktował poważnie, jak powołanie. Teraz wcielał w życie to wszystko, co słyszał na wykładach: że w medycynie nie wolno oddzielać ciała od duszy, a chory to bliźni, o którego życie należy walczyć do końca. Szpital, w którym pracował Edmund, zachował się do dziś. Żywa jest tam pamięć o nim. Lekarze przekazują sobie wciąż historie o pełnym empatii, młodym, zdolnym doktorze Wojtyle, który z wielkim oddaniem leczył ludzi. Także dzieci, które bardzo lubił. Sam zresztą marzył o domu pełnym dzieciaków, jak mówił do swej narzeczonej. I miał szczególny kult do św. Mikołaja, który rozdaje dzieciom podarunki.

Gdy Edmund pracował w Bielsku, niemal w każdą niedzielę odwiedzali go ojciec i brat. Czasem udawali się na obiad do siostry ojca – ciotki Stefanii (odnalazłam dom, w którym się spotykali) – albo też wędrowali razem po górach. Papież przyznał po latach, że „czas spędzony z Edmundem w Bielsku uważa za najszczęśliwszy w życiu".

Lekarz odszedł przedwcześnie. W jakich okolicznościach?

Do szpitala, w którym pracował, trafiła 20-latka chora na szkarlatynę. Doktor Wojtyła, jako jedyny z całego personelu szpitala, podjął się jej leczenia. Nie opuścił jej, gdy było już pewne, że nie zdoła jej pomóc, pielęgnował ją w izolatce w czasie agonii, pacjentka przy nim też umarła. Edmund zaraził się od niej. Bardzo źle znosił chorobę, cierpiał w gorączce ponad 40 stopni. Gdy już wiedział, że nie ma ratunku, wyszeptał do pielęgniarki: „Dlaczego właśnie ja?". Poprosił, by przyszedł ksiądz. Przystąpił do spowiedzi, Komunii św., przyjął sakrament namaszczenia. Do końca był przytomny. Zmarł w niedzielę 4 grudnia 1932 r., ok. godz. 19. Miał 26 lat. W jego mszy żałobnej wzięły udział tłumy ludzi, a o heroicznym czynie doktora Wojtyły pisała ówczesna prasa, określając go lekarzem zasłużonym dla ludzkości, męczennikiem swego młodego życia, bohaterem. Takiego drugiego pogrzebu Bielsko dotąd nie przeżyło, mówili mi starsi mieszkańcy miasta.

Zdjęcie z matką w latach szkolnych

FOT. MUZEUM DOM RODZINNY OJCA ŚWIĘTEGO JANA PAWŁA II

Chciałabym też podkreślić, że ofiarna praca Edmunda i jego niezwykłe poświęcenie dla zarażonej szkarlatyną pacjentki nie wynikały jedynie z czystej ludzkiej szlachetności, ale miały podłoże religijne, były zakorzenione w wierze i to nadawało jego czynom dodatkową wartość. Edmund nie pragnął przecież śmierci i jej nie szukał, to pewne. Był młody, miał wiele życiowych planów: przede wszystkim doskonalić się w pracy lekarza i nadal spełniać swą misję, leczyć chorych. Planował założyć rodzinę, mieć żonę i dzieci. Wyprawiać się z nimi w ukochane góry… Decyzja oddania życia dla chorej pacjentki, obcej przecież osoby, musiała wypływać z jego głębokiej wiary i miłości. Kochał Boga, dlatego realizował miłość bliźniego. Z miłości Boga wypływa bowiem miłość bliźniego. A to przecież jest główne przesłanie Ewangelii: miłość bliźniego, aż do oddania życia. Wielu ludzi z tego powodu domagało się beatyfikacji Edmunda. W 1997 r. we Włoszech zawiązał się nawet komitet beatyfikacyjny, istnieje też modlitwa o jego beatyfikację, wielu ludzi ją odmawia i z tego, co wiem, doznają łask za jego wstawiennictwem. Gdy zbierałam materiały do książki, spotkałam też ludzi, w Polsce i za granicą, którzy propagują oddolnie kult Edmunda, modlą się na jego grobie na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Jeżeli więc brat Jana Pawła II zostałby kiedyś beatyfikowany, to właśnie z racji dobrowolnego oddania życia dla drugiego człowieka. Mógłby być doskonałym patronem na nasze czasy. Moim zdaniem to wspaniała postać, mogę powiedzieć, że pisząc tę biografię, zaprzyjaźniłam się z Edmundem.

Śmierć brata mogła mieć wpływ na kapłaństwo Karola Wojtyły?

Trudno stwierdzić. Karol wybrał seminarium 10 lat po śmierci brata, w 1942 r., podczas drugiej wojny. Jedno można powiedzieć, że obaj mieli wielkie serce, wielką miłość do ludzi i gotowość do służenia im. U nich obu wiara też była czymś bardzo bliskim, mocnym, ale naturalnym, bez czego nie można żyć.

Nasz papież nosił Edmunda w sercu do ostatnich chwil życia…

Przejmująco brzmiały słowa Jana Pawła II: „Mój brat Edmund zmarł u progu samodzielności zawodowej, zaraziwszy się jako młody lekarz ostrym przypadkiem szkarlatyny, co wówczas (1932 r.), przy nieznajomości antybiotyków, było zakażeniem śmiertelnym. Są to wydarzenia, które głęboko wyryły się w mojej pamięci".

Wybór Karola Wojtyły na papieża bez wątpienia przyczynił się do zainteresowania jego rodziną, także bratem. Wydaje mi się jednak, że pamięć o Edmundzie przetrwałaby także wtedy, gdyby Karol Wojtyła nie stał się Janem Pawłem II. Być może tylko nie mówiono by wtedy: „Edmund – brat Papieża", tylko: „Karol – brat Edmunda"?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Milena Kindziuk – dziennikarka, pisarka, wykładowczyni akademicka, autorka książek: „Kardynał Stefan Wyszyński – prymas Polski", „Popiełuszko", „Ostatni taki prymas" – o kard. Józefie Glempie, „Matka Świętego" – o Mariannie Popiełuszko, „Emilia i Karol Wojtyłowie. Rodzice św. Jana Pawła II" i najnowszej „Edmund Wojtyła. Brat św. Jana Pawła II".

eprasa.pl 93f7da71ef

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polska – Anglia 4:0!

W styczniu 1943 r. w Iraku doszło do epokowego wydarzenia sportowego. Był to mecz piłkarski między drużynami Anglii i Polski. W drużynie polskiej wystąpili żołnierze Andersa, który przybyli na Bliski Wschód z „nieludzkiej ziemi". Wśród nich było kilku zawodników przedwojennej reprezentacji.

Brytyjska armia postawiła sobie za punkt honoru zwycięstwo. W końcu piłka nożna jest narodowym sportem Anglików! Wyszukano najlepszych zawodników, którzy służyli w armii Jego Królewskiej Mości. Wyciągnięto ich z rozmaitych frontów i zwieziono samolotami do Iraku. „Ten oczekiwany z napięciem mecz futbolowy – pisał ppłk Włodzimierz Scholze-Srokowski – skończył się zwycięstwem Polaków 4:0! Widzowie angielscy byli dosłownie porażeni i wychodzili przed końcem, nie wierząc własnym oczom".

Fragmenty dziennika pułkownika to najciekawszy materiał nowej „Karty". Oficer notował w nim zarówno informacje polityczne i militarne, jak i ciekawostki z codziennego życia żołnierzy na Bliskim Wschodzie.

Okazuje się, że w Iraku można było kupić na targu niewolnice. Poczciwy polski żołnierz brzydził się traktowaniem kobiety jak mebla, który po użyciu można wyrzucić. „Natomiast chętnie korzysta z mebli używanych – pisał Scholze-Srokowski – i niestety liczba zachorowań wenerycznych stanowi poważną rubrykę". Polacy wieczorami raczyli się paskudną arabską wódką. Pytani, czy się nie brzydzą, odpowiadali: „Lepiej pić to świństwo niż chodzić trzeźwym jak bydlę". Tematem głównym nowej „Karty" jest zabójstwo prezydenta Narutowicza. Z wielkim zaciekawieniem przeczytałem również fragment wspomnień Kathleen A. Balgley. To Amerykanka, która w latach 80. przyjechała do PRL uczyć angielskiego. Młoda kobieta ze słonecznej Kalifornii trafiła do szarej Dąbrowy Górniczej. Opisy jej wrażeń i przygód w obcym kraju momentami są straszne, a momentami śmieszne. No, może nie w zupełnie obcym. Jej ojciec był bowiem polskim Żydem. I jeszcze ciekawostka. Kathleen A. Balgley jest mamą znanej aktorki Emilii Ratajkowskiej. ©℗

★★★★★★
„KARTA"
112/2022

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Tyrmand we Wrocławiu

W połowie 1948 r. Leopolda Tyrmanda, jako wysłannika „Przekroju", dokooptowano do zespołu prasowego obsługującego Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu. Typowo pokazowa impreza rozpoczęła się 25 sierpnia, a pan Leopold przeprowadził wówczas wywiady z Pablem Picassem i Julianem Huxleyem. Natomiast w kuluarach kongresu wzbudzał swoim zachowaniem grozę wśród innych dziennikarzy.

Posadę w „Przekroju" również stracił za demonstrację polityczną

„Tyrmand szalał – wspominał Zygmunt Broniarek – zamawiał najdroższe potrawy, kawiory i łososie, egzotyczne owoce, wyrafinowane lody, trunki, jakich nigdy w życiu nie widziałem (a były!), i nic, tylko podpisywał". Uczestnicy kongresu dostawali wszystko gratis, wystarczał wyłącznie podpis na rachunku. Tyrmand nie zamierzał jednak brać tych ekstrawagancji na siebie i podpisywał rachunki jako Jerzy Borejsza, wszechwładny szef Czytelnika i główny animator imprezy.

Zapewne odreagowywał w ten sposób usunięcie go ze Związku Zawodowego Dziennikarzy RP (późniejszego SDP), z czym wiązała się utrata pewnych przywilejów. Relegowany został na własne życzenie, w odwecie za demonstrację urządzoną podczas pewnego wydarzenia sportowego.

„[…] był mecz jakiś wielki – opowiadał Stefan Kisielewski – ze Związkiem Radzieckim chyba. Na meczu był Bierut, cały rząd miał przyjść. Otóż Mikołajczyk, wicepremier, wykombinował sobie, że się spóźni, żeby mieć osobne wejście, osobną owację. I rzeczywiście, jak przez głośnik podano, że wszedł do loży wicepremier Mikołajczyk, to stadion zerwał się z miejsc, zaczął klaskać, a w loży prasowej tylko jeden człowiek wstał i klaskał – to Tyrmand. I wylali go ze Stowarzyszenia Dziennikarzy zaraz, za parę dni".

To nie był wyjątek, posadę w „Przekroju" również stracił za demonstrację polityczną. Gdy podczas meczu bokserskiego ze Związkiem Sowieckim (czy też turnieju bokserskiego z udziałem sowieckich pięściarzy) publiczność skandowała: „Lej Iwana za Katyń", to Tyrmand napisał w swojej relacji, że wznoszono patriotyczne okrzyki…

Przygarnął go Jerzy Turowicz do „Tygodnika Powszechnego", ale był to trudny czas dla Tyrmanda. Zarabiał niewiele, a do tego groziło mu jeszcze usunięcie ze Związku Literatów Polskich, co mogło ostatecznie pogrążyć go finansowo. Zniżkowe obiady „po siedem złotych" w stołówce stowarzyszenia były bowiem wielkim przywilejem, chociaż i tak bardzo dalekim od kuchennych ekstrawagancji z Wrocławia… ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

Maciej Pieczyński

Kim jest ideolog rosyjskiego imperializmu, którego córka zginęła w zamachu pod Moskwą?

Ile z Dugina jest w Putinie

Być może nigdy się nie dowiemy, kto zabił Darię Duginę. Wiadomo jedynie, że córka wpływowego ideologa rosyjskiego imperializmu, podzielająca i głosząca jego poglądy, zginęła w wybuchu samochodu pułapki. Prawdopodobnie jechać miał z nią jej ojciec, ale w ostatnim momencie się rozmyślił. Raczej zatem on był celem. Albo oboje. Wątpliwe, by tylko ona. Kijów od razu od zamachu się odciął. „Nie jesteśmy państwem przestępczym, jak Rosja, a tym bardziej państwem terrorystycznym" – zastrzegł doradca szefa biura prezydenta Ukrainy Mychajło Podolak. Z kolei Moskwa już po dwóch dniach „znalazła sprawców". Według FSB bombę podłożyła należąca do pułku „Azow" Natalia Wowk na rozkaz ukraińskich służb specjalnych, po czym uciekła do Estonii. Pułk „Azow" oświadczył, że w jego szeregach nigdy nikt taki nie służył.

Dla Kremla wygodnie jest o każdą zbrodnię oskarżyć Kijów. A już szczególnie znienawidzonych w Rosji „azowców". Śmierć Duginy może być wykorzystana jako pretekst do np. uznania Ukrainy za państwo terrorystyczne lub do bardziej brutalnych działań wobec Ukraińców. Przy czym, gdyby Kreml planował kogoś zabić, by w ramach prowokacji przypisać winę „nazistom z Kijowa", to wygodniej byłoby złożyć ofiarę z Bogu ducha winnych cywilów niż z propagandystki – bardziej chwytałoby za serce. Poza tym skuteczny zamach pod samą Moskwą może wystraszyć innych piewców „specoperacji". Dwa razy się zastanowią przed kolejnym antyukraińskim występem w rządowej czy prorządowej telewizji. To z kolei mogłoby wskazywać, że bardziej śmierć Duginy opłacała się ukraińskiej SBU niż rosyjskiej FSB. Z innej strony, lepiej byłoby zlikwidować kogoś bardziej znanego i o większym wpływie na opinię publiczną w Rosji – np. Władimira Sołowiowa. Niemniej jednak kremlowskie media robią z córki geopolityka nieomal świętą męczennicę krucjaty przeciwko zachodniemu i – węziej – ukraińskiemu nazizmowi. Zapowiadają zemstę,

Daria Dugina była nie tylko córką sławnego ojca. Była publicystką mediów promujących rosyjski imperializm

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl 93f7da71ef

a walczący na froncie żołnierze podpisują pociski hasłem „Za Daszę!". Putin nagrodził ją Orderem Odwagi.

Z kolei opozycyjny polityk rosyjski Ilja Ponomariow twierdzi, że zamachu dokonała Narodowa Armia Republikańska. Do niedawna nikt o tej organizacji nie słyszał. Dzień po śmierci Duginy NRA opublikowała manifest, w którym zapowiada obalenie Putina i zamachy na wszystkich jego popleczników. Nie wiadomo, czy ta antyputinowska partyzantka istnieje naprawdę czy też jest wytworem służb specjalnych.

Z jeszcze innej strony, można podejrzewać, że Dugina padła ofiarą wewnętrznych porachunków. Być może na szczytach władzy „jastrzębie" są pożerane przez „gołębie", żeby przygotować grunt pod jakieś kompromisowe rozwiązanie na Ukrainie? Jest też wersja bardziej prozaiczna. Niezależny rosyjski dziennikarz Aleksandr Sotnik twierdzi, powołując się na swojego informatora, że Duginę zabito, ponieważ brała udział w defraudacji pieniędzy, które Kreml przeznaczył na finansowanie kampanii wyborczej Marine Le Pen.

Sam Aleksandr Dugin dwa dni po śmierci córki zaapelował do „narodu Rosji": „Nasze serca nie pragną zwykłej zemsty […]. Potrzebujemy tylko waszego zwycięstwa. Na jego ołtarzu swoje dziewczęce życie oddała moja córka". Oskarżył on wprost Kijów: „W wyniku zamachu terrorystycznego przeprowadzonego przez nazistowski reżim ukraiński moja córka […] została brutalnie zamordowana". Na pogrzebie powiedział, że jednym z pierwszych słów Darii były „Rosja" i „nasze imperium". Podkreślił też jej przywiązanie do „świętego prawosławia". Szef Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji (w rzeczywistości nacjonalistycznej – jego poprzednikiem był Żyrinowski) Leonid Słucki podczas ceremonii rzucił hasło „Jeden kraj, jeden prezydent, jedno zwycięstwo" i zapowiedział, że imię Duginy otrzyma jedna z ulic w „wyzwolonym od nazistów Kijowie".

WOJNA Z ZACHODEM

Daria Dugina była nie tylko córką sławnego ojca. Poszła jego śladem. Ukończyła najpierw studia, następnie obroniła doktorat z filozofii. Była publicystką kremlowskich i promujących rosyjski imperializm mediów, takich jak telewizja Tsargrad, „Zwiezda", RT. Posługiwała się pseudonimem Daria Płatonowa. Podobnie jak ojciec była gorącą zwolenniczką zarówno napaści na Ukrainę, jak i wojny z Zachodem.

Występując na antenie jednej z rosyjskich telewizji państwowych, Daria Dugina apelowała o większe okrucieństwo wobec Ukraińców

„Wczoraj nocą szłam pustymi, moskiewskimi ulicami, a w oddali, nad domem, powiewała rosyjska flaga. I cichy szelest: Rosjanie idą. Kobieca intuicja jest potężna. Z jakiegoś powodu zwróciłam uwagę na tę ciszę i na tę flagę. W głowie hasło – »Imperium, stań się!«. Obudziłam się i imperium się spełniło" – tak skomentowała na portalu społecznościowym Telegram agresję Rosji. „To nie jest wojna z Ukrainą, to wojna z Zachodem" – stwierdziła.

Po 24 lutego za sianie dezinformacji na temat wojny oraz za wsparcie dla działań zagrażających niepodległości zaatakowanego kraju została objęta sankcjami przez Wielką Brytanię i Australię. „Noworosję" (czyli południowo-wschodnie tereny Ukrainy pod okupacją) nazwała „imperiotwórczą przestrzenią dla Rosji, dzięki której to przestrzeni możemy istnieć jako Rosja. Przy czym jako Rosja niepokonana, Rosja, która stanęła do walki przeciwko totalitarnemu liberalizmowi, narzucanemu siłą na całym świecie". Zbrodnię w Buczy określiła mianem „inscenizacji z trupami ludzi, rzekomych ofiar agresji rosyjskiej", której celem było stworzenie fałszywego obrazu okrucieństwa rosyjskich „rzeźników" (bo nazwa miejscowości w języku angielskim przypomina słowo „butcher", czyli rzeźnik). Dzień po zamachu opozycyjny dziennikarz rosyjski Ilja Szepielin sarkastycznie nawiązał do tego tekstu: „Oczywiście, wczoraj my też byliśmy świadkami tzw. inscenizacji z ofiarą agresji rosyjskiej".

Występując na antenie jednej z rosyjskich telewizji państwowych, Dugina apelowała o większe okrucieństwo wobec Ukraińców: „Zaczęliśmy tę operację bardzo akuratnie i delikatnie, ale, być może, trzeba być (wobec Ukraińców) bardziej twardym i mniej wybaczać". Obrońców zakładów Azowstal nazwała „nieludźmi". Oczywiście o wywołanie wojny oskarżała Ukrainę.

MÓZG PUTINA?

Dugin nazywany jest „mózgiem Putina". Nie do końca słusznie. Najwłaściwiej byłoby powiedzieć tak: jest on jednym

eprasa.pl 93f7da71ef

z ideologów, którzy z różnym skutkiem próbują inspirować kierunki polityki zagranicznej Kremla. A jednocześnie narzędziem propagandowym w rękach Putina, który sięga po radykałów, gdy idzie na wojnę.

Rocznik 1962. Jego ojciec był generałem GRU. Aleksandr studiował w Moskiewskim Instytucie Awiacji, skąd został wyrzucony rzekomo za powieszenie na ścianie antysowieckiego plakatu reklamującego koncert zespołu rockowego, którego był członkiem. W latach 80. zaangażował się w działalność kontrkulturowej bohemy, zafascynowanej ezoteryką. Należał do Grupy Jużyńskiej, kierowanej przez gnostyka Jurija Mamlejewa, a następnie – do Czarnego Zakonu SS, skupiającego wielbicieli nazistowskiego okultyzmu pod wodzą adepta magii Jewgienija Gołowina. W okresie pierestrojki wstąpił do skrajnie nacjonalistycznej, imperialnej organizacji Pamięć. Już po roku został stamtąd wyrzucony za kontakty z „przedstawicielami dysydenckich kręgów emigracyjnych o charakterze okultystyczno-satanistycznym". Wtedy związał się z komunistami. Następnie, już w latach 90., był jednym z liderów Partii Narodowo-Bolszewickiej. Od lat jest jednym z najważniejszych publicystów konserwatywnej, imperialnej, prawosławnej telewizji Tsargrad, kierowanej przez Konstantina Małofiejewa, prokremlowskiego oligarchę, pozującego na obrońcę tradycyjnych wartości.

Z polskiej perspektywy może się wydawać, że Dugin zmieniał poglądy jak rękawiczki, popadając z jednej skrajności w skrajność. Jednak rosyjski świat idei to świat paradoksów. U schyłku ZSRS zaczął się formować sojusz czerwono-brunatny, czyli porozumienie komunistów z monarchistami i nacjonalistami. Ich wspólnym celem było zapobiegnięcie rozpadowi imperium. Owocem tego sojuszu była m.in. Partia Narodowo-Bolszewicka. W latach 90. to była polityczna subkultura. Jednak już w Rosji Putina tego typu idee weszły do głównego nurtu. Stąd synkretyczny charakter współczesnej kremlowskiej ideologii, łączącej w sobie sentyment do Związku Sowieckiego czasów Stalina z kultem czasów carskich.

Wspólnym mianownikiem monarchistów, neofaszystów, nacjonalistów czy komunistów jest nienawiść do Zachodu, chęć odbudowy dawnej potęgi imperialnej, a także strach przed rewolucją, która osłabiłaby siłę państwa. Da się wytłumaczyć również połączenie fascynacji okultyzmem z pozą rosyjskiego prawosławnego konserwatysty. Dugin jest zwolennikiem tradycjonalizmu integralnego. Czyli poglądu, zgodnie z którym istnieje jedna, wspólna dla całej ludzkości tradycja pierwotna, przejawiająca się w różnych religiach – od okultyzmu do chrześcijaństwa, przy czym w procesie rozwoju cywilizacji jest coraz bardziej zapominana.

IDEOLOG NEOEURAZJATYZMU

Jednak Dugin znany jest przede wszystkim jako ideolog neoeurazjatyzmu oraz geopolityk. Konflikt Rosji z Zachodem wpisuje w schemat walki cywilizacji Lądu z cywilizacją Morza. Ląd to konserwatyzm (nie tylko prawosławny, lecz także np. islamski, ale nie katolicki – bo to produkt Zachodu), autorytaryzm, patriotyzm, kolektywizm. Czyli Rosja i – szerzej – Eurazja. Morze to liberalizm, globalizm, demokracja, konsumpcjonizm, kapitalizm, indywidualizm, ateizm. Czyli USA i część Europy. Eurazjatyzm powstał po rewolucji bolszewickiej w kręgach rosyjskiej białej emigracji. Jego twórcy przekonywali, że Rosja stanowi odmienny typ cywilizacyjny, a zatem wcale nie musi naśladować Zachodu. Eurazjaci, choć wypędzeni przez bolszewików z kraju, podziwiali ich imperialne podboje.

W odróżnieniu od nich neoeurazjata Dugin za wroga uznał nie cały Zachód, tylko Zachód anglosaski, „atlantycki". Niemców czy Francuzów uważał za przedstawicieli Lądu, z którymi Rosja może się porozumieć, stworzyć wspólną przestrzeń „od Lizbony do Władywostoku". W tej optyce nie ma miejsca na małe kraje, takie jak Polska – muszą one dać się podporządkować większym mocarstwom, „typom cywilizacyjnym". W wywiadzie udzielonym „Frondzie" pod koniec lat 90. stwierdził, że Rosja nie jest zainteresowana istnieniem niepodległego państwa polskiego. Postulował zniszczenie kordonu sanitarnego złożonego z państw bloku wschodniego NATO, oddzielających Rosję od Europy Zachodniej.

W 2000 r. obronił doktorat z filozofii, osiem lat później został profesorem na Wydziale Socjologicznym Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego. Jego książka „Podstawy geopolityki", wydana po raz pierwszy pod koniec lat 90., stała się podręcznikiem w rosyjskich akademiach wojskowych. Był doradcą spikera Dumy Giennadija Sieliezniowa. Utworzył wiele organizacji z przymiotnikiem „eurazjatycki". W 2014 r. gorąco poparł wojnę na Ukrainie. W jednym z wystąpień telewizyjnych nawoływał, by w odpowiedzi na zbrodnie „kijowskiej junty" Ukraińców „zabijać, zabijać, zabijać – mówię to jako profesor". W efekcie stracił pracę na uczelni.

Dugin okazał się zbyt radykalny dla ówczesnego Putina, który ostatecznie zatrzymał się na Krymie i Donbasie, podczas gdy Dugin oczekiwał dalszej ekspansji. Konflikt przeszedł w fazę uśpioną, więc ideolog imperializmu nie był chwilowo potrzebny. Za zatrzymanie podboju Ukrainy krytykował Putina i jego otoczenie. Blisko współpracował ze wspomnianym oligarchą Małofiejewem, który finansował separatystów i w orkiestrze wspierającej Kreml zajmuje od dawna miejsce prawosławnej, skrajnej prawicy. Sam Dugin jest też „towarem eksportowym" rosyjskiej propagandy. Ma bowiem szerokie kontakty z przedstawicielami europejskiej skrajnej prawicy, których przekonuje do popierania Moskwy. Szczególnie że prawica ta (zwłaszcza francuska Nowa Prawica) jest pod wpływem wspomnianego tradycjonalizmu integralnego i nie przeszkadza jej religijny synkretyzm Dugina.

Przed 24 lutego 2022 r. wydawało się, że państwo Putina bardziej przypomina „Rosję-Wyspę" Wadima Cymburskiego niż ekspansywną „Rosję-Eurazję" Dugina. Czyli osobną cywilizację, ale oddzieloną od reszty świata „cieśninami", państwami buforowymi, które powinny być neutralne i tylko w razie konieczności mogą być przyłączone do „wyspy". Po tym, jak Putin uznał, że ukraiński bufor woli inną cywilizację, postanowił ten bufor zlikwidować. W ten sposób zaczął realizować postulaty Dugina. Ale nie dlatego, że tak mu poradził geopolityk, ale dlatego, że inne metody nacisku na „nazistowską Ukrainę i liberalny Zachód" niż militarna nie poskutkowały. Poza tym to były postulaty nie tylko ideologa neoeurazjatyzmu, lecz także szerokich kręgów rosyjskich imperialistów. Dugin jest w wielu poglądach oryginałem, ale antyzachodniego i antyukraińskiego kursu nie wymyślił. Kilka tygodni po inwazji z satysfakcją zauważył, że Putin przeszedł drogę typową dla władcy Rosji. Na początku próbował łączyć „suwerenność" z „liberalizmem i globalizmem", ale „na szczęście" w końcu postawił na to pierwsze. Czyli na upragnioną przez neoeurazjatę wojnę z Zachodem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

FOT. KIMMO BRANDT/EPA/PAP

TOPLES U PANI PREMIER

Okazuje się, że afera z udziałem premier Finlandii nie ma końca. Najpierw fińskie media oburzyły się tym, że premier Sanna Marin była na jakimś prywatnym przyjęciu, w jakimś prywatnym domu i tam tańczyła i śpiewała. Premier wyjaśniała, że to nic złego. Potem media oburzyły się, że jest filmik, jak Marin tańczy z jakimś mężczyzną. Premier wyjaśniała, że to nic złego i mąż wiedział. A w ubiegłym tygodniu media pokazały zdjęcie dwóch pań toples całujących się w rezydencji premier. Premier wyjaśniała, że to były jej przyjaciółki, które zrobiły sobie takie zdjęcie w „toalecie dla gości", i przeprosiła za zachowanie swoich znajomych. Strach pomyśleć, co będzie musiała wyjaśniać w kolejnych tygodniach...

SYNOPTYCY ZWOLNIENI ZA POGODĘ

Dwóch czołowych synoptyków na Węgrzech straciło pracę. Ostrzegli bowiem Budapeszt, że 20 sierpnia mogą tam wystąpić „ekstremalne zjawiska pogodowe". A akurat tego dnia Węgrzy obchodzą państwowe święto – Dzień św. Szczepana. No i zaplanowane na ten dzień wielkie obchody, w tym pokaz fajerwerków, zostały odwołane. Tymczasem burza ominęła Budapeszt. Narodowa Agencja Meteorologiczna przeprosiła i tłumaczyła, że w ich zawodzie występuje „czynnik niepewności". Minister ds. innowacji László Palkovics tych tłumaczeń nie przyjął i zwolnił ze skutkiem szefową agencji oraz jej zastępcę.

ZABAWA DLA MORDERCÓW

Naczelnik zakładu karnego we Fresnes pozwolił na to, by osadzeni wzięli udział w grach i zabawach w ramach reality show. I tak przestępcy zabawiali się m.in. w przeciąganiu liny czy pokonywaniu toru przeszkód. Gdy w sieci opublikowano wideo z tej zabawy, okazało się, że po pierwsze, do zabaw dopuszczono ludzi skazanych za poważne przestępstwa, m.in. gwałcicieli i morderców, a po drugie, że mieli dodatkową rozrywkę, bo jeździli też sobie w wyścigu gokartowym. Francuski minister sprawiedliwości zażądał wyjaśnień.

ZIMNY CHÓW

Przedszkole DaisyChain w Wielkiej Brytanii zaczęło oszczędzać energię. W związku z tym poinformowało swoich pracowników, że mają... ubierać się cieplej. Poprosiło też rodziców, by przysyłali podopiecznych z dodatkowymi warstwami ubrań. Placówka włącza ogrzewanie już tylko na 10–20 minut w ciągu godziny..

ŚNIŁ, ŻE KROI MIĘSO NA OBIAD

Fatalny sen rolnika z Ghany. Jak podało BBC, 47-latek uciął sobie w ciągu dnia krótką drzemkę. Przyśniło mu się, że przygotowuje dla rodziny obiad i kroi mięso. Okazało się, że podczas snu naprawdę chwycił za nóż i obciął własne genitalia. Trafił do szpitala. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Dolar znów królem. A złoty?

Kurs euro do dolara spadł w ubiegłym tygodniu do najniższego poziomu od początku istnienia wspólnej europejskiej waluty. I chociaż czwartek przyniósł korektę notowań zielonego na szerokim rynku, to euro może na dłużej pozostawać słabe.

Inwestorzy wolą trzymać uważanego za bezpieczne schronienie dolara niż euro, bo obawiają się, że gospodarki na Starym Kontynencie mocno odczują zawirowania na rynku energetycznym, co grozi recesją. Do tego łatwiej uwierzyć w zapowiedzi o zdecydowanej walce z inflacją w USA niż w strefie euro. Jeszcze ciekawiej z inflacją walczy się w Polsce, gdzie w ramach „tarcz antyinflacyjnych" rząd dorzuca pieniądze kolejnym grupom. Od autorów tej nowatorskiej szkoły ekonomicznej lepszy jest już chyba tylko prezydent Turcji, który nakazał walkę z inflacją poprzez... obniżki stóp. A co!

Kolejny raz chwile grozy, patrząc na tablicę notowań, przeżyli więc w ubiegłym tygodniu frankowicze. Frank szwajcarski na stałe zagościł nad poziomem 4,8 zł, a w ostatnich dniach zbliżył się mocno do bariery 5 zł. Wciąż bardzo drogie są również pozostałe waluty, takie jak euro (nadal powyżej poziomu 4,7 zł) oraz dolar (który znów zbliża się do odnotowanych w lipcu obecnego roku najwyższych poziomów w historii). Wysokie ceny walut podwyższają inflację nad Wisłą.

Niestety, dopóki rząd nie zmieni polityki gospodarczej, dopóty długotrwałej poprawy raczej nie będzie. Tymczasem rząd na razie planuje dodatkowo zwiększać zadłużenie kraju. Oczywiście po wyborach ogłosi się już, jaki jest prawdziwy stan finansów publicznych. Za ile wtedy będzie złoty? ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

Zrobieni

Piotr Włoczyk

Nie jesteś kobietą i, co gorsza, masz białą skórę? Możesz być nawet najbardziej fenomenalnym pilotem, ale na razie nie będziesz latał myśliwcami. Największe armie NATO coraz więcej uwagi poświęcają dbaniu o „różnorodność", co może mieć bardzo niedobre konsekwencje dla naszego wspólnego bezpieczeństwa

Żadnych białych mężczyzn, na razie szukamy jedynie kobiet i przedstawicieli mniejszości etnicznych – tak w skrócie miało wyglądać zarządzenie, które szefostwo Royal Air Force miało wydać działowi rekrutacji. Do informacji na temat tej politpoprawnej „pauzy" dotarła w połowie sierpnia Deborah Haynes, dziennikarka Sky News zajmująca się obronnością. Aferę od razu podchwyciły inne brytyjskie media, a także politycy, którzy – choć sami mają często bardzo progresywne poglądy

eprasa.pl 93f7da71ef

FOT. MOD CROWN COPYRIGHT/GETTY IMAGES

na biało

na tematy społeczne – uznali jednak, że taki ruch ze strony słynnego RAF to nic innego, jak obniżanie zdolności obronnych Wielkiej Brytanii.

Jak ustaliła Haynes, wysokiej rangi oficer odpowiedzialna za rekrutację nowych lotników podała się „w ostatnich dniach" do dymisji. Ta niewymieniona z imienia i nazwiska kobieta miała właśnie w ten sposób zaprotestować przeciw – choćby tymczasowemu – osłabianiu zdolności RAF.

Tymczasem źródła w ministerstwie obrony, na które powołuje się stacja, twierdzą, że kierownictwo sił powietrznych stara się jak najszybciej dobić do limitów, które RAF ustalił na 2030 r. O ile bowiem samo ministerstwo postanowiło wyznaczyć wszystkim gałęziom sił zbrojnych zatrudnienie minimum 30 proc. kobiet (obecnie odsetek ten wynosi ok. 12 proc.), o tyle kierownictwo lotnictwa wojskowego postanowiło przebić ten cel i do końca obecnej dekady mieć w swoich szeregach co najmniej 40 proc. pań. Z kolei z mniejszości etnicznych ma się wywodzić co najmniej co piąty rekrut RAF.

Według anonimowych rozmówców Haynes z departamentu obrony szef RAF, sir Michael Wigston, zamiast dbać o jak najwyższe zdolności bojowe lotnictwa w czasie wyjątkowo dużych napięć na świecie, skupia się przede wszystkim na wprowadzaniu różnorodności w szeregi lotników.

„Naprawdę jesteśmy za różnorodnością i dobrze byłoby widzieć więcej przedstawicieli mniejszości w naszych siłach zbrojnych, ale ten poziom ambicji, by stawiać takie cele odnośnie

eprasa.pl 93f7da71ef

do pochodzenia etnicznego… To jest kompletne szaleństwo" – powiedział Sky News rozmówca z departamentu obrony.

„KOMPLETNY NONSENS"

Wigston, odkąd w 2019 r. stanął na czele lotnictwa, ma wykazywać się rewolucyjnym wręcz zapałem do zmieniania podległej mu instytucji. Jednym z wielu przykładów tej gorliwości może być odgórne odejście w RAF-owskiej nomenklaturze od nazywania lotników „airman" na rzecz neutralnego słowa „aviator". Zresztą przyjęta przez kierownictwo sił powietrznych specjalna Dyrektywa na rzecz równości i inkluzywności przewiduje, że skład osobowy RAF powinien być wzbogacany nie tylko pod kątem płci i pochodzenia etnicznego, lecz także m.in. wyznawanej religii, posiadanego stopnia niepełnosprawności, a nawet stanu cywilnego (z uwzględnieniem osób w związkach partnerskich) i... „pochodzenia socjoekonomicznego". Oczywiście na szczycie priorytetów jest też wzbogacenie RAF o jak największą liczbę przedstawicieli środowiska LGBT. Nad tym procesem czuwa specjalnie powołana organizacja RAF LGBT+ Freedom Network.

Nie od dziś wiadomo, że adm. Antony Radakin, głównodowodzący brytyjskimi siłami zbrojnymi, jest zwolennikiem gruntownego przemodelowania wojska pod względem społecznym. „Tu nie chodzi o wokeizm. Tu chodzi o obawę. Obawę o posiadanie w swoich szeregach zbyt małej liczby kobiet. Obawę o nierepreze-ntowanie zróżnicowania etnicznego i religijnego, które obecne jest w naszym narodzie" – oznajmił adm. Radakin w grudniu zeszłego roku.

Rzecznik RAF zaprzeczał wprawdzie stanowczo informacjom Sky News na temat wstrzymania rekrutacji białych mężczyzn, ale podkreślił: „Tak samo jak Royal Navy czy British Army robimy wszystko, co w naszej mocy, by zachęcać do wstępowania ludzi z grup niedostatecznie reprezentowanych, dzięki czemu nasza drużyna jest odpowiednio zróżnicowana". Rzecznik RAF odmówił jednak komentarza w sprawie dymisji oficer odpowiedzialnej za nabór lotników.

A jednak informacje płynące z mediów na temat wstrzymania rekrutacji białych lotników okazały się dla wielu czołowych brytyjskich polityków na tyle wiarygodne, że postanowili zabrać w tej sprawie zdecydowany głos.

„Jedyną rzeczą, która powinna mieć znaczenie w procesie rekrutacji, są twoje umiejętności, a nie twoja płeć czy kolor twojej skóry" – powiedział Rishi Sunak, który walczy o fotel premiera Wielkiej Brytanii i sam jest przedstawicielem mniejszości etnicznej. I dodał: „To, że ministerstwo obrony pozwala, by bezpieczeństwo Wielkiej Brytanii zostało potencjalnie osłabione przez dążenie do osiągnięcia tzw. różnorodności, jest nie tylko godne potępienia. To jest po prostu niebezpieczne".

Pułkownik Richard Kemp, były dowódca British Army z Afganistanu, stawia gorzką diagnozę: „Różnorodność to najważniejszy temat, który zajmuje obecnie wysokich dowódców naszych sił zbrojnych. To może uderzać w nasze bezpieczeństwo narodowe"

Sajid Javid, drugi ze znanych ministrów w gabinecie Borisa Johnsona, nazwał z kolei całą sprawę „kompletnym nonsensem". „Żadna organizacja, czy to RAF, czy jakaś inna publiczna bądź prywatna instytucja, nie powinna prowadzić naboru na podstawie czyjejś rasy" – powiedział Javid.

Pułkownik Richard Kemp, były dowódca British Army z Afganistanu, który dziś pełni funkcję eksperta ds. bezpieczeństwa w think tanku Royal United Services Institute, stawia gorzką diagnozę sytuacji w brytyjskim wojsku. „Różnorodność to najważniejszy temat, który zajmuje obecnie wysokich dowódców naszych sił zbrojnych. Zostali oni obezwładnieni przez poprawność polityczną i gotowość do walki przestała być dla nich priorytetem. To z kolei może uderzać w nasze bezpieczeństwo narodowe" – mówi płk Kemp. I podkreśla: „Jeżeli rozejdzie się wieść, że biali mężczyźni mają mniejsze szanse w procesie rekrutacyjnym, to będzie miało to wpływ na to, kto zgłasza się do sił zbrojnych...".

W USA NIE LEPIEJ

O tym, że amerykańskie siły zbrojne również zmagają się z „różnorodnościowym" zagrożeniem, przekonuje historia ppłk. Matthew Lohmeiera, który rok temu został wyrzucony z Sił Kosmicznych Stanów Zjednoczonych (jeden z sześciu rodzajów Sił Zbrojnych USA). Lohmeier naraził się przełożonym w Departamencie Obrony swoimi badaniami na temat przenikania neomarksistowskiej myśli w szeregi sił zbrojnych USA. Całą swoją wiedzę na ten temat emerytowany już dziś oficer zebrał w wydanej rok temu książce „Irresistible Revolution. Marxism's Goal of Conquest & the Unmaking of the American Military" („Zniewalająca rewolucja. Marksistowski plan podboju i rozbrojenia amerykańskich sił zbrojnych").

W swojej książce Lohmeier opisuje m.in. zmuszanie żołnierzy do zapoznawania się z ulotkami produkowanymi przez skrajnie lewicowych aktywistów, w których Ameryka przedstawiana jest jako kraj, który jeszcze dziś masowo dyskryminuje przeróżne mniejszości. Autor „Zniewalającej rewolucji" podkreśla jednak, że gdy w 2020 r. płonęły całe kwartały amerykańskich miast, nikt nie organizował w wojsku spotkań na temat ekstremizmu spod znaku Black Lives Matter. Przy czym Lohmeier jasno mówi, że proces przenikania do wojska skrajnie lewicowej, neomarksistowskiej, propagandy wcale nie rozpoczął się wraz z pojawieniem się w Białym Domu Joe Bidena. Również za czasów Donalda Trumpa wojsko było „infiltrowane" – jak nazywa to Lohmeier – przez sympatyków szkoły Marksa.

– Celem dla marksizmu nie jest samo wojsko. Jego celem jest cywilizacja zachodnia, kapitalizm, silne rodziny. Marksizm jest niezwykle efektywny w budowaniu narracji o uciskanych i uciskających. W istocie jest to zaszczepianie mentalności ofiar. Każdy musi wiedzieć, czym jest krytyczna teoria rasy, jak głęboko jej korzenie sięgają do marksizmu. Sprawia ona, że rasę traktujemy jak soczewkę, przez którą patrzymy na świat. Rasa używana jest jako broń, by siać podział, by ludzie rzucali się sobie do gardeł – mówił w jednym z wywiadów ppłk Lohmeier. – Nie będę tolerował żadnego rodzaju dyskryminacji w związku z wyznawanymi poglądami politycznymi, a tymczasem w naszej bazie wojskowej wysyłano każdemu żołnierzowi film, który mieliśmy obejrzeć. Usłyszeliśmy w nim, że nasz kraj jest zły, że został założony w 1619 r. [to wtedy przybył do Ameryki pierwszy statek z niewolnikami – przyp. red.], a nie w 1776 r. Wynikało z niego, że biali są z natury rzeczy źli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

Nagrody Wartości i Wrażliwości

REPUBLIKA

Mamy zaszczyt zaprosić

na wieczór wręczenia wyróżnień wyjątkowych postaw, osób i idei „Wartości i Wrażliwości" oraz Nagród Telewizji Republika.

02.09.2022

19:00

Transmisja na żywo w Telewizji Republika

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Patronat honorowy:

PATRONAT HONOROWY
SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Marszałek Sejmu Elżbieta Witek

Honorowy patronat Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego

Minister Rodziny i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO AKTYWÓW PAŃSTWOWYCH

eprasa.pl 93f7da71ef

Węgierski papież?

FOT. ALESSANDRO BIANCHI/REUTERS/FORUM

Tomasz Rowiński

Czy po pontyfikacie Franciszka Kościół skazany jest na jakiegoś papieża, którego dziś moglibyśmy hipotetycznie określić mianem Franciszka II? Czy kard. Péter Erdő, który stara się nie wpadać w ideologiczne koleiny, mógłby zebrać poparcie nie tylko przeciwników rewolucji w Kościele, lecz także tych, którzy uważają, że Kościół potrzebuje okresu doktrynalnej i instytucjonalnej stabilizacji?

Domysły dotyczące tego, kto może być następnym biskupem Rzymu, przeważnie przeprowadzane są w kluczu, który można wypreparować z kardynalskich nominacji mających miejsce za pontyfikatu papieża Franciszka. Wskazuje się, że nominaci obecnego papieża to przeważnie ludzie o podobnym oglądzie spraw w Kościele. Rzeczywiście, mamy do czynienia z gronem takich duchownych. Jeśli dodamy do tego spory krąg kardynałów bez wielkiego znaczenia „politycznego" w Kościele, wybranych spośród biskupów rozdrobnionych włoskich diecezji czy z maleńkich i w sumie egzotycznych wspólnot katolickich, jak Szwecja czy Wyspy Tonga, to trudno oczekiwać istnienia silnej opozycji wobec ludzi Franciszka w kolegium kardynalskim.

To zresztą nie koniec problemów. Bo przecież w kardynalskim gremium mamy też np. pięciu kardynałów ze Stanów Zjednoczonych, którzy swoje kariery zawdzięczają temu, że obracali się w zasięgu wpływów niesławnego ekskardynała Theodore'a McCarricka. Zupełnie słuszne jest pytanie, czy ludzie związani z tym skompromitowanym przestępcą seksualnym w sytuacji, gdy odpowiedzialność za wieloletnie trwanie jego kariery na najwyższych szczeblach kościelnej władzy nie została wyjaśniona, na pewno nie będą podlegać podczas konklawe różnego rodzaju pozamerytorycznym wpływom. Cupich, Tobin, Farrell, Gregory i McElroy – nazwiska tych pięciu kardynałów papieża Franciszka, bliskich w przeszłości McCarrickowi, warto zapamiętać. Zresztą cała piątka to duchowni o liberalnym czy – to zdecydowanie bardziej adekwatne określenie – relatywistycznym podejściu do katolickiego nauczania. Oni sami zatem stanowią „partię", która może być zainteresowana wewnętrznym zmiękczaniem zasad katolickiej formy życia.

PRZELICYTOWAĆ FRANCISZKA

Czy zatem już na pewno Kościół jest skazany na jakiegoś papieża, którego dziś moglibyśmy hipotetycznie określić mianem Franciszka II? W założeniu o nieuchronności wyboru „drugiego Franciszka" czai się pewnego rodzaju dodatkowe założenie, o którym trzeba wspomnieć. Franciszek II mógłby się okazać znacznie większym radykałem relatywizmu niż papież Bergoglio. Jako kontynuator „ducha" obecnego pontyfikatu mógłby chcieć przelicytować wszystkie kontrowersje, które spowodował Franciszek. To założenie ma swoje mocne podstawy. Co znaczą rozmaite kościelne narracje opierające się na rzekomym „duchu", dobrze wiemy. Na przykład „duch" Soboru Watykańskiego miałby dawać legitymizację dla każdej, nawet najbardziej skrajnej i sprzecznej z Pismem Świętym i tradycją zmiany w Kościele. Przywiązanie do „ducha" oznacza zwykle tyle, że w ogóle można nie przejmować się „literą" czy też tymi treściami, które przychodzą do nas z przeszłości.

Paradoksalnie obawy, że właśnie w ten sposób potoczą się losy Kościoła po wyborze Franciszka II, mogą okazać się swoistym game changerem na nieubłaganie zbliżającym się konklawe. Powyżej zarysowane obawy – jak sądzę – są podzielane także przez wielu z tych kardynałów, którym dziś bliskie jest stanowisko Franciszka, ale którzy mogą uważać, że Kościołowi wcale nie jest potrzebne, by iść dalej w tym samym kierunku. Trzeba też zauważyć,

eprasa.pl 93f7da71ef

że specyficzny sposób zarządzania przez Franciszka Kościołem – charakteryzujący się często ręcznym sterowaniem, pomijaniem odpowiedzialności poszczególnych kościelnych instytucji – powoduje zarówno u duchownych, jak i świeckich poczucie niepewności i niestabilności. Może to doprowadzić do tego, że w kręgu kardynałów powstanie opcja, którą moglibyśmy określić mianem „partii na rzecz stabilizacji". „Partia" taka może zresztą zebrać głosy duchownych o bardzo rozmaitych poglądach w sprawie spraw szczegółowych, o które katolicy nieustannie się spierają.

Gdyby sytuacja ukształtowała się właśnie w taki sposób, oznaczać by to mogło, że poszukiwany będzie zupełnie inny kandydat niż wymieniani dziś relatywistyczni papabile, tacy jak kard. Matteo Zuppi czy Jean-Claude Hollerich. Ten drugi – podpierając się quasi-naukowymi argumentami – zupełnie wprost kwestionuje moralne nauczanie katolickie. Ten pierwszy, związany ze wspólnotą Sant'Egidio i prof. Riccardim, mógłby jeszcze bardziej niż ma to dziś miejsce upolitycznić wewnątrzkościelne podejście do doktryny. Warto przypomnieć, że prof. Riccardi swego czasu wzywał do oczyszczenia Kurii Rzymskiej z ludzi Benedykta XVI jako tych, którzy stoją na przeszkodzie reform obecnego papieża. Wspomniany demontaż nauczania etycznego Kościoła to bowiem tylko element szerokiego programu wewnętrznej sekularyzacji życia katolickiego, który proponują relatywiści. To swego rodzaju powrót do lat 70. XX w. razem z ich niechęcią do tradycyjnej duchowości, do życia sakramentalnego, szczególnie spowiedzi, czy wreszcie do tradycyjnej liturgii katolickiej, która jest obecnie przedmiotem stałych ataków ze strony Franciszka i ludzi uważających się za jego drużynę.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego kalkulacje Franciszka, polegające na wybieraniu kardynałów „podobnych sobie", mogą spalić na panewce. Realistycznie trzeba założyć pewien, może nawet dość znaczny, poziom oportunizmu wśród kardynałów, którzy dziś przedstawiają się jako „franciszkowi", ale po śmierci papieża zaczną rozglądać się za innymi punktami odniesienia, a może nawet będą skłonni do pewnej samodzielności.

TRADYCJONALIŚCI BEZ SZANS?

Niezależnie od dynamiki zmian w kolegium kardynalskim trudno sobie wyobrazić, że realne szanse na konklawe będą mieli tradycjonaliści pokroju Raymonda Burke'a, który musiałby się zmierzyć ze sprzeciwem radykałów skrzydła relatywistycznego, w tym nawet swoich – wspomnianych już – amerykańskich kolegów. Podobnie sprawa ma się z kard. Robertem Sarahem, którego wybór stanowi marzenie wielu katolików mających nadzieję na pojawianie się papieża rzeczywiście będącego autorytetem duchowym. Sarah mógłby się stać Benedyktem XVII zarówno ze względu na swoje przywiązanie do tradycyjnej duchowości benedyktyńskiej – często pojawiał się w ostatnich latach w opactwie Fontgombault – jak i z tego prostego względu, że byłby prawdopodobnie kontynuatorem linii – i w teologii, i liturgii – papieża Ratzingera.

Często wskazuje się, że to pochodzący z Filipin kard. Luis Antonio Tagle jest wskazywany przez papieża Franciszka jako następca. Wiadomo jednak, że zdanie odchodzącego – umierającego czy też rezygnującego – papieża nic już tak naprawdę nie znaczy. Tagle wydaje się dziś raczej liberalnym człowiekiem Franciszka, ale w rzeczywistości może okazać się raczej skłonnym do centryzmu „wojtylianinem", który nie uznałby za właściwe, by Kościół pod jego rządami zmierzał w kierunku, o którym marzą radykałowie. Przemawia za nim też wzrost demograficznego znaczenia katolicyzmu azjatyckiego. Czy ostatecznie taki argument będzie miał znaczenie podczas konklawe? Można mieć poważne i uzasadnione wątpliwości.

ARCYBISKUP Z BUDAPESZTU

W kontekście przyszłych zmian na Stolicy Piotrowej warto jednak zwrócić uwagę na inną jeszcze postać, czyli kard. Pétera Erdő. Budapeszteński arcybiskup, choć niewątpliwie jest dziś uznawany za tradycjonalistę – inna sprawa, że pojęcie to bardzo rozszerzyło się w czasach pontyfikatu Franciszka – to jednocześnie, jak można przeczytać, cieszy się znacznym szacunkiem także w gronie liberalnego duchowieństwa wyższego. Erdő dał się zapamiętać jako postać stanowcza. Gdy był relatorem generalnym III Nadzwyczajnego Zgromadzenia Ogólnego Synodu Biskupów, publicznie ujawnił podczas konferencji prasowej – nie obawiając się zakłopotania kolegi – że to abp Bruno Forte z synodalnego sekretariatu dopisywał do synodalnego relatio prohomoseksualne ustępy pomimo tego, że w debacie pomiędzy biskupami wątek ten się nie pojawiał.

Erdő wypowiadał się także na tematy polityczne. W roku 2015 dawał do zrozumienia, że Europa ma prawo bronić się przed masową migracją, ponieważ zgoda na ten proces w praktyce oznaczałaby legalizację handlu ludźmi. Kardynał w ten sposób odnosił się do procederu płatnego przemytu, który stał za falą migracji ludności z Afryki do Europy. Gdy Franciszek namawiał Europejczyków do przyjmowania przybyszów, kard. Erdő ripostował, mówiąc, że papież nie zna realiów. Dystansował się jednocześnie przeciwko zbytnim retorycznym uproszczeniom polityki Viktora Orbána, mówiąc, że nie powinno się antagonizować politycznie chrześcijan i muzułmanów. Wobec wezwań węgierskiego premiera do ochrony chrześcijańskiej Europy przed muzułmańską migracyjną inwazją w wywiadzie dla valaszonline.hu pytał, czy aby na pewno Stary Kontynent można jeszcze nazywać chrześcijańskim.

Być może Péter Erdő – który wyraźnie stara się nie wpadać w ideologiczne koleiny, ale szuka katolickiej perspektywy także wobec spraw publicznych – mógłby zebrać poparcie nie tylko przeciwników rewolucji w Kościele, lecz także tych, którzy uważają, że Kościół potrzebuje – po dynamicznych latach Franciszka – okresu doktrynalnej i instytucjonalnej stabilizacji. Nawet jeśli w przyszłości temat zmian miałby powrócić. Kandydatura Erdő może być przez zwolenników takiego stanowiska rozpatrywana pragmatycznie. Tak zwany konserwatysta może być też uznany za właściwe narzędzie do ostudzenia nabrzmiałych w Kościele emocji, a to jest konieczne, by mogło dojść do kolejnej fazy rewolucji.

Szeroko rozumiani tradycjonaliści mogą zaś mieć nadzieję, że stanowczość Erdő pozwoli przywrócić w Kościele wojtyliańsko-ratzingerowskie porządki zarówno jeśli chodzi o nauczanie moralnej, jak i liturgię, o którą toczy się od lata 2021 r. nowa wojna. Węgier w tym roku kończy 70 lat i można sądzić, że z perspektywy kościelnej polityki wchodzi w idealny wiek, by zostać biskupem Rzymu. Kardynałowie wiedzą, że gdyby coś poszło „nie tak", nie będzie im groził trwający kilkadziesiąt lat pontyfikat. Choć to argument głównie psychologiczny, to warto brać go pod uwagę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

FOT. ADOBE STOCK

Gazowa zapaść?

Jakub Wozinski

Decyzja zarządu Grupy Azoty o wstrzymaniu produkcji m.in. nawozów azotowych to niestety zaledwie przedsmak problemów, z którymi będzie się musiała mierzyć cała polska gospodarka

Mimo że okres szczytowego zapotrzebowania na gaz ziemny w Polsce przypada zawsze na okres zimowy, już teraz dają o sobie znać pierwsze efekty niedoborów i wysokich cen surowca. Opinia publiczna z pewnością spodziewała się wielu perturbacji, ale chyba mało kto zakładał, że pojawią się one już w sierpniu. Zaledwie dwa tygodnie po pierwszym komunikacie o wstrzymaniu do odwołania produkcji melaminy (służącej m.in. do produkcji żywic i laminatów) Grupa Azoty obwieściła, że z powodu wysokich cen puławskie zakłady wstrzymują pracę instalacji do produkcji nawozów azotowych, kaprolaktamu oraz poliamidu, a także ograniczają produkcję amoniaku do zaledwie 10 proc. zwykłych możliwości. Z produkcji nawozów azotowych do czasu ustabilizowania się warunków makroekonomicznych zrezygnowała także należąca do PKN Orlen włocławska spółka Anwil.

Tłumacząc się ze swoich decyzji, zarządy obu spółek powołały się na horrendalnie wysokie ceny gazu ziemnego, które faktycznie osiągają obecnie na europejskich rynkach rekordowe wartości. Po niedawnej zapowiedzi Gazpromu, że zamknie na kilka dni gazociąg Nord Stream 1 i przywróci jego pracę jedynie w ograniczonym zakresie, wręcz nie mogło być inaczej.

Wyłączenie całych obszarów produkcji przez Grupę Azoty i Anwil to sytuacja bez precedensu, która z pewnością wpłynie na jeszcze większy wzrost cen żywności. Analogiczne decyzje podjęli w ostatnich dniach producenci nawozów niemal w całej Europie (m.in. w Niemczech i Holandii). Minister rolnictwa Henryk Kowalczyk uspokajał od razu, że w kraju są odpowiednie zapasy nawozów dla rolnictwa – nawet wyższe niż w tym samym okresie ubiegłego roku, ale rolnicy w całym kraju i tak panicznie wykupują wszelkie dostępne zasoby. Ceny w ostatnich dniach znów wyraźnie wzrosły, nawet o 400 zł za tonę. Tym samym obietnice rządu i NBP, że fala wysokiej inflacji zaczyna już opadać, należy włożyć między bajki.

DROGI RATUNEK ZNAD FIORDÓW

W kwietniu minister klimatu i środowiska Anna Moskwa deklarowała, że magazyny są zapełnione w 80 proc., miesiąc później – już w 90 proc., aby w drugim miesiącu wakacji oznajmić, że są już całkowicie pełne. Przekierowanie uwagi na zapełnienie magazynów zręcznie odwraca uwagę od tego, że ich pojemność to zaledwie nieco

eprasa.pl 93f7da71ef

ponad 3 mld m sześc., natomiast roczne zużycie surowca w całym kraju w obecnym roku szacowane jest na 18 mld m sześc. Innymi słowy, nawet największa zapobiegliwość w zakresie budowania rezerw nie jest w stanie zmienić tego, że jako państwo jesteśmy skazani na stałe dokupywanie gazu po coraz mniej korzystnych cenach.

Wielką zasługą „dobrej zmiany" jest to, że zdołała doprowadzić do finalizacji gazociąg Baltic Pipe, gdyż bez niego znajdowalibyśmy się dziś w niezwykle dramatycznej sytuacji. Samo uzyskanie dostępu do norweskich złóż gazu nie rozwiązuje jednak problemu dostaw, gdyż ok. 115 mld m sześc. wydobywanego rocznie nad Morzem Norweskim gazu staje się właśnie przedmiotem zawziętej walki wielu europejskich państw, w tym oczywiście Niemiec, które mogą sprowadzać z tego kierunku nawet 60 mld m sześc. Kanclerz Olaf Scholz ogłosił niedawno, że wynegocjował z Norwegami zwiększenie wydobycia błękitnego paliwa specjalnie dla Niemiec, co raczej nie wróży Polsce niczego dobrego.

Nie dziwi więc to, że wobec tak wielu chętnych na gaz znad fiordów Norwedzy żądają coraz wyższych kwot. Jeszcze w marcu ceny były prawie trzykrotnie niższe niż obecnie, a wedle wszelkich znaków na niebie w najbliższych miesiącach będą tylko rosnąć. Dla Polski oznacza to konieczność wyłożenia niebotycznych sum pieniędzy, których w budżecie coraz bardziej ubywa. Negocjacje ze stroną norweską ciągną się tak naprawdę od kilku lat i nadal nie widać ich końca. W maju zakontraktowano 4,5 mld m sześc. od stycznia 2023 r., ale to zaledwie nieco mniej niż połowa mocy przesyłowych. Za wypełnienie pozostałej części przyjdzie zapłacić bardzo wysoką cenę.

I właśnie czynnik finansowy zdaje się odgrywać w całej gazowej układance szczególnie istotną rolę. Zakładając nawet, że wdrażając odpowiednie procedury oszczędnościowe, uda się ograniczyć zapotrzebowanie na gaz (co udało się już w pierwszym półroczu, gdy zużycie gazu spadło o 20 proc. w porównaniu z analogicznym okresem poprzedniego roku), ogromnym wyzwaniem stanie się koszt jego zakupu. Rząd już od dłuższego czasu dosypuje pieniądze do zadłużonego PGNIG (m.in. ponad 5 mld zł jako rekompensatę za zamrożenie taryfowych cen gazu), które na najdroższe w historii zakupy gazu będzie musiało wydać co najmniej 30 mld zł. Nawet nadchodząca fuzja z Orlenem nie zapobiegnie tym samym konieczności sięgnięcia po pieniądze podatnika w jeszcze większym niż do tej pory zakresie.

RZĄD WSZECHMOGĄCY

Rząd na razie pręży muskuły i stara się robić wrażenie, że będzie w stanie sfinansować dosłownie wszystko: dopłaty do węgla, pelletu, oleju opałowego, zasiłki dla Ukraińców, trzynastki i czternastki, dopłaty dla poszkodowanych katastrofą ekologiczną na Odrze, tarczę antyinflacyjną, wakacje kredytowe, dopłaty paliwowe, dopłaty do zakupu aut elektrycznych, dopłaty do zakupu cyfrowego dekodera, Rodzinny Kapitał Opiekuńczy czy też dopłaty na montaż fotowoltaiki. Monstrualnych cen gazu i jego coraz bardziej realnych niedoborów nie da się jednak zakryć kolejną „tarczą", gdyż wcześniej czy później wpłyną na kondycję całej gospodarki i stan finansów publicznych. Mając na uwadze skalę związanych z tym wyzwań finansowych, rządzący powinni już dawno temu wdrożyć szeroko zakrojony program oszczędnościowy, lecz zamiast tego świadomie wybrali iluzję niekończącego się festiwalu wydatków.

Bez względu na wszelkie zapewnienia udzielane przez premiera, minister klimatu czy też władze PGNiG wstrzymanie produkcji nawozów przez Grupę Azoty mówi samo za siebie. Kapitulacja wobec wysokich cen gazu dotyczy wszak spółki przynoszącej od lat kilkusetmilionowe zyski rocznie. Jeśli nawet ona nie radzi sobie z obecnymi cenami gazu, to jak mają sobie z nimi poradzić pozostali? Aby uratować zbiory w kolejnych latach, produkcję trzeba będzie i tak wznowić pomimo strat. Na ratunek będzie znów musiało przyjść państwo. Ale czy po trwającym wciąż festiwalu nieroztropnej hojności będzie miało jeszcze wolne środki? Czy staczająca się coraz szybciej w recesję polska gospodarka wygeneruje odpowiednie przychody, aby podtrzymać sen rządzących o wręcz nieograniczonych możliwościach wydatkowania?

WYŚCIG TRWA

Obecnie trwa wielki wyścig z czasem i wciąż za wcześnie, aby powiedzieć, czy Polska zdoła zabezpieczyć sobie odpowiednie dostawy gazu. Najbardziej pewne są obecnie zasoby własne pochodzące z wydobycia i magazynów, import LNG przez gazoport w Świnoujściu oraz dostawy z Litwy poprzez terminal w Kłajpedzie. Dużo bardziej niepewne są w tej chwili wielkość kontraktu z Norwegami oraz import gazociągami z Niemiec, Czech i ze Słowacji, gdyż w razie zaostrzenia się kryzysu kraje te z pewnością będą ratowały przede wszystkim same siebie. Oprócz tego rząd stara się jeszcze pozyskać gaz z innych kierunków, ale wciąż brak w tym temacie jakichkolwiek konkretów.

Zgodnie z obowiązującym w Unii Europejskiej prawem przed ograniczeniami w dostawach gazu chronione są w pierwszej kolejności szkoły, przedszkola, szpitale czy też gospodarstwa domowe. W domach zużywamy rocznie ok. 4,4 mld m sześc., choć – jak pokazało ostatnie półrocze – Polacy są w stanie zredukować zapotrzebowanie o nawet 20 proc. Czysto teoretycznie po powrocie z pracy do domu nie powinniśmy marznąć, ale pewności, czy wszystkie zakłady pracy będą pracować bez zakłóceń, nie mamy. Zakładając, że roczne zużycie błękitnego paliwa w Polsce spadnie w obecnym roku z 20 do 18 mld m sześc., i tak bardzo prawdopodobne wydaje się to, że grozi nam pewien niedobór. Nawet brak 1 mld m sześc. może doprowadzić setki firm do bankructwa lub narazić je na ogromne straty.

Jeśli nawet znajdą się odpowiednie ilości gazu, to wciąż jednak zdecydowanie za wcześnie na otwieranie szampanów. Błękitne paliwo to surowiec, bez którego trudno sobie wyobrazić rozwój całej gospodarki, a w szczególności funkcjonowanie całych branż (m.in. chemicznej czy farmaceutycznej). Kolejny rok ze spadkiem zużycia gazu znajdzie wcześniej czy później odzwierciedlenie w poważnym ograniczeniu produkcji przemysłowej, która już teraz zaczyna wyraźnie spadać (a to właśnie ona walnie przyczyniała się do wzrostu gospodarczego w Polsce).

Polski problem z gazem nie ogranicza się jedynie do najbliższej zimy. Potrzebne są m.in. długofalowe działania na rzecz znalezienia nowych, większych źródeł dostaw oraz zwiększenia objętości magazynów. Stawka w grze jest dużo większa, niż się wszystkim wydaje, gdyż przy tak horrendalnie wysokich cenach energii i surowców grozi nam wielki exodus przemysłu do innych regionów świata oraz upadek wielu rodzimych branż. Większe obawy niż najbliższa zima budzą raczej nadchodzące lata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93f7da71ef

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto jest dziś szefem MF?

Czy ktoś potrafi wymienić – bez zaglądania do Google – imię i nazwisko obecnego polskiego ministra finansów? No dobrze, a może ktoś wie chociaż, czy obecny minister finansów jest mężczyzną czy kobietą?

Tak myślałem – niewielu z nas to wie. Może jeszcze, od biedy – jakimś cudem – ktoś wygrzebie z pamięci nazwisko poprzedniego ministra finansów Tadeusza Kościńskiego? Jeśli tak, to zapewne głównie dlatego, że to właśnie on zapłacił swym ministerialnym stołkiem za katastrofę Polskiego Ładu, mimo że podobno był jego całkowitym, zaprzysięgłym przeciwnikiem, ale oczywiście nikt, na czele z premierem Morawieckim, nic sobie z tego nie robił, bo kilka lat temu pozycja polskiego ministra finansów została sprowadzona do roli w zasadzie notariusza nakazów szefa rządu, firmującego z każdym rokiem coraz bardziej fikcyjne budżety państwa, z coraz większą masą wydatków wypchniętych poza kontrolę parlamentu. I tak już zostało.

A nie – jak w czasach, gdy ministrami finansów byli politycy i ekonomiści tej miary, co Leszek Balcerowicz, Jerzy Osiatyński, Grzegorz Kołodko, Marek Belka, Jarosław Bauc, Mirosław Gronicki, Zyta Gilowska, Jacek Rostowski czy – chyba ostatni z nich – Paweł Szałamacha, czyli prawdziwe osobowości i wybitni specjaliści w swoim fachu, którzy byli nieustępliwymi i twardymi oponentami, stojącymi na straży finansów publicznych państwa. Oponentami, z których głosem liczył się, bo musiał – bo nie miał innego wyjścia – każdy ówczesny premier. Ale więcej – to przecież głównie owi szefowie rządów sami dobierali sobie takich właśnie, silnych ministrów finansów, bo chcieli mieć wokół siebie fachowców, którzy nie pozwolą im wyprowadzić finansów Polski na manowce.

To, że dziś tak niewielu z nas zna imię i nazwisko obecnego ministra finansów, jest jedną z miar upadku tej instytucji; instytucji ministra finansów, a przy okazji całego Ministerstwa Finansów. I, co gorsza, jest też miarą upadku polskich finansów publicznych i zapowiedzią czekającej je katastrofy, z możliwym bankructwem na czele. W ostatnich latach przeszliśmy bowiem od ministrów finansów, których sprzyjające zdrowym finansom Polski motto mało zgrabnie, lecz za to celnie spuentował Jacek Rostowski tymi oto słowy: „Pieniędzy nie ma i nie będzie", do ministrów finansów, którzy działają zgodnie z dewizą: „Pieniądze dla wszystkich i na wszystko muszą się znaleźć, choćbyśmy mieli puścić Polskę z torbami".

A ja oczywiście do końca felietonu konsekwentnie nie wymienię imienia i nazwiska obecnego ministra finansów Polski, bo to po prostu nie ma większego znaczenia; bo ten minister, mimo że formalnie nadal jest ministrem finansów, i to konstytucyjnym ministrem finansów Rzeczypospolitej Polskiej, faktycznie jest dziś, z całym szacunkiem dla tej osoby, po prostu księgowym rządu. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Tornado już nadchodzi

Rząd w ramach, jak rozumiem, walki z inflacją stworzył właśnie kolejne instrumenty pomocowe, poszerzające zakres osób, do których trafią dodatki związane z wysokimi cenami energii. Ile kolejnych miliardów to będzie kosztować budżet – na razie nie wiadomo, ale to już nawet nie ma specjalnego znaczenia. Rząd co chwila wrzuca na rynek kolejne pieniądze bez pokrycia, tym samym bardzo skutecznie dbając, żeby inflacja nie spadła do akceptowalnego poziomu przez długie kolejne miesiące. Tu 10 mld, tam 25, tu 5, tam 15. Kto by to zliczył?

To nie są jakieś małe problemiki. To gigantyczne tornado finansowe, które już zaczyna przewracać polską gospodarkę

Oczywiście rządzący nic kompletnie nie robią w sprawie przedsiębiorców, którzy ochrony taryfowej ani żadnych dodatków nie mają, dostają natomiast kolejne informacje o podwyżkach cen prądu i gazu, właściwie już standardowo oznaczające skok o kilkaset procent rok do roku. I nie chodzi o to, żeby im także rozdawać pieniądze, ale np. o to, żeby przyznać, że Polski Ład był jedną wielką klęską, i zdjąć z nich obciążenia, które nałożył. Chociaż tyle.

O zaopatrzeniu Polski w gaz taktownie władza milczy. Narracja o pełnych magazynach i Baltic Pipe jakby nieco przygasła od momentu, gdy okazało się, że z zakontraktowaniem nowego gazociągu tak jakby nie wszystko zagrało. Tymczasem Grupa Azoty, a po niej włocławski Anwil wstrzymały produkcję nawozów, bo gaz do niej potrzebny jest za drogi. To nieuchronnie oznacza, że nawozy jeszcze bardziej podrożeją – choć i tak podrożały już horrendalnie w ciągu ostatnich miesięcy – a za tym pójdą ceny żywności.

To wszystko nie są jakieś tam pojedyncze problemiki. To gigantyczne tornado finansowo-gospodarcze, które już zaczyna przewracać polską gospodarkę. A dokładają się jeszcze klimatystyczne pomysły UE. Rząd tymczasem udaje, że ot, taki tam wietrzyk trochę tylko zawiał. Owszem, może trzasnęły drzwi balkonowe i szyba się zbiła, ale jeśli mocno zamkniemy oczy i zatkamy uszy, to już nie zobaczymy, że z chałupy naprzeciwko zerwało dach, a samochód spod domu uniosło 50 metrów w górę.

I kiedy już myślimy, że nic więcej nie może się zdarzyć, wjeżdża na białym koniu pan prezydent i uprzejmie pyta Kijów, czy moglibyśmy im jeszcze przekazać jakieś pieniądze. To już nie jest bal na „Titanicu". To coś znacznie gorszego. ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

WILDA CORNER

ceny od
8 499 zł/m²

WYKOŃCZONE MIESZKANIA GOTOWE DO ODBIORU

w Poznaniu

Grupa Inwest®

www.**wilda-corner.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 93f7da71ef

TEST „DO RZECZY": ROUTER FRITZ!BOX 6850 5G

Szybki transfer danych zarówno przy wykorzystaniu technologii 5G, jak i 4G/LTE, stosunkowo niskie opóźnienia, banalnie proste instalacja oraz konfiguracja, długi okres gwarancji, a także kilka przydatnych dodatków, jak możliwość obsługi urządzeń „inteligentnego domu" czy obsługa systemu MESH (czyli swego rodzaju repeatera na sterydach) – to największe zalety routera niemieckiej firmy AVM, który pod koniec sierpnia zadebiutował w Polsce.

Router FRITZ!Box 6850 5G to świetne rozwiązanie zwłaszcza dla tych, którzy pracują lub uczą się zdalnie, a także dla tych, którzy po pracy zamieniają zawodowe obowiązki na dalekie wirtualne misje w świecie sieciowych gier. Nie wszyscy mieszkają zaś w miejscu, w którym mogą tanio podłączyć się do sieci światłowodowej. Inni mają zaś w okolicy tylko jednego dostawcę monopolistę i wolą korzystać z usług operatorów komórkowych.

Na pierwszy rzut oka nowe urządzenie niemieckiego producenta nie wyróżnia się niczym wśród innych routerów sprzedawanych przez renomowaną firmę AVM. Biała obudowa z błyszczącego plastiku, zielone lampki LED oraz czerwona wstawka to znaki rozpoznawcze, które doskonale znają fani niemieckiego producenta.

Z naszych testów jednoznacznie wynika jednak, że szybkość transferu danych w FRITZ!Box 6850 5G jest wyraźnie wyższa niż w poprzednich routerach AVM. Maksymalna teoretyczna prędkość pobierania danych w 5G wynosi w przypadku tego modelu 1,3 Gbit/s i 600 Mbit/s podczas wysyłania danych. „5G" w nazwie nie jest więc w tym wypadku jedynie chwytem marketingowym, ale przekłada się bezpośrednio na komfort pracy (oczywiście w tych rejonach Polski, gdzie 5G jest już dostępne). Istnieje też możliwość podłączenia routera do tradycyjnego kabla i korzystania z 5G tylko na wypadek, gdyby coś się stało ze światłowodem. Sygnał przekazywany jest dalej do urządzeń mobilnych za pomocą dwuzakresowego wi-fi 5 (szkoda, że nie wi-fi 6) z maksymalną prędkością wynoszącą 1266 Mbit/s.

Oprócz tego router uzbrojony jest w zestaw czterech gigabitowych portów LAN i szybki port USB, co umożliwia podłączanie drukarek, skanerów, sieciowych dysków twardych etc. Zwłaszcza przydatny jest port USB, poprzez który można podłączyć również starsze drukarki (bez interfejsu WLAN/LAN).

Podobnie jak w przypadku innych modeli tego niemieckiego producenta najnowszy router ma też wbudowaną stację bazową DECT, dzięki której z routerem można zintegrować do sześciu telefonów bezprzewodowych. Nowy model pozwala także na korzystanie z aplikacji do obsługi urządzeń inteligentnego domu (np. inteligentnych żarówek, gniazdek etc.). Urządzenie ma też własną zaporę ogniową, umożliwia łatwe skonfigurowanie zasad kontroli rodzicielskiej, a także dostęp dla gości do domowej sieci wi-fi. Jest nawet port telefonii analogowej dla aparatu telefonicznego lub faksu. Naprawdę!

Wady? Z niezrozumiałych powodów niemiecki producent upiera się przy stosowaniu kart mini-SIM, czyli kart, które mają 2,5 cm długości, 1,5 cm szerokości i pamiętają czasy drugiej połowy lat 90. ubiegłego wieku. W teorii to nie kłopot, bo i tak nadal w takim kształcie otrzymuje się nową kartę od operatora (dopiero potem trzeba wyłamać/wyciąć formaty microSIM czy nanoSIM), ale jeśli chce się przełożyć kartę nanoSIM ze smartfona do nowego routera, to wszelkie próby skazane są na porażkę. W rzeczywistości testowany model ma jednak tylko jedną poważną wadę i jest nią... wysoka cena. Za „wszystkomający" model FRITZ!Box 6850 5G trzeba zapłacić 2599 zł. Niemcy dają na niego jednak aż pięć lat gwarancji. ©℗

Jacek Przybylski

ENERGIA ZE ŚWIATŁA

Adidas RPT-02 SOL to nowe sportowe słuchawki amerykańskiego producenta, które określane są przez marketingowców mianem „modelu samoładującego". Projektanci nowego gadżetu umieścili bowiem na pałąku słuchawek panel słoneczny Exeger Powerfoyle, który – według zapewnień producenta – jest w stanie czerpać energię ze światła (zarówno słonecznego, jak i ze sztucznych źródeł). Dzięki temu słuchawek można używać do 80 godzin bez konieczności szukania tradycyjnego gniazdka i ładowarki. Nowy model ma też certyfikat IPX4, co oznacza, że przetrwają delikatne zachlapanie, ale jeśli nagle zza słońca wyjdą burzowe chmury, to trzeba szybko chować gadżet do plecaka, bo silnej ulewy mogą one nie przeżyć. Cena: 999 zł.

INTELIGENTNY MOPOODKURZACZ

Jeszcze kilka lat temu automatyczne odkurzacze były uznawane za inteligentne, gdy potrafiły nie zgubić się w mieszkaniu lub w domu, poprawnie zidentyfikować, że akurat odkurzają dywan, i nie spaść ze schodów. Najnowszy model Deebot T10 Turbo chińskiej firmy Ecovacs poza wyżej wymienionymi umiejętnościami potrafi także zidentyfikować 18 rodzajów przeszkód, by móc swobodnie nawigować po pomieszczeniach pełnych kotów, misek, zabawek i ładowarek. Nowy model jest też wyposażony w dwa mopy oraz funkcję suszenia umytej podłogi gorącym powietrzem, aby zapobiec rozwojowi bakterii. Miłośników prywatnego Big Brothera ucieszy możliwość podglądania w czasie rzeczywistym obrazu z kamery odkurzacza. Urządzenie jest też wyposażone w aż trzy mikrofony, dzięki którym elektronicznej gosposi można swobodnie wydawać polecenia głosowe. Cena: 4499 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 93f7da71ef

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl 93f7da71ef

Zamki to moja pokuta

Z Markiem Gaworskim, autorem książek o dworach, pałacach i zamkach
rozmawia Radosław Wojtas

Pałac w Kamieńcu Ząbkowickim, numer jeden na liście ulubionych zamków, pałaców i dworów Marka Gaworskiego FOT. ADOBE STOCK

RADOSŁAW WOJTAS: Ściga się pan z Remigiuszem Mrozem?

MAREK GAWORSKI: W jakim wyścigu?

W liczbie pisanych rocznie książek.

(śmiech) Na szczęście nie jesteśmy dla siebie konkurencją. Ale mamy z Remigiuszem Mrozem coś wspólnego – obaj jesteśmy z ziemi opolskiej.

Kiedy usłyszałem od pana, że jest pan w trakcie pisania trzeciej w tym roku książki, to skojarzenie z Mrozem nasunęło mi się natychmiast. Pierwszą publikację wydał pan stosunkowo późno, bo w wieku 30 lat. Było to kilkanaście lat temu. Ile tomów ma pan teraz na koncie?

Szczerze – nie wiem. Na pewno ponad 60, ale dokładnej liczby nie pamiętam. Kiedy człowiek ma już na sumieniu tyle albumów, przewodników, monografii, to w pewnym momencie ta dokładna liczba przestaje mieć znaczenie.

Pisze pan głównie o zamkach i pałacach. Dlaczego? Miłość czy pragmatyzm? Serce czy rozum? Biznes czy pasja?

Miłość, serce, pasja... Zaszczepił to we mnie mój tato, który od pacholęcia obwoził mnie po najróżniejszych zabytkach. Ale możliwe, że te tysiące stron, zdjęć, przebytych kilometrów, wiele zarwanych nocy to też forma pokuty…

... pokuty? Pańskiej czy najbliższej rodziny, którą ciąga pan podczas wakacyjnych wyjazdów po tych wszystkich zamkach, pałacach, ruinach?

Objeżdżam zamki i pałace sam, więc wyłącznie mojej. Widzi pan – jeden z moich przodków podczas trzeciego powstania śląskiego brał udział w spaleniu dworu hrabiego Wolfganga zu Castell-Castell, nawiasem mówiąc – to dziś jeden z moich ulubionych hrabiów. I tak sobie myślę, że może skoro mój przodek niszczył, to ja odpokutowuję, starając się zachować pamięć o pałacach i zamkach w Polsce.

Lubię takie teorie. Lubię też zamkowe tajemnice i legendy. I myślę sobie, że – skoro już przywołaliśmy tu nazwisko popularnego powieściopisarza – niejeden polski zamek mógłby być inspiracją dla autora kryminałów, thrillerów czy horrorów. Który najbardziej?

Takich historii jest mnóstwo. W niemal każdym dworze czy pałacu, a co dopiero w zamku, działy się historie, które są gotowym materiałem na książkę z dreszczykiem czy mocny film. Jedną z takich opowieści są „krwawe walentynki", jak nazywa się koszmarne morderstwo popełnione w pałacu we Wleniu 14 lutego 1921 r. To tajemnicza historia śmierci dwóch sióstr. Jedna z hipotez mówi o tym, że kilkuletnia dziewczynka pod wpływem hipnozy zastrzeliła swoją siostrzyczkę, a później siebie. Zamieszany w to wszystko był hipnotyzer liczący na zagarnięcie fortuny.

Oczywiście pełne sensacyjnych historii są czasy drugiej wojny światowej. Nie każdy właściciel pałacu stał po właściwej stronie, niektórzy współpracowali z trzeciego Rzeszą, w tle są zagarnięcia dzieł sztuki i inne wydarzenia niczym z kart sensacyjnych książek. Niemal każdy pałac czy zamek skrywa historię będącą gotowym scenariuszem na film. Nie trzeba nawet specjalnie szukać.

A byłoby gdzie szukać... Ile jest w Polsce zamków, pałaców, dworów?

Kilka tysięcy. Dla przykładu: parę lat temu wydałem album pt. „1000 zamków, pałaców i dworów województwa dolnośląskiego". Mówimy tu o jednym

eprasa.pl 93f7da71ef

tylko województwie. W innej książce o zamkach i pałacach województwa śląskiego opisałem ponad 200 obiektów. W województwie opolskim jest ok. 300 wciąż istniejących zamków, pałaców i dworów, a musimy pamiętać, że są też obiekty zupełnie przebudowane, które z dawnego budynku mają tylko fundamenty. Niesamowitą liczbę pałaców ma województwo wielkopolskie. Sporo jest też w mazowieckim… Widziałem ich wiele, ale pewnie życia mi nie starczy, by obejrzeć je wszystkie.

Na offie mówił mi pan, że jest autorem wszystkich zdjęć w swoich książkach. Chce mi pan powiedzieć, że autor publikacji z gatunku „tysiąc zamków…" obfotografował je wszystkie? Bez żartów.

Oczywiście, że tak! To naturalnie są lata pracy. Czasem śmieję się, że nie odbiegam zanadto od stereotypu japońskiego turysty, który wpada, robi zdjęcia i wypada. Tym bardziej że do niedawna pracowałem zawodowo, zamkom i pałacom mogłem poświęcać jedynie weekendy. Nie wyobrażam sobie, by w moich książkach opisać jakikolwiek obiekt, który znam tylko z Internetu lub czyichś publikacji. Jeśli o czymś piszę, to muszę tam wcześniej być.

Przez wiele lat pracował pan jako przedstawiciel handlowy, co swoją drogą okazało się dobrym zajęciem dla przyszłego autora przewodników po polskich zamkach.

Tak, bo bardzo dużo jeździłem po regionie i po całej Polsce. Zawsze miałem nosa do zamków – jak wjeżdżałem do jakiegoś miasteczka lub wsi i był w nim ciekawy obiekt do zobaczenia, to jakoś podskórnie go wyczuwałem. No a wtedy oczywiście musiałem go zobaczyć! Ale długo nawet nie przypuszczałem, że mógłbym pisać książki.

A któregoś dnia obudził się pan i stwierdził, że jednak napisze tę pierwszą?

Trochę tak było. Urodziłem się w Bolesławcu, mieszkałem w Modłej, małej miejscowości na Dolnym Śląsku. Już jako chłopiec biegałem tam po miejscowym pałacu, niestety nie zawsze z dobrymi intencjami. Później przeprowadziliśmy się do Strzelec Opolskich, gdzie stoi duży zamek. Kiedy zacząłem na poważnie interesować się jego historią, szukałem publikacji o tym zamku. Ze zdziwieniem odkryłem, że w owym czasie – a mówimy tu o połowie pierwszej dekady lat dwutysięcznych – dostępna była tylko jedna poważna książka historyczna o naszym mieście, w dodatku wydana w głębokim PRL. I któregoś dnia rzeczywiście tak pomyślałem: „Nie ma książki o »moim« zamku? No to ją napiszę". I tak zrobiłem. Z dzisiejszego punktu widzenia ta książeczka licząca zaledwie kilkadziesiąt stron tekstu wydaje mi się bardzo niepełna i mało konkretna, ale jej drugie wydanie, które powstało po paru latach, liczyło już ok. 150 stron samego tekstu.

Dotarł pan do nowych źródeł?

Przed tą pierwszą książką mało kto traktował mnie poważnie. Lokalnie miałem „renomę" raczej kibicowską. Bardziej kojarzyłem się ze stadionem niż z pisaniem książek. Ale kiedy dopiąłem swego i ludzie mieli już moją książkę w rękach, to osoby, które wcześniej obdarowywały mnie najwyżej pobłażliwym uśmieszkiem, mówiły: „Trzeba było przyjść do mnie, ja bym ci pomógł". Także spadkobiercy zamku, o którym pisałem za pierwszym razem, potraktowali mnie z lekkim przymrużeniem oka i przekazali ledwie kilka dokumentów. Ale kiedy wróciłem tam po paru latach z informacją, że pracuję nad drugim wydaniem, to nagle przepastne szafy hrabiowskich archiwów stanęły przede mną otworem.

W pałacu w Dobrzycy mieści się dziś Muzeum Ziemiaństwa FOT. ADOBE STOCK

Od samego początku postawił pan na self publishing?

Pierwsze dwie książki wydałem z lokalnym wydawnictwem, ale później otworzyłem własne. Jestem autorem, wydawcą, dystrybutorem. Jedyne, czym się nie zajmuję w procesie produkcji moich książek, to druk. Mam pełną kontrolę i finansowo wychodzę na tym lepiej niż w wypadku współpracy z wydawnictwem. Choć ten model ma oczywiście swoje wady. Takich wydawców jak ja nie stać na współpracę z dużymi sieciówkami. Żeby trafić na ich półki, trzeba zainwestować duże pieniądze. Wolę więc pojechać do księgarni, punktu turystycznego, zamku, pałacu, hotelu czy biblioteki i samemu sprzedać. Porozmawiać, zobaczyć, jaki jest odzew.

Choć nie wszystkie książki wydaję sam, bo zdarza mi się współpracować z dużymi wydawnictwami. Dzięki temu niektóre moje tytuły są dostępne w największych książkowych sieciach. Ale to niewielka część tego, co piszę. Gdyby nie taki model, nie mógłbym wydać wielu książek o niszowych obiektach.

Tych z gatunku „daleko od szosy".

Tak, poza głównym turystycznym szlakiem jest mnóstwo mało znanych, ale wartych poznania obiektów. Czy słyszał pan o pałacach we Wleniu czy sąsiednich Łupkach? W Waplewie Wielkim na Pomorzu, Kopicach i Brzegu w województwie opolskim, Pławniowicach czy Tworkowie

Pałac w Kopicach jest w stanie ruiny, ale zdecydowanie wart jest zobaczenia FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 93f7da71ef

Pałac w Pławniowicach położony pomiędzy Strzelcami Opolskimi a Gliwicami FOT. ADOBE STOCK

na Śląsku lub Dobrzycy, Lewkowie, Posadowie w Wielkopolsce, Sterdyniu, Otwocku Wielkim albo Pasie na Mazowszu? Takie obiekty można wymieniać setkami.

Ma pan swój ulubiony pałac czy zamek?

Numerem jeden jest dla mnie pałac w Kamieńcu Ząbkowickim. Piękna, ogromna budowla zafascynowała mnie od samego początku. Także za sprawą fundatorki pałacu, Marianny Orańskiej, i jej poplątanych losów. Będąc córką króla Wilhelma I, jednego z pierwszych władców niderlandzkich, wybrała życie na wygnaniu. Wyszła za mąż za niemieckiego księcia Albrechta Pruskiego, którego w dzisiejszym języku moglibyśmy określić mianem gbura. Marianna zakochała się w nadzorcy stajni swojego męża. Wzięła rozwód z księciem i została wyklęta na pruskim dworze. Nie tylko zabroniono jej wstępu do pałacu w Kamieńcu, lecz także zakazano przebywania na terenie Prus dłużej niż przez dobę. A trzeba zaznaczyć, że była dobrą panią dla poddanych, fundatorką szpitali, szkół, dróg.

Bardzo ważny jest dla mnie zamek Karpniki, a to dlatego, że byłem świadkiem jego powstawania z popiołów. Pamiętam go z czasów, gdy był w kompletnej ruinie, a po latach byłem jednym z pierwszych gości w jego murach po gruntownej renowacji tego obiektu. Wielki zamek, noc, a my w nim z żoną sami. Tylko gdzieś w drugim końcu budynku właściciel, w recepcji śpiący portier... W takich momentach zrodzić się może niesłychana więź z obiektem.

Ważne są dla mnie zamek Czocha oraz pałac w Mosznej. Do tej listy dołączył ostatnio – bo zacząłem poznawać jego historię – pałac w Żyrowej na Opolszczyźnie. To za sprawą tego, że mam zamiłowanie do poplątanych historii i jeśli fundatorzy jakiegoś obiektu nie byli tacy do końca święci, to zabytek ten od razu wzbudza moje szczególne zainteresowanie.

Krzepiąca jest historia zamku Karpniki. Mam jednak wrażenie, że raczej odosobniona, że wiele zamków i pałaców, a dworków już zwłaszcza, popada w ruinę. Przygląda się im pan od lat. Jak wygląda kwestia ratowania tych zabytków?

Trudno generalizować, ale gdybym już musiał to robić, to powiedziałbym, że sytuacja się poprawia. W ostatnich latach zauważam wiele odbudowanych, odrestaurowanych obiektów i mam wrażenie, że wszystko zmierza ku lepszemu. I to nie tylko w najbogatszych rejonach Polski. W całym kraju widać tendencję wzrostową, jeśli chodzi o odbudowę zabytków. Inwestorzy i samorządy coraz mocniej zdają sobie sprawę z tego, że odbudowany dworek czy pałac może przyciągać turystów, może zarabiać dla swoich właścicieli i dawać zarabiać lokalnym mieszkańcom. Jeśli pieniędzy na odbudowę nie ma, to coraz częściej zabezpiecza się budowle – tyczy się to zwłaszcza zamków – w formie trwałej ruiny. Tak ratowane i udostępniane obiekty także mogą być magnesem na turystów.

Oczywiście mamy też wiele zabytków, które obróciły lub obracają się w ruinę. I niestety rękę do tego przykładają czasem sami konserwatorzy zabytków, gdy upierają się, że coś musi być odtworzone ze „złotej tkaniny" albo z marmuru z XVIII w. Bywa, że przez takie sztuczne pomysły inwestor nie może dokończyć renowacji pałacu czy zamku. Żeby było jasne – nie chodzi o to, by konserwator przymykał oko, bo obiekt musi zostać odtworzony do historycznego stanu, ale nierzadkie jest czepianie się nieistotnych szczegółików, które pod znakiem zapytania stawiają całą, idącą w dziesiątki milionów złotych, inwestycję.

Jak rozumiem, jest pan zwolennikiem przechodzenia takich obiektów w prywatne ręce i wykorzystywania ich w sposób komercyjny.

Jeżeli masz pieniądze i kupujesz coś, co kiedyś było pięknym pałacem, a dziś jest kompletną ruiną, to mało mnie obchodzi, czy zrobisz tam hotel, spa, restaurację czy w nim zamieszkasz. Jeśli przywrócisz go do stanu z czasów świetności, to urządzaj w nim, co chcesz. Tylko może zostaw choćby dziurkę w płocie, abyśmy mogli go podziwiać…

Podglądanie przez dziurkę w płocie – to musi być prawdziwa miłość. To już całkiem serio i zupełnie na koniec: ta miłość to tylko do polskich zamków i pałaców?

Ależ nie tylko! Jestem zatracony w zamkach i pałacach czeskich. Boli mnie, że w polskich zamkach nie zachowały się dawne wystrój i wyposażenie. Ma to ścisły związek z naszą historią – kiedy my stawialiśmy się najeźdźcom, Czesi postępowali inaczej – rzec by można, po tchórzowsku – ale dzięki temu stan zachowania ich zabytków jest niewiarygodny. Wystarczy przejechać kilka kilometrów za przejście graniczne w Kudowie, zajechać do zamku w Náchodzie, by przenieść się w przeszłość o 500 lat. W czeskich zamkach i pałacach ściany pokrywają te same tapety, a w oknach wiszą te same zasłony co 300–400 lat temu. Kiedy zwiedzamy te wnętrza i widzimy rozstawione na stołach talerze, to brakuje w nich tylko gorącej zupy, by pomyśleć, że królowie, książęta, hrabiowie i ich służba, że oni wszyscy wyszli z tych wnętrz dosłownie przed chwilą. Żałuję, że nie mamy tego w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Marek Gaworski – autor ponad 60 książek, przewodników i albumów, głównie po zamkach, pałacach i dworach w Polsce, m.in. wydanego przez Arkady 700-stronicowego albumu „Najpiękniejsze zamki, pałace i dwory w Polsce", współautor „Leksykonu zamków w Polsce". Najnowsza jego książka to „Śmierć, bale i skandale. Arystokraci, kolekcjonerzy, skandaliści".

eprasa.pl 93f7da71ef

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Woźny na polskich drogach

Zwykle jest ich trzech – woźny i dwóch szlachetków z asysty. Idą pieszo, skrajem drogi, biorąc po groszu od mili. Postacie prawdziwie polskie, tylko w dawnej Rzeczypospolitej występujące. To poczet i eskorta woźnego sądowego lub trybunalskiego. Jak pisze Władysław Łoziński: „Lekceważony, przepłaszany kijem, szczuty psami, pławiony w wodzie, czasem okrutnie zabijany – ten woźny polski jest przecież początkiem, środkiem i końcem wszystkiego, alfą i omegą każdej sprawy, sprężyną administracji i sądownictwa, okiem i uchem władzy, człowiekiem na wszystko, dla wszystkich i do wszystkiego". Idący pieszo z torbą pełną pism i pozwów był równie częstym obrazkiem na drogach dawnej Korony i Litwy, jak bernardyn kwestarz, żebracy i poganiacze wołów. Obdarzony tytułem Ministerialis Regni Generalis, czyli „woźny ziemski, generał koronny", powinien mieć pomnik jako przodek wielu dzisiejszych instytucji prawa.

Tradycyjnie doręczał szlachcie pozwy i wyroki sądowe, po drugie, o czym nikt nie wie, spełniał wiele czynności, które dziś należą do notariuszy, komorników sądowych, koronerów i policji. Odprawiał urzędowe wizje lokalne, stwierdzając obecność spornych rzeczy i ludzi w danym miejscu, i był w stanie ich/je „aresztować", kładąc na nich rękę prawną i ogłaszając np., że pan taki i taki, Ichmość Pan, ma na folwarku bydło zabrane panu Iksińskiemu. A u Stadnickich przebywa karzeł porwany z dworu pana Opalińskiego. Przede wszystkim jednak był śledczym – przodkiem dzisiejszych detektywów policyjnych i prokuratorów, gdyż prowadził śledztwo – tzw. skrutynium – w przypadkach spraw niepewnych lub zawikłanych. On szukał zagubionego ciała lub głowy (czasem nosa), wskazywał i śledził zabójcę, będąc swoistym Sherlockiem Holmesem w czasach, gdy nikomu nawet nie śniły się opowieści detektywistyczne. Oglądał rany i obrażenia, klasyfikując je według obowiązującej taksy. Badał zwłoki, określając przyczynę śmierci, obwoływał na rynkach i jarmarkach wyroki, a nad grobem zabitego – kto był jego zabójcą. Poza pozwami i wyrokami nosił też prywatne odpowiedzi, będące z punktu widzenia dzisiejszego prawa niczym innym, jak tylko groźbami karalnymi, asystował przy przysięgach i sprawach o zbiegłych poddanych. Przede wszystkim jednak wędrował po wsiach, miasteczkach i gościńcach, donosząc szlachcie i mieszczanom pisma sądowe. A jak wyglądał?

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Istnieją dwa portrety woźnego – w „Prawem i lewem" oraz w „Panu Tadeuszu". Pierwszy pochodzi z wieku XVII, drugi z XVIII. I tak nosił przy lewym boku szablę z kagańcem dla oświetlenia drogi w nocy, przy prawym zaś sarnią torbę na urzędowe papiery. Trzymał tam także, zapewne w bukłaku – czarną polewkę na posiłek w podróży. Poza tym, jak pokazują akta lwowskie, lubił wypić w hultajskiej gospodzie, grać w karty i kości z mastalerzami i pić pod hasłem: „Pal bracie, aby do mnie!".

Woźny z „Pana Tadeusza", Protazy Baltazar Brzechalski, ubierał się w szerokie rajtuzy i kurtkę podpiętą na guzy, którą można było zakasać albo opuścić. Czapkę miał z uszami, związaną po wierzchu sznurkiem, do obrony brał pałkę i szedł oczywiście piechotą, bo, cytując naszego narodowego wieszcza: „Woźni przed procesem, jak szpiegi przed bojem, muszą się kryć pod różną postacią i strojem".

Doręczanie pozwów, kładzenie wyroków i branie w areszt osób oraz rzeczy wiązało się z wieloma przykrościami. Prawo ujmowało rzecz surowo – za napad na funkcjonariusza i zabicie go płacono jak za głowę szlachecką, choć woźny nie musiał być z tego stanu. „Musiał często używać podstępu, aby dostać się niepostrzeżenie do dworu i położyć pozew, bo wiedział, że tak będzie przyjęty, jakby podkładał ogień" – pisał Łoziński. Do najczęstszych gwałtów popełnianych na tej osobie zaliczano porwanie pozwu i przymuszanie woźnego, aby go zjadł – jak pan Wołodkowic, który postawiwszy pod drzwiami dwóch hajduków z kijami, kazał Protazemu zjeść pismo urzędowe. Szlachcic z Telsz, Dzindolet, pod groźbą pistoletu nakazał woźnemu wejść pod stół i odszczekać treść. Jan Hynek w Dublanach wpychał szablą papier do gardła woźnego, następnie kazał przywiązać go do końskiego ogona i wywlec ze wsi.

Nieszczęsny ministerialis wykazać musiał wiele sprytu, aby wywinąć się z tych opresji, używać podstępu – jak Protazy, którego specjalnością stały się niespodziewane ucieczki przez okna, prosto w konopie. Czy jak nieznany nam woźny lwowski, który, aby położyć pozew Jerzemu Krasickiemu w Dolinie, dostał się do zamku w beczce soli. Scena ta, choć zmieniona, pokazana była w dawnym serialu „Rycerze i rabusie", gdzie starosta Wolski przedostał się na dwór w Dubiecku przebrany za sługę żony Krasickiego. ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Słodka jak śliweczka

FOT. ADOBE STOCK

Sezon na ten wspaniały owoc zaczyna się w sierpniu i trwa do końca października. Mowa tu o śliwce, pięknej słodkiej pannie o charakterystycznych mięsistych owocach, o której wspominał już w swych utworach Konfucjusz jako o lubianym i wszechstronnie wykorzystywanym owocu Państwa Środka. Na polskim stole naszego króla Stanisława świeże śliwki podawano na deser w dniu Bożego Narodzenia, a cała tajemnica tkwiła w sposobie konserwowania. Otóż zbierano najpiękniejsze okazy śliwek, zamykano je szczelnie w puszce (puszkę zalutowywano) i zakopywano w ziemi – w taki sposób śliwki przechowywano aż do zimy.

Odmian śliwki na świecie jest kilkaset, kolorów kilka – są fioletowe, różowe i żółte. Jesteśmy w pierwszej piątce w Europie wśród potentatów produkcji śliwki (największym światowym producentem są Chiny). To ulubiony owoc Polaków najczęściej wykorzystywany do kruchych i drożdżowych ciast, a także do przetworów, powideł, marmolad, śliwek w occie. Popularne też u nas jest suszenie śliwek. Oczywiście najlepsze są świeże, prosto z ogrodu.

Właściwości zdrowotne śliwki są duże – zawiera ona tłuszcz, białko, witaminę A, wszystkie witaminy z grupy B, C, E i K oraz cynk, fosfor, magnez. Według badań naukowych śliwki mają też właściwości antynowotworowe, szczególnie w przypadku raka piersi, są wsparciem dla kobiet w okresie menopauzy, jako przeciwutleniacze mają zdolność zagęszczania kości i mogą zapobiegać utracie masy kostnej. Szczególnie cenne są śliwki suszone, ponieważ zawierają dużą ilość wapnia.

Śliwki wspomagają odchudzanie, bo mimo że są słodkie, to po zjedzeniu znacząco nie podnoszą poziomu cukru we krwi, a niwelują uczucie głodu. Poprawiają nastrój i świetnie się sprawdzają u osób z depresją. Nic, tylko jeść, zajadać się i delektować. Z dobrodziejstw śliwki możemy korzystać cały rok, ponieważ bardzo dobrze się mrożą.

Przepisów z wykorzystaniem śliwek jest mnóstwo – na słodko, do faszerowania mięsa wieprzowego – schabu lub karkówki, do pasztetów, jako przekąska zawinięte w plastry boczku i upieczone, również marynowane w occie smakują wyśmienicie do dań wytrawnych.

My najbardziej lubimy tradycyjne kruche ciasto ze śliwkami.

Przepis

• 400 g mąki (300 pszennej i 100 ziemniaczanej) • 250 g zimnego masła • 2 żółtka • 2 łyżeczki proszku do pieczenia • 70 g cukru pudru lub drobnego do wypieków • 1 kg śliwek wypestkowanych • ½ łyżeczki cynamonu • 1 łyżeczka mąki ziemniaczanej

Kruszonka: • 100 g mąki • 100 g masła • 100 g cukru

Wszystko razem rozcieramy palcami i schładzamy.

Ciasto: Składniki przekładamy do misy, rozcieramy i zagniatamy na formę kuli. Wkładamy do lodówki na min. 30 min. W tym czasie śliwki wypestkujemy, dodajemy cynamon i mąkę ziemniaczaną. Ciasto wyjmujemy z lodówki, rozwałkowujemy, cienko wyklejamy blaszkę, nakłuwamy widelcem, wykładamy śliwki, posypujemy kruszonką. Pieczemy w temp. 180 st. C przez ok. 50 min. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jaka będzie pogoda?

W Budapeszcie miały się odbyć huczne uroczystości z okazji dnia św. Stefana. Fajerwerki, występy artystów etc. Imprezę odwołano jednak z powodu mającej nadejść wielkiej burzy. W ostatniej chwili burza zmieniła zdanie i skręciła w inną stronę, a nad Budapesztem świeciło słońce. Dwóch głównych synoptyków za karę poleciało z urzędu.

Sama bym paru synoptyków chętnie wylała, ale nie mam takiej władzy. A jest za co, bo oszukują permanentnie, a miliony głupich wierzą. Wśród nich wyżej podpisana, fanka prognoz, a nawet od nich w pewnym sensie uzależniona, świadoma ich bezużyteczności. Sprawdzam różne: norweską, matematyczną, firmową z iPhone'a, AccuWeather, Weather Underground…

O słuchaniu różnych mądrali, którzy wiedzą z całą pewnością, jaka pogoda będzie w ten czwartek i za tydzień, nie wspomnę. Jednym z nich jest główna synoptyk dużej stacji telewizyjnej, osoba o zabawnej kombinacji imienia i nazwiska… Co powie, to kit, kicha, kulą w płot. Wróżenie z fusów od kawy dałoby podobny rezultat.

Mądrzy ludzie mówią, że nie trzeba się martwić tym, na co i tak nie mamy wpływu. Łatwo powiedzieć. Nie mam wpływu na pogodę, ale wciąż się zamartwiam, że za mało jest opadów. Ktoś taki nazywa się pluwiofil, osoba uwielbiająca deszcz. Wciąż czekam na deszcz, wydaje mi się, że zawsze jest go za mało, ładna pogoda wprawia mnie w pełne irytacji wyczekiwanie.

W czasach, kiedy susza stała się problemem światowym, każdy z nas powinien zostać pluwiofilem, co – co prawda – sprawie by nie pomogło, ale może chociaż uwrażliwiłoby na problem braku wody. Mojej obsesji deszczu towarzyszy raczej pożyteczny objaw: obsesyjne oszczędzanie wody. Kiedy mąż zabiera się do zmywania, co chwila podbiegam z krzykiem, że za dużo leje. Doprowadza to oczywiście do awantur. Kiedy w mojej obecności pani doktor laryngolog zostawiła otwarty kran, po czym oddaliła się, żeby coś zrobić przy biurku, miałam ochotę rzucić się na nią z nożem. To nic, że nie mam noża i że nie mam w zwyczaju rzucać się na laryngologów nieoszczędzających wody. Zwróciłam tylko grzecznie uwagę. Pani doktor przyjęła.

Znajoma mieszkająca przez jakiś czas w domku nad morzem bez wodociągu musiała przynosić wodę z pompy oddalonej o kilkaset metrów. Wtedy nabrała zwyczaju skrajnego oszczędzania wody: pięć litrów na prysznic razem z głową (krótkie włosy). Zapamiętałam tę statystykę, polecam wszystkim. Między pogodą a prysznicem zachodzi wszak korelacja. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 93f7da71ef

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Long ściema

Wypieranie istnienia ofiar przez sprawców wskazuje winnych. I tak jest z COVID. Obserwujemy niecovidowy wysyp anomalii statystycznych w obrębie zdrowia publicznego. Wzrost przypadków zakrzepic, zapalenia mięśnia sercowego (szczególnie u młodych), mnożą się poronienia, spada rozrodczość, mamy armagedon nowotworowy. Wzrosty szybkie i gwałtowne. I… nauka – nic. W czasach przedcovidowych promile takich wahań byłyby przyczynkiem do wzmożonych badań po to, by znaleźć źródło takich anomalii i próbować im zapobiec. Ale mamy czasy milczenia, bo a nuż by się w ramach badań coś niewłaściwego okazało…

Do tej pory udawano, że nie ma tego słonia w kącie covidowego pokoju, ale dane są zatrważające. Nie można było tego wysypu oddzielić od pandemii, ale spróbowano innej sztuczki – tak, to COVID, ale on sam. Próbuje się zagadać sprawę, bo korelacje pandemiczne są nie do zasypania. Wymyślono kompletnie nienaukowy worek, do którego teraz można już wrzucać wszystko – long COVID. Tak, winien temu wszystkiemu jest złowrogi wirus, ale nie dlatego, żeśmy walcząc z nim, rozwalili zdrowie publiczne, ale dlatego, że jest podstępny i cierpliwy. Potrafi odczekać miesiące i uderzyć pocovidowymi komplikacjami w nieoczekiwanych miejscach. Tym się tłumaczy te wysypy przeróżnych choróbsk.

Ale nie ma to podstaw naukowych, bo samo przejście COVID nie musi być przyczyną takich odłożonych dolegliwości. Mogą to być np. noszenie maseczek, stres kwarantannowy i lockdownowy, rozstrój systemu odpornościowego, wreszcie – szczepionki. Można to przecież sprawdzić. Może to nie COVID, tylko my? A to ważne, bo niektórzy zapowiadają jesienną powtórkę z rozrywki. Na przykład ostatnie badania w Tajlandii dowiodły, że wśród badanych młodych ludzi po szczepionce jest większy procent zapalenia mięśnia sercowego niż wśród tych, którzy przeszli COVID bez szczepień.

Nauka nie bada przyczyn tego zjawiska, jakim jest wysyp chorób, i pragnie go obejść bajeczką o long COVID, a najlepiej przemilczeć sprawę. Ofiary są bezsprzeczne, ale jeśli nie będziemy o nich mówić, to problem (ale nie ofiary) zniknie. A sprawa jest poważna – jak donosi ministerstwo, 90 proc. Polaków ma przeciwciała na COVID, a to oznacza, że co najmniej połowa z nich nabyła już odporność poprzez przejście wirusa. A to wedle teorii long COVID może oznaczać, że jeśli ci ludzie na cokolwiek zachorują, to będzie to wynikiem przejścia koronawirusa. Piękne wytłumaczenie na przenoszone choroby niecovidowe spowodowane tym, że w ramach pandemii system ochrony zdrowia przestał leczyć i diagnozować.

Pod płaszczykiem wymyślonej „jednostki chorobowej" nie da się tego ukryć. Przychodą rachunki za teleporady i segregację pacjentów przy przyjmowaniu do szpitali. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Żegnaj, szkoło!

Większość z nas, słysząc o edukacji włączającej albo edukacji inkluzyjnej, uznaje, że to szlachetny pomysł integracji dzieci niepełnosprawnych, wprowadzający ich na równi z innymi do szkolnictwa masowego. Niewielu zdaje sobie sprawę, że ta konstrukcja myślowa porównywalna jest tylko z tym, co pamiętamy z lat komuny. Bolszewicy mieli zdolność (i jak widać, nadal mają) tworzyć rzeczywistość o odwróconym znaczeniu. Kontakt ze Służbą Bezpieczeństwa oznaczał śmiertelne niebezpieczeństwo, a totalitaryzm nazwano „demokracją ludową". Agenda Zrównoważonego Rozwoju 2030 jako cel czwarty przyjmuje: „Zapewnić wszystkim wysokiej jakości edukację oraz promować uczenie się przez całe życie". Obok szczytnych postulatów, m.in. zapewnienia wszystkim bezpłatnej edukacji na poziomie podstawowym, znajdujemy: „Tworzyć i poprawić stan placówek edukacyjnych, by uwzględniać potrzeby dzieci niepełnosprawnych, a także zapewnić bezpieczne, wolne od przemocy, inkluzywne i produktywne środowisko nauczania dla wszystkich".

Dzieci głuchonieme, ociemniałe, autystyczne, z zespołem Downa nie będą już uczęszczały do szkół specjalnych (te mają być zlikwidowane!), zostaną wrzucone do zwykłych szkół, gdzie staną się obiektem treningowym dla całej klasy. Ich kosztem będzie się tresować pozostałych uczniów w równości i tolerancji. Za eksperyment zapłacą wszyscy. Ponieważ uczniowie z różnym deficytem rozwojowym mają różne, często wzajemnie wykluczające się potrzeby, nie jest możliwe, by w zwykłej klasie, nawet z udziałem nauczycieli wspomagających, zapewnić im nauczanie. Zatem największą szkodę poniosą ci, w których rzekomo interesie jest to przeprowadzone. Pozostali stracą przez drastyczne obniżenie poziomu, m.in. przez wyrugowanie naturalnego współzawodnictwa i zniesienie systemu ocen. Obecność w klasie ucznia z upośledzeniem rozwojowym uniemożliwia realizację programu, który byłby przez niego nie do opanowania. Według ideologicznych założeń nie można będzie wystawiać ocen, które odzwierciedlają stopień opanowania programu i przyswojenia umiejętności. W to miejsce pojawia się ocena funkcjonalna, która monitoruje rozwój każdego ucznia, z szerokim uwzględnieniem jego środowiska rodzinnego, również przez zewnętrzne ciała międzynarodowe.

Ideolodzy równości, tak samo jak posłużyli się osobami o odmiennej seksualności, by dekonstruować małżeństwo i rodzinę, teraz w podobny sposób używają niepełnosprawnych dzieci do zdemolowania polskiego systemu oświaty. Powaga zagrożenia skłoniła środowiska świadomych rodziców i nauczycieli, by powołać Ruch Ochrony Szkoły. Inicjatorzy na 29 sierpnia zapowiedzieli inauguracyjną konferencję pod MEN o godz. 12. ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

ĆWIERKOT

Kochany Henryk

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Trwa debata na temat podręcznika „Historia i teraźniejszość" prof. Wojciecha Roszkowskiego. Stop. Podręcznik zohydzany jest za rzekomo obrzydliwe podejście do in vitro. Stop. W podręczniku w ogóle nie pada sformułowanie „in vitro". Stop.

W powietrze razem z luksusowym samochodem wyleciała Daria Dugina, córka brodatego, kremlowskiego ideologa Aleksandra. Stop. Wylecenie w powietrze okazało się aktem odwagi, bo Orderem Odwagi pośmiertnie została uhonorowana przez Putina. Stop. Na pogrzebie otwarto trumnę. Stop. „Wylecona" wyglądała atrakcyjniej niż za życia. Stop. Wot, technika sowiecka.

Szef polskiej policji, gen. Szymczyk, złożył wniosek o uchylenie immunitetu posłance Gabrieli Lenartowicz. Stop. Lenartowicz przeszła ulicę na czerwonym świetle. Stop. Internet wylewnie podziękował za brawurową akcję stróżów prawa. Stop. Lenartowicz jest z Platformy Obywatelskiej. Stop.

Dariusz Rosati, ojciec aktorki Weroniki, napisał na Twitterze: „Rząd PiS albo środki z KPO. Co wolicie?". Stop. Mnie się Weronika podoba. Stop.

Dziennikarz Piotr Najsztub na antenie TOK FM rzekł: „Ja bym się nie zdziwił, gdyby Donald Tusk podszedł do Morawieckiego i dał mu w pysk po prostu". Stop. Kontynuował: „Wydaje mi się, że czas już na jakieś niekonwencjonalne metody, bo konwencjonalne się skończyły". Stop. TOK FM i „Gazeta Wyborcza" należą do tej samej firmy. Stop. Piotruś, kto sieje wiatr, ten zbiera liście.

Robert Bruneika, znany jako Hardkorowy Koksu, wystąpił w Kanale Sportowym. Stop. Okazało się, że poleca i pewnie też bierze niedozwolone środki na wzrost masy mięśniowej. Stop. Zakończono z nim współpracę. Stop. Szok i niedowierzanie. Żodyn by się nie spodziewał.

Jest afera. Stop. Na weselu wiceminister rolnictwa dostał w prezencie drogi traktor. Stop. Okazało się, że nie dostał. Stop. W sumie jest afera: wiceminister, a nie dostał.

Patryk Michalski z wp.pl oburzył się wielce, że Polska Press o uczestniczkach lekkoatletycznych mistrzostw Europy napisała: „Najseksowniejsze ozdoby czempionatu". Stop. Według Patryka to: „Poziom seksizmu i pornodziadostwa ponad skalę". Stop. Twitterowi obrzydliwcy pokazali Patrykowi artykuł z wp.pl pt. „Niemkę okrzyknięto najseksowniejszą sportsmenką świata. Co za fotki". Stop. „Nie wolno porównywać" – jak mawia red. Wojciech Mucha. Stop.

Jest ratunek dla emerytów i rencistów. Stop. Niskie świadczenia przestaną być problemem. Stop. W sieci pojawiło się ogłoszenie 65-letniego Henryka. Stop. „Poznam trzy panie, rencistki, które zamieszkają ze mną w Jaworach. Przy ogólnej akceptacji cztery renty razem, wspólne wyżywienie, zobowiązania na cztery, pieniądze są najważniejsze. Panie bez obciążeń, uległe i obowiązkowe". Stop. Jak cię nie kochać, Henryku? ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Faustyna kontra Olga

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Małgośka, mówią mi, ekspertem jest dziś każdy, wystarczy mieć własne zdanie. I chór klakierów – dodaję. Oczywiście zmorą naszych czasów jest to, że od kiedy Internet wszedł pod strzechy, wszyscy mają się za specjalistów w każdej sprawie. A już zwłaszcza my – dziennikarze – udajemy z wprawą fachowców habilitowanych od wszystkiego. Trochę mnie to razi, dlatego staram się pilnować odcinka Hiszpanii i nie udawać, że znam się na wirusie czy Rosji (choć jedno i drugie wybiło mi przodków, więc powinnam poświęcać im więcej uwagi).

Tymczasem najlepszym antidotum dla mojej rozpędzonej ręki na klawiaturze jest lektura twitterowej twórczości Romana i Radka. Czytając obu stylistów, można zacząć podejrzewać, że oto wynaleziono lewatywę dla mózgu. W dodatku technologia ułatwia dziś notowanie bełkotu i biedna ludzkość nawet nie przeczuwa, że kiedyś ją ktoś zwyczajnie cichcem wymóżdży. Dlatego trzeba profilaktycznie łykać dobre książki.

Czas wakacji wykorzystałam na węszenie, jak sprzedają się polscy autorzy w Hiszpanii. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że były jakieś nowe rozbiory i Polska właściwie nie istnieje. Zeszłam kilkanaście księgarni i antykwariatów w regionie Walencji i wychodziłam z nich coraz bardziej siwa ze zgryzoty. Zrozumiałam, że zadaję się z mało reprezentatywną próbką Hiszpanów, bo moi amigos umieją wymienić bohaterów Sienkiewicza, rzucić aforyzmem Leca i żądać więcej tłumaczeń Herberta. A tymczasem sprzedawcy w antykwariatach, zapytani o Polaków, robili miny, jakbym pytała o cosinus z trzydziestu. Owszem, najszybciej znaleźć można Lema, Kapuścińskiego, Sapkowskiego, Szymborską, Tokarczuk, ale chciałoby się więcej, bardziej ekumenicznie.

Gdy zobaczyłam na wystawie w księgarni książkę Michnika, to stanęłam jak wryta, choć przecież wiem, że orgia jego popularności zacznie się dopiero od października, kiedy wręczą mu Nagrodę Księżniczki Asturii. Moi amigos twierdzą, że ta nagroda przyznawana jest papugom mainstreamu z różnych dyscyplin. Takim, które to wykwintniejszym stylem rezonują z oficjalną wykładnią. Zagajewskiemu ta nagroda bynajmniej niespecjalnie pomogła, więc nie zawsze warto gimnastykować myśl w chórze. Mainstream z trudem ciuła oryginalne myśli, za to zbiera deszcz nagród. Dworskie układy i salonowe kółka wzajemnej adoracji przetrwają nawet wojnę nuklearną. A potem i tak się okazuje, że najwięcej przekładów i wydań ma św. Faustyna Kowalska, choć pisała dla maluczkich i prostaczków. Czyli dla „idiotów", od których stroni nasza noblessa. ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Relatywizm histeryczny

Nie wypracowano jeszcze jednolitej i spójnej definicji wrogów cywilizacji zachodniej. Złośliwi nazywają ich „postępakami". Oni sami często określają się jako Europejczycy, co jest o tyle nieprecyzyjne, że typ ten występuje także w obu Amerykach. Są to zwolennicy „społeczeństwa otwartego" na każdy absurd, nowoczesności rozumianej jako wolność bez żenady lub rzecznicy wolności od rozumu i przyzwoitości oraz „transgresji" bez ograniczeń. Jak widać, wiele jest tych określeń, ale to, co wydaje się dla tych ludzi wspólne, to relatywizm histeryczny, bardzo emocjonalnie przeżywany pogląd o tym, że wszystko jest względne.

Relatywizm histeryczny ma bardzo wiele postaci, od całkiem prostych do mocno złożonych. W istocie można jednak różne te postacie sprowadzić do prostych mechanizmów.

Relatywista cham bez pardonu wyklucza prawa innych ludzi do czegokolwiek, uważając, że wszystko mu się należy. W walce z mową nienawiści używa wobec adwersarzy najbardziej wulgarnych obelg. Nie musi czytać Maxa Stirnera, żeby uznać, że nie ma innych bogów poza nim. Takie przekonanie może on utrzymywać tak długo, jak nie napotka podobnego relatywisty chama, który zdzieli go po głowie.

Relatywista cudak uważa, że wszystko można sprowadzić do wygłupu. To przypadek wielu influencerów, którzy zaśmiewają się ze swoich dowcipów. W braku argumentów powiadają „oj tam, oj tam", uznając, że zwyciężyli w sporze. Tu także pewne ograniczenie stanowi sytuacja, gdy ktoś głośniej lub bardziej kąśliwie wykaże relatywiście cudakowi głupotę.

Relatywista as roztacza wokół siebie aurę przewagi medialnej, politycznej lub finansowej, dając do zrozumienia, że zastępuje ona rację, niezależnie od tego, ile recenzowanych książek wyda adwersarz. Wystarczy jednak, że pojawi się ktoś o większym potencjale materialnym lub większych wpływach „na górze", żeby relatywista as zmiękł i podał tyły.

Relatywista narcyz w ogóle nie dopuszcza nikogo do głosu, bo swój kocha do tego stopnia, że słysząc cudzy, odczuwa krzywdę. Dramatem relatywisty narcyza jest samotność. Jeśli nikt nie będzie chciał go słuchać, to niechybnie wpadnie w depresję, uzna się za wykluczonego i dyskryminowanego, a nawet, być może, skieruje te oskarżenia przeciw konkretnym osobom.

Relatywista konformista nie chce się wychylać z tłumu w obawie przed jakimś rykoszetem, więc dla bezpieczeństwa powtarza tezy, z którymi się nie identyfikuje, wmawiając sobie, że nie jest tak źle, że nie można sądzić, żeby nie być sądzonym, oraz że każdy może mieć własne zdanie, nawet sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

Pozornie najbardziej skomplikowany jest przypadek relatywisty intelektualisty. Wydaje się on trudny do rozszyfrowania, ale naprawdę to także prosty mechanizm. Za jego zawiłymi rozważaniami kryją się mniej lub bardziej otwarta pogarda dla adwersarza, próżność, mania wielkości lub kompleksy. Osobnik taki uznaje za przestępstwo wobec nauki nazwanie Stalina zbrodniarzem, gdyż nie został on skazany przez żaden sąd. Sądzi też, że oświecony człowiek uczy młodzież wybierania, a nie kryteriów wyboru. Choć typ ten operuje takimi słowami, jak „paradygmat", „sylogizm", „oksymoron" czy „światopogląd", to na wspomnienie stałych wartości często dostaje wysypki, rośnie mu ciśnienie i pojawiają się symptomy nerwicy, nierzadko prowadzące do apopleksji. Wiele ze współczesnych postaci tego gatunku doznaje podobnych objawów na wzmiankę o płci biologicznej, Dekalogu, tradycji, rodzinie, wstrzemięźliwości, szlachetności lub odpowiedzialności. W przypadku ataku niedyspozycji zarzuca Bogu ducha winnym ludziom co najmniej prawicowość, ale częściej ignorancję, szaleństwo, charakter inkwizytora, faszyzm, antysemityzm, homofobię, rusofilię lub pedofilię. Co ciekawe, typ ten występuje niezależnie od wiary w Boga, gdyż wspominanych objawów bardzo często nie łączy ani rozumowo, ani duchowo z wiarą.

We wszystkich przypadkach podłoże schorzenia jest podobne: egocentryzm połączony z lekceważeniem lub wręcz pogardą dla adwersarza. Nie dla jego poglądów, ale dla niego samego. W mniemaniu relatywisty histerycznego „tego gościa", czyli adwersarza, trzeba po prostu „wyprowadzić" – jeśli nie siłą, to sposobem. ©℗

We wszystkich przypadkach podłoże schorzenia jest podobne: egocentryzm połączony z lekceważeniem lub wręcz pogardą dla adwersarza. Nie dla jego poglądów, ale dla niego samego

eprasa.pl 93f7da71ef

TAJWAN

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W Europie pozytywne ruchy i dawno niewidziana odwaga w działaniu: ze współpracy z Chinami wycofały się Estonia i Łotwa, a wcześniej zrobiła to Litwa. W końcu zorientowały się, że kontakty z Chinami są trujące.

Na Litwie oficjalnie określono chińskie szpiegostwo jako zagrożenie bezpieczeństwa narodowego w roku 2019. Litwa zrezygnowała ze współpracy z niektórymi firmami chińskimi i z podejrzliwością odniosła się do chińskiej technologii 5G. W roku 2021 Litwa postanowiła wycofać się całkowicie z formatu 17+1, czyli z typowej dla Chin ustawki gospodarczej. Po jednej stronie tych ustawek zawsze są Chiny (czyli +1), a po drugiej stronie kilkanaście państw, które Chińczycy zbierają w bukiet. W przypadku 17+1 był to bukiet złożony z państw Europy Środkowej i Wschodniej, czyli z grubsza dawne państwa komunistyczne zależne od Związku Sowieckiego.

Podobne bukiety Chiny tworzą w Afryce, Azji, Ameryce Południowej. Podobne bukiety tworzą też, grupując firmy i korporacje z danej branży. I potem w ramach takiego układu jest +1 oraz kilkanaście niekoniecznie zgodnych głosów tej drugiej strony. Druga strona jest zawsze ustawiona w roli petenta. Kilkanaście różnych interesów, które trudno wypośrodkować i w których nie wiadomo, kto rządzi ani kto reprezentuje tę grupę jako kapitan, a po drugiej stronie jest jeden głos, czyli Chiny, który równoważy wszystkie pozostałe. I kto w takim układzie rządzi? Chiny.

Litwa policzyła sobie, jak wyszła na udziale w grupie 17+1. Miała nadzieję, że chiński rynek stanie się bardziej otwarty dla litewskiego eksportu, ten jednak wzrósł minimalnie, za to import z Chin wzrósł kolosalnie. Postanowiła wycofać się z toksycznego układu. Ponadto zapowiedziała otwarcie przedstawicielstwa Tajwanu na Litwie.

***

Tajwan – oficjalnie Republika Chińska (nie mylić z Chińską Republiką Ludową, tak jak nie należy mylić RFN z NRD albo RP z PRL).

Chiny kontynentalne rozpadły się na dwa państwa w roku 1949. Na wyspie Tajwan osiadły i ufortyfikowały się władze konstytucyjne „starych" Chin. Na stałym lądzie władzę przejęli komuniści. Od tego czasu istnieją dwa rządy, na podobieństwo sytuacji, którą przeżywała Polska po drugiej wojnie światowej: na Wyspach Brytyjskich istniał rząd londyński – kontynuacja legalnej władzy RP, a na ziemiach polskich powstał rząd komunistyczny ustanowiony przez Ruskich. Stopniowo rząd londyński tracił na znaczeniu, gdyż nie miał ziemi ani pieniędzy. Rząd Tajwanu ziemię ma, a do tego ogromne pieniądze – jest jednym z azjatyckich tygrysów, największym na świecie producentem półprzewodników itd. Ma też silną armię i sojuszników w postaci USA oraz Japonii. Mimo to większość państw świata nie utrzymuje z Tajwanem stosunków dyplomatycznych. W Afryce został już tylko jeden taki kraj (Swaziland), a na całym świecie jest ich zaledwie kilkanaście. Tchórzliwe i wredne zachowanie świata.

Tak samo tchórzliwie zachowują się państwa członkowskie Unii Europejskiej, w tym Polska. W naszym przypadku to wyjątkowe świństwo, bo mamy osobiste doświadczenia z rządem emigracyjnym i wtedy rozumieliśmy, jakie to ważne, by ktoś uznawał nasze prawo do istnienia.

Tajwan w przeciwieństwie do Chin komunistycznych jest republiką, obywatele traktowani są jak ludzie, nie jak przedmioty, i wybierają swoje władze w demokratycznych wyborach.

***

Najbardziej wredne stanowisko wobec Tajwanu prezentuje ONZ.

Tajwan był w roku 1945 jednym z państw założycielskich i miał swoje miejsce w Radzie Bezpieczeństwa. W roku 1971 został usunięty z ONZ, a na jego miejsce przyjęto Chiny komunistyczne jako „jedyną reprezentację narodu chińskiego".

Od tamtego czasu Tajwan 15 razy składał wniosek o ponowne przyjęcie w poczet członków i zawsze to samo – wniosek trafia do biura prawnego, a biuro odpowiada to, co każą mu odpowiadać komuniści z Pekinu – że są tylko jedne Chiny i nie mogą być reprezentowane przez dwa państwa.

To kłamstwo, że nie mogą. Gdy zakładano ONZ, Stalin załatwił sobie, że Rosja Sowiecka będzie reprezentowana przez trzy „odrębne państwa" – Republikę Białoruską, Republikę Ukraińską oraz ZSRS, a przecież te dwie pierwsze republiki były jednocześnie członkami ZSRS.

Obecnie do ONZ należą takie podwójne byty jak Sudan i Sudan Południowy, Korea Południowa i Korea Północna (ewidentnie ten sam naród i język, ta sama historia, czyli jeden naród, ale dwa państwa w ONZ). Innym dowodem na hipokryzję ONZ były dwa państwa niemieckie: Republika Federalna Niemiec oraz Niemiecka Republika Demokratyczna, czyli RFN i NRD. Nie da się obronić tezy, że jeden naród może być reprezentowany przez tylko jedno państwo.

***

Twarz chińskiego wodza Xi jest zawsze taka sama – błyszcząca patelnia, zza której nie widać uczuć. Oczy ukryte w szparach, a uśmiech nie znaczy nic, gdyż jest grymasem wyuczonym na potrzeby kontaktów z Zachodem. Gdy lecisz do Chin i kupisz sobie którąś z tych małych książeczek z poradami, co robić a czego nie, to tam jest napisane, że w Chinach uśmiech oznacza zdenerwowanie. Dlatego odradzają uśmiechanie się do urzędników na granicy, bo gdy się uśmiechasz, przetrzepią ci bagaż, będą podejrzliwi.

Oczy są zwierciadłem duszy – tak uczą Biblia oraz świeckie doświadczenie psychiatrów i prokuratorów prowadzących przesłuchania (oni wszyscy zaglądają w oczy); jeżeli oczy są zwierciadłem duszy, to z oczu morderczego dyktatora Xi nie wyczytasz nic, bo tam nie zajrzysz. Są wąziutkie i ukryte dla świata.

Nie wiesz, co myśli, jedynie słyszysz, co mówi, ale w jego słowach też nie ma treści ani uczuć. Idealna twarz dyktatora – nigdy nie wiesz, czy cię za chwilę zabije czy wywyższy, czy po prostu zignoruje. Twarz Xi jest martwą maską, a jednocześnie jest twarzą śmierci. Chiny niosą światu śmierć. Niosą śmierć pieniądzu, demokracji, likwidują indywidualizm na rzecz kolektywizmu, kapitalizm na rzecz oligarchii i różnorodność na rzecz unifikacji.

Dlatego należy zrywać stosunki z Chinami na wszystkich dostępnych poziomach. ©℗

eprasa.pl 93f7da71ef

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TERESA KOWALIK
I PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„WIELKIE DZIEDZICTWO POLAKÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~609~~ ZŁ

233,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 376 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 93f7da71ef

Niezawodna precyzja

Eco-Drive generuje energię z dowolnego źródła światła: naturalnego lub sztucznego, jasnego lub przyciemnionego i zasila nią mechanizm.

Radio Controlled automatycznie koryguje dokładność wskazania czasu zgodnie z wzorcem z nadajników radiowych.

Eco-Drive
Radio-Controlled Watch

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl 93f7da71ef